

**WYDANIE
NOWOROCZNE**

Marek Borowski
Nasz bareizm powszechny

Lasy Państwowe
– skarbonka Ziobry

Eliza Sarnacka-Mahoney
Amerykańska lewica
musi odzyskać głos

Rafał Piłkuła
10 książek roku 2024



Krzysztof Jasiński

FENOMEN TEATRU STU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



2025

GALERIA
AUTORSKA
ANDRZEJA
MŁECZKI



- I'll call you back when I'm done.

Młeczko-

KALENDARZ ŚCIENNY

GALERIA
AUTORSKA
ANDRZEJA
MŁECZKI

2025



- I have prepared for us a few topics of nice arguments.

Młeczko-

KALENDARZYK
MŁECZKI

KALENDARZ BIURKOWY

ABYŚMY ZDROWI BYLI
CZYLI JAK ŻYĆ EKOLOGICZNIE



ANDRZEJ MŁECZKO

U DOKTORA



- Is it contagious, doctor?

NOWY ALBUM:
„ABYŚMY ZDROWI BYLI,
CZYLI JAK ŻYĆ EKOLOGICZNIE”



sklep.mleczko.pl

eprasa.pl d85a8e885d



Serdecznie dziękuję Czytelnikom

Za nami kolejny rok. Nie tylko ja mam wrażenie, że czas coraz bardziej przyspiesza. Nie ma w tym logiki, bo przecież miara czasu jest ta sama. Otoczenie zmienia się jednak w tak kosmicznym tempie, że nasze zmysły z trudem za tym nadążają. Bombardowani milionami informacji, które coraz częściej są tylko fake newsami, coraz łatwiej ulegamy kłamstwom i krzykom łobuzów oszukujących nas przez całą dobę. Głupszy i niedouczeni bez zahamowań realizują swoje interesy. Głośno i beczelnie zakrzykują mądrzejszych. Na wszystko mają swoje prostackie recepty. Większość widzowni też nie chce sobie zaprzętać głowy i łatwiej od merytorycznych wywodów zaakceptuje to, co szybciej rozumie. Ludzie, którzy w porywach znają 200 słów, wygrywają z tymi, którzy operują tysiącami skojarzeń, znajomością innych języków i wiedzą z wielu dziedzin.

Znaczący wpływ na to, co się dzieje w obiegu publicznym, mają niby-informacyjne programy w stacjach telewizyjnych. Konkurując o coraz mniejszą liczbę widzów, dopuszczają do głosu postacie, których nikt by nie zaprosił do domu. To samobójcza metoda – skończy się katastrofą. Nie znam nikogo w okolicach trzydziestki, kto spędzałby czas przed telewizorem. Ale znam wielu z grupy 60+, którzy odpuścili sobie te nic niewnoszące, za to głęboko stresujące programy. Telewizje w Polsce weszły na drogę schodzącą. I mocno pracują na to, by stawało się to coraz szybciej.

Pora spuścić szlaban na brednie, które głosi najbardziej złodziejska ekipa w historii. Trzeba ją rozliczyć z każdej ukradzionej

2025

Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele,

w tych nieprzewidywalnych czasach najważniejsze jest zdrowie.

Życzymy więc dobrej formy i optymizmu a na wiosnę trafnego wyboru.

Oby w nowym, 2025 roku przybyło nadziei, że na górze może być sensowniej, a wszędzie życzliwiej.

Przeglądowa rodzino, najlepszego!

Redakcja

złotówki. Mimo że będzie w tym przeszkadzać przebiegle zmontowane pole minowe. Nawet sobie nie wyobrażacie, ilu swoich zatrudniła ekipa Ziobry. W większości utrzymali się na posadach. I z pewnością nie próżnują.

Co więc w takiej sytuacji robić? Przeglądanie się i komentowanie błędów koalicji rządowej prowadzi do tego, o co walczy ekipa PiS. Do powtórki. Jeszcze jest co ukraść.

Minął rok, za który bardzo serdecznie dziękuję wszystkim Czytelnikom. Dziękuję za darowizny, dobre słowo i propozycje. Idziemy drogą, którą nam wskazaliście. Zrobimy wszystko, by w Nowym Roku na naszych łamach było dużo ważnych tekstów. Do Siego Roku.

BAKOWSKI



CZYTAJ I WSPIERAJ

Drodzy Czytelnicy!

Dzięki Wam
wydajemy PRZEGLĄD i kolejne książki.

Jesteśmy WSPÓLNOTA ludzi, których łączą poglądy.
Podobnie myślimy i widzimy świat.
Mamy własne zdanie.

Jesteśmy niezależni od polityków i biznesu.
Razem możemy realizować nowe ciekawe pomysły.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy o darowizny na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta

Każda wpłata ma znaczenie!

W NUMERZE

KRAJ

- 8** **Nasz bareizm powszechny**
– rozmowa z Markiem Borowskim
- 12** **Skarbonka Ziobry**
Gąszcz przekrętów
w Lasach Państwowych
- 15** **Najważniejsza jest weryfikacja**
– rozmowa z Marcelem Kiełtyką
- 32** **Piłką nożną przeciw wojnom**
Katowice w międzynarodowym projekcie
- 52** **Młyny sprawiedliwości stanęły**
Rozwód dłuższy niż małżeństwo

KULTURA

- 18** **Fenomen Teatru STU**
– rozmowa z Krzysztofem Jasińskim
- 40** **Czytanie jest formą odczuwania świata**
Książki roku 2024 Rafała Pikuły
- 44** **Pieszko brzegiem Bałtyku**
– rozmowa z Marią Zbąską
- 48** **Culturalia**
- 66** **Ewa Czwartos – Vitruvian Women**

ZAGRANICA

- 24** **Śmierć przez ciszę**
Korespondencja z USA
- 28** **Zabytki wracają nad Bosfor**
Korespondencja z Turcji

OPINIE

- 36** **Paweł Siergiejczyk**
Moda na antyniemieckość

OBSERWACJE

- 49** **Pan wymodelowany**
Kapitalizm zmienia postawy mężczyzn
- 56** **Pirelli 2025**
Znów nagość w obiektywie
- 58** **Świat pełen kalendarzy**
Czyli jak liczymy czas

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** **Jerzy Domański**
Serdecznie dziękuję Czytelnikom
- 23** **Jan Widacki**
Gdzie pojechać na bezpieczne wakacje?
- 35** **Stanisław Filipowicz**
My
- 43** **Roman Kurkiewicz**
Niech będzie lepiej, skoro jest tylko gorzej
- 47** **Tomasz Jastrun**
Światło między słowami
- 55** **Wojciech Kuczek**
Do zobaczenia, 2024

32

KRAJ



PIŁKĄ NOŻNĄ PRZECIW WOJNOM

Katowice w międzynarodowym projekcie

40

KULTURA



CZYTANIE JEST FORMĄ ODCZUWANIA ŚWIATA

Książki roku 2024 Rafała Pikuły



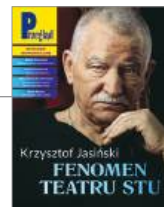
56

OBSERWACJE

PIRELLI 2025

Znów nagość w obiektywie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. TOMASZ SZKODZIŃSKI/TEATR STU

eprasa.pl d85a8e885d

Prawo karne w państwie prawa

W felietonie prof. Jan Widacki pisze: „W państwie, w którym szanowany jest trójpodział władz, prawo stanowi władza ustawodawcza, stosuje wykonawcza, a legalność (czyli zgodność z prawem) działań tych władz kontroluje władza sądownicza”.



A w ostatnim akapicie tego felietonu pierwsze zdanie to: „Populizm zastępuje demokrację, i to zupełnie jawnie”. Nic dodać.

Jednym z filarów demokracji jest właśnie trójpodział władz, który rozumiem jako trzy niezależne względem siebie władze. Czy w Polsce był kiedykolwiek prawdziwy trójpodział władz? Od kiedy pamiętam, władza zawsze była jedna i mieściła się w tej centrali partyjnej, której udało się wcisnąć do Sejmu najwięcej swoich operatorów przycisków do głosowania (PZPR, AWS, SLD, PO, PiS). Upewniam się w swojej wątpliwości, czytając w tym felietonie, że wprowadzenie nowelizacji przygotowanej przez Komisję Kodyfikacyjną Prawa Karnego i cofnięcie Ziobrowych reform jest niemożliwe, bo szef partii w randze premiera tak zdecydował.

Józef Brzozowski

A co zrobić, skoro w rządzie (władza wykonawcza!) jest ok. 50 posłów (władza ustawodawcza)! Sami siebie kontrolują? Wiceminister Mucha (właściwie oskarżona Mucha) odpowiada na interpelację posłanki Muchy?

Włodzimierz Zielić

Z krajobrazu warszawskiej Woli zniknęła kamienica Abrama Włodawera przy Łuckiej 8. Zbudowana w latach 70. XIX w. czynszówkę w 1992 r. wpisano do rejestru zabytków. Po reprivatyzacji w 2012 r. zaniedbana przez właścicieli popadła w ruinę. 23 grudnia 2024 r. deweloper mimo zakazu dokonał rozbioru. Budynek jesienią został wykreślony z rejestru zabytków, ale toczy się postępowanie o objęcie ochroną jego murów obwodowych.



Terror hysterii czy głos rozsądku?

Ci protestujący mogliby zająć się porządną robotą, akurat tu Tusk ma rację. Ale służba zdrowia szoruje po dnie. Byłam w szpitalu w Wejherowie ze skierowaniem na oddział okulistyczny. Dowiedziałam się, że nie mają terminów. Mam się zgłosić za dwa miesiące i basta. Bywam tam często i wiem, że parking był płatny, ale inwalidzi z kartą parkingową mogli parkować na wolnych miejscach postojowych bezpłatnie. Gdy po ok. 30-minutowym pobycie w szpitalu wróciłam do samochodu, znalazłam mandat, nazwany opłatą dodatkową, na kwotę 150 zł. Parkingowy wyjaśnił mi, że od 1 grudnia zmieniła się firma kasująca pieniądze i teraz bezpłatne karty parkingowe są tylko na sześciu miejscach z kopertą. Bilet bierze się po uważnym wpisaniu numeru rejestracyjnego samochodu. Płatne z góry. Kilka sekund opóźnienia i opłata dodatkowa. Do tego szpitala, prowadzącego poradnię, przyjeżdżają ludzie z okolicznych, zabitych deskami wsi. Tak jak ja. Czyli chyba nie przesadzę, jak napiszę, że szpital, zamiast leczyć, pilnuje kasy za parking – więc właściwie nie ma już służby zdrowia. (...)

Waleria Lubner



ZDJĘCIA TYGODNIA



Przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej **sędzia Sylwester Marcinia** podjął desperacką próbę przekonania jej członków do uznania legalności Izby Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego. W trybie obiegowym. Celu nie osiągnął, a wstydu się najadł.

Na obchody 80. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz **nie przyleci premier Izraela Netanjahu**, wobec którego Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał nakaz aresztowania. Nie będzie też nikogo z kraju, którego żołnierze wyzwolili obóz.

Ministerstwo Finansów od 1 stycznia bardzo symbolicznie podnosi stawki podatków związkom wyznaniowym. **Parafie do 1 tys. wiernych zamiast 611 zł zapłacą kwartalnie 631 zł. Te do 3 tys. wiernych zamiast 749 zł będą płaciły 773 zł.** Dobrze serduszką ma nasza władza. Szkoda, że np. na zwiększenie alimentów kasy już brakuje.

Na zbrojeniach zarobią też polskie firmy. Agencja Uzbrojenia podpisała umowę o wartości 4,3 mld zł z konsorcjum Huta Stalowa Wola SA oraz Rosomak SA na dostawę transporterów Rosomak-L. I umowę z Fabryką Broni Łuczniak na dostawę karabinków, pistoletów oraz granatników o wartości 1 mld zł.

400 tys. domów na wsi nie ma łazienki i toalety, a w mieście prawie 300 tys. (**GUS**).

Do Krajowego Rejestru Długów wpisanych jest 62,5 tys. podmiotów

handlowych. **Średnie zadłużenie to 38,4 tys. zł.**

W formie pracy zdalnej w drugim kwartale 2024 r. pracowało **1,756 mln osób, czyli 10,2% ogółu pracujących.**

58% osób pracujących w sektorze kultury zarabia poniżej płacy minimalnej.

W Polsce żyje **sto kilkadziesiąt tysięcy bobrów**. Mają duży wpływ na gospodarowanie zasobami wodnymi. Najmniej zadowoleni z tego namnożenia są właściciele drzew masowo wygryzanych przez bobry. A odszkodowania są żałośnie niskie.

Dziczyznę skupują w Polsce 1762 punkty, a 27 zakładów zajmuje się obróbką tego mięsa. Sprzedają bezpośrednią żywności z dziczyzny zajmuje się 455 podmiotów.

Narzekamy na polską ligę piłkarską – ale kibiców na meczach przybywa. **Średnia frekwencja na meczach Ekstraklasy wzrosła do 12 575 widzów.**

Najbardziej Lechowi, któremu w Poznaniu kibicuje średnio 29,1 tys. osób. Za nim są Legia Warszawa (średnio 25,4 tys.) i Pogoń Szczecin (18,3 tys.).

Ponad 120 tys. punktów sprzedaje w Polsce alkohol.

W technologii czystej energii zainwestowano na świecie w 2023 r. 1,7 bln dol., czyli o 70% więcej niż rok wcześniej.

W Toronto mieszka ponad 220 tys. osób pochodzenia polskiego, w Nowym Jorku, Paryżu i Chicago po ponad 200 tys., a w Berlinie 100 tys. (**„Angora”**).

PRZEBŁYSKI

Gdzie są (brudne) ręce Romanowskiego

Pierwszy minister, który po 1989 r. uciekł za granicę, stawia rządowni warunki. Marcinowi Romanowskiemu tak się w głowie przewracało, że zapomniał, za co ma siedzieć w areszcie. Za dużo czerwonego wina? A może węgierski gulasz był nieświeży? Jak uciekinier stanie na nogi, to niech przesłucha taśmy Mraza. I to, co tam bez tortur opowiadał: „Ale myślimy z tej perspektywy: jakich słów powinienem być użyć na komisji, żeby to nie wyszło, że tutaj ktoś naciskał”. Dlaczego w kampanii na prezydenta Rzeszowa zostały zawarte umowy na prawie dwie bańki? Romanowski: „Też uważałem, że to nie jest dobry pomysł (śmiech)”. Cytujemy wypowiedzi Romanowskiego za TVP Info: „Kurczę, szef chce, żeby w piątek odpalić ten konkurs”, „Dlaczego jeden złożył w lutym i nie było rozpatrywane, a na koniec grudnia się okazało, że zabrakło pieniędzy, a dlaczego drugi złożył w czerwcu, a trzy dni później już dostał pieniądze. Na to nie potrafię znaleźć odpowiedzi”.

No i Urszula D.: „Przecież jak cię złapią za rękę, to mówisz, że to nie twoja ręka”.

Ubrudzone łapy Romanowskiego zostały w Polsce, a w Budapeszcie jest gość, który mówi, że to nie jego ręce.



Dymalski też kandydował

Czy Radosław Piesiewicz będzie za rok prezesem PKOl? Mało prawdopodobne. Pod olimpijską pokrywką tak już kipi, że wrzątek parzy nawet tych, którzy uwierzyli, że Piesiewicz jest megamocny. A nie jest to towarzystwo, które by chciało umierać za jakiegoś przegrywa. Nominacja Dudy do MKOl jest równie realna jak numer, który cztery lata temu chciał wyciąć Andrzej Kraśnicki. Były prezes rekomendował do MKOl

Mariana Dymalskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego. Efekt znany. Pełna kompromitacja. Na dodatek Dymalskiego, który był prezesem rady nadzorczej portu lotniczego we Wrocławiu, zatrzymało CBA. Za związku ze sprawą Collegium Humanum. Kraśnicki za ustąpienie fotela Piesiewiczowi dostał od prezydenta Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. Nagroda czy łapówka?

Aferzyści pod szyldem Jana Pawła II

Jakie to proste. Wystarczy zamienić garnitur na czarną pelerynę z żółtym krzyżem na piersi, by z aferzysty stać się rycerzem zakonu. Posła PiS Arkadiusza Czartoryskiego znamy z afery z budową elektrowni widma w Ostrołęce. Strata przekroczyła 1,3 mld zł. Nie poniósł konsekwencji, bo Kaczyńskiemu był potrzebny do utrzymania większości w Sejmie. Czartoryski wydusił nawet na prezesie posadę wiceministra sportu i turystyki. Pasaował tam jak Piesiewicz do PKOl. Rycerzem został także Janusz Kotowski, kiedyś na fotelu prezydenta Ostrołęki. Do tej dwójki dołączył poseł PiS Łukasz Mejza. Megaaferyzta. I razem wstąpili do Zakonu Rycerzy św. Jana Pawła II w Ostrołęce. Mają tam wzorem patrona dawać świadectwa świętości (!). Czy to nie są szczyty hipokryzji większe od Himalajów?





PYTANIE TYGODNIA

Co łączy jeszcze Polaków?

MAGDALENA M. BARAN,

redaktor prowadząca miesięcznik „Liberté!”

Więcej niż sądzimy, niż na co dzień się przyznajemy. Wbrew pozorom łączą nas podstawowe wartości, troska o nie. Ba, paradoksalnie wartości, o których myślę, są źródłowo liberalne – wolność i własność. Niech no ktoś spróbuje w jakimkolwiek wymiarze odebrać Polakom jedno lub drugie, nabawi się nielichych kłopotów. Łączy nas umiejętność organizacji i skutecznego działania... w sytuacjach kryzysowych, w momencie dostrzeżenia krzywdy czy biedy drugiego człowieka. Ten rodzaj solidarności i mobilizacji, który widoczny był w Polsce na początku wojny w Ukrainie, ale nie tylko wtedy. Nikt bowiem nie pyta, jakie są barwy polityczne powodzian, beneficjentów Szlachetnej Paczki czy adresatów częstych zbiórek internetowych. Liczy się człowiek. Z drugiej strony łączy nas upór. Ten sam, co nie pozwala wyciągnąć ręki lub wysłuchać argumentów drugiej strony. Upór, który zabija relacje. Na koniec – czasem łączy nas śmiech. I dobrze by było, byśmy potrafili śmiać się z samych siebie.

MARCIN GOŹDZIENIAK,

dziennikarz muzyczny, podcast Synestezja

Polaków łączy miłość do muzyki, odgrywającej ważną rolę nie tylko w tańcu i zabawie, ale też w ich codzienności. Gromadne śpiewanie na weselach czy biesiadach jest symbolem wspólnoty. Rodacy cenią także muzykę jako sztukę – od Chopina

po współczesnych twórców, takich jak Dawid Podsiadło. Jest też nostalgia i doskonała znajomość starych hitów, która łączy pokolenia. Rośnie popularność festiwali, np. Pol'and'Rock, i masowych wydarzeń muzycznych. Na koniec zostawiam tradycję wspólnego kołędowania ponad wszelkimi podziałami.

DR KATARZYNA BĄKOWICZ,

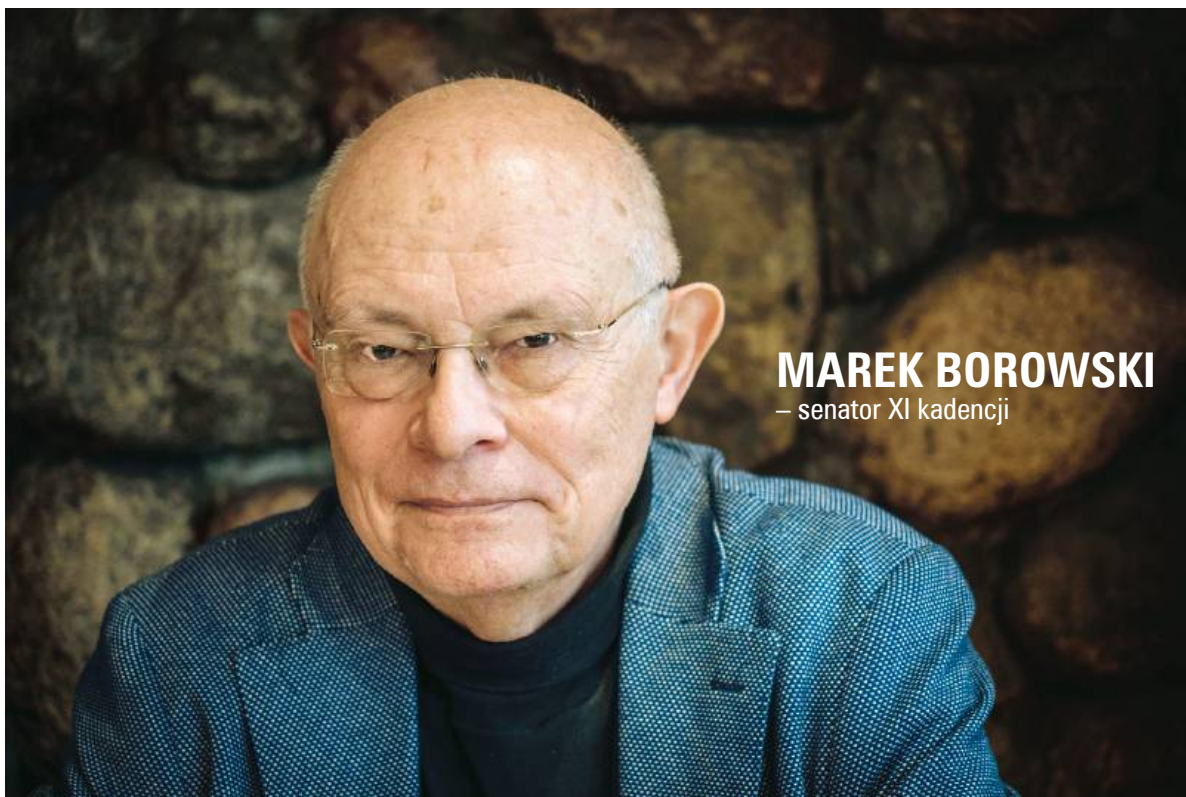
medioznawczyni, USWPS

Paradoksalnie Polaków więcej łączy, niż dzieli, natomiast nie zawsze są to rzeczy pozytywne. Oczywiście Polacy są radośni i lubią spotykać się ze sobą w dobrej atmosferze, jednak najbardziej łączy nas tragedia i problemy, zwłaszcza że od pewnego czasu żyjemy w bardzo nieprzewidywalnym świecie. Za wschodnią granicą trwa wojna, mamy kryzys gospodarczy i jesteśmy po pandemii. To wszystko wywołuje w ludziach brak poczucia stabilności i bezpieczeństwa, co powoduje także większą mobilizację i zwracanie się ku sobie. Musimy równocześnie pamiętać o tym, że w Polsce jest bardzo silna polaryzacja, która dzieli nasz kraj na dwie części. Wewnątrz tych grup widać bardzo silne poczucie wspólnoty przy jednoczesnej odrębności od grupy przeciwnej, jak w drużynie sportowej. Co więc łączy Polaków? Wspólne idee, wspólny wróg (ten element od zawsze jest bardzo silny w naszym narodzie). Na koniec jest oczywiście tradycja, którą lubimy kontynuować, i przywiązanie do realizowania różnych rytuałów, zarówno społecznych, jak i religijnych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Nasz bareizm powszechny

Polacy to naród bezpartyjny, który dość nagle i znacząco potrafi zmienić preferencje



MAREK BOROWSKI

– senator XI kadencji

Rozmawia Robert Walenciak

Pokłóć się w koalicji czy jednak to będzie się trzymało?

– Będą tarcia i czasami jakieś iskrzenia ze względu na to, że ugrupowania tworzące koalicję, poza Koalicją Obywatelską, są partiami o stosunkowo niskim poparciu. Kilkoprocentowym. Pojawia się więc obawa, że mogą spaść poniżej 5%, jeżeli wyborcy o nich zapomną. Dlatego trzeba się przypomnieć. A jak to zrobić? Najlepiej uderzyć pięścią w stół i zawołać: bez nas czegoś tam nie będzie! Ale tragedii z tego powodu bym nie przewidywał. W tej chwili wszystkie partie czekają na

zmianę prezydenta. A po jego zmianie trzeba będzie przeprowadzić ileś ustaw, które udowodnią, że warto było głosować 15 października 2023 r. Dopiero po przeprowadzeniu tych wszystkich ustaw, gdy sytuacja się ustabilizuje, będziemy mieli podejście pod następne wybory parlamentarne. Podejrzewam, że wtedy będziemy mieli wysyp zachowań „tożsamościowych”.

Czyli do wyborów prezydenckich nic w koalicji się nie zdarzy?

– Oczywiście będą wydawane jakieś okrzyki bojowe, ale nie sądzę, żeby doszło do drastycznych scen.

Rządzenie koalicyjne i jego meandry – dla nas, mających swoje lata,

to sytuacja znana. Ale dla ludzi 40 minus zupełnie obca. Zaskakuje ich koalicja różnych partii i różnych programów, bo nigdy z taką się nie spotkali.

– Tu się zgadzam. Osiem lat PiS to były rządy w zasadzie jednej partii, mimo że jakieś odłamy tam się pojawiały. Wcześniej była Platforma z PSL, ale z dominującą Platformą. I rzeczywiście ludzie, którzy jeszcze smugi cienia nie przekroczyli, nie bardzo wiedzą, na czym to polega. To widać! Na zdrowy rozum każdy powinien pojąć, że jak ktoś idzie z setką konkretów, to nie znaczy, że wszystkie załatwi. Koalicjanci mogą przecież powiedzieć, że chcą czegoś innego.

Że mają inne konkrety.

– Tymczasem co obserwujemy? Wyborcy generalnie wymagają realizacji wszystkiego, co było powiedziane. Jakby nie chwyтали tego, że to jest koalicja i trzeba te oczekiwania wypośrodkować. A jak dochodzi do sporów, to w ogóle jest trzęsienie ziemi!

Może to kwestia tego, że premier nie potrafi ułożyć sobie towarzystwa?

– Premier tutaj nie może działać tak jak Kaczyński ze swoją gwardią – tego zmieni, tamtego usunie i koniec. Kaczyński miał trzech

to wymaga zmian. PSL ćwiczyło to z ustawami kobiecymi i skutecznie je przyblokowało.

A jeśli chodzi o ministrów różnej jakości?

– Problemem jest też to, że np. Polska 2050 powstała nagle, z tzw. naboru przyspieszonego. Trudno tam o ludzi, którzy w jakikolwiek sposób przeszli proces rządzenia. A Hołownia szybko musiał obsadzić w zasadzie wszystkie resorty – kilku ministrów i pozostałych wiceministrów. Wiemy, jak to wygląda. Są jakieś rekomendacje, ktoś kogoś poleca, ale o nikim nic nie wiadomo

Wyborcy generalnie wymagają realizacji wszystkiego, co było powiedziane. A jak dochodzi do sporów, to jest trzęsienie ziemi!

ministrów spraw zagranicznych, panią Szydło wymienił na pana Morawieckiego itd. Jednak w przypadku obecnej koalicji natychmiast powstaje odczucie: lekceważą nas! Mają nas za hetkę-pętelkę! Nie można więc działać bez porozumienia. Bo gdy premier sięgnie za plecy któregoś lidera i np. kogoś wyrzuci, to on, Kosiniak-Kamysz, Hołownia albo Czarzasty, we własnym środowisku staje się miększonem. Dał sobie jeździć po głowie!

A jeśli minister jest słaby, ciągnie wszystko w dół i każdy to widzi?

– Dlatego podobne działania wymagają rozmów. Taki jest urok tego rodzaju rządów. W Niemczech Olaf Scholz zadziałał zdecydowanie. Gdy minister finansów nie chciał dać pieniędzy, powiedział mu: panu dziękujemy. A tamten odpowiedział: to my też panu dziękujemy. I mamy wybory. Scholz zdaje się po cichu liczyć, że CDU po wyborach będzie musiała zrobić z nim wielką koalicję.

Ale u nas premier może więcej. Bo dokąd Lewica może pójść, jak się zbuntuje? Do PiS?

– Raczej nie.

Czego zatem Tusk się obawia?

– Lewica do PiS nie pójdzie, ale może utrudniać. Jedną, drugą ustawę przytrzymać. Powiedzieć: my za tym nie zagłosujemy,

albo wiadomo mało. Potem mamy to, co mamy.

Lewica teoretycznie powinna być w lepszej sytuacji, bo to partia o długim stażu. Ale jest wyczyszczona z ludzi, którzy mieli doświadczenie rządowe. Chociaż do Dziemianowicz-Bąk i Gawkowskiego raczej uważa nie ma.

A minister Wieczorek już urzędowanie skończył.

– Taki to los ministrów. W Niemczech wszystkie partie, które tworzyły koalicję, przeszły proces rządzenia.

Wkurza mnie, że część ludzi łyka kłamstwo smoleńskie Kaczyńskiego i Macierewicza. Wychodowaliśmy w Polsce straszną formację polityczną.

Miały kadry, ludzi, którzy zawsze są gotowi wejść do ministerstwa z jakimś programem i jakąś myślą. A pokłócili się o zupełnie co innego, nie o to, że ktoś jest marnym ministrem. To nasza specyfika. Chociaż o Wieczorku akurat się nie pokłócono.

Może u nas źle się szuka ludzi na stanowisko, bo robi się to w partii, wśród zaufanych działaczy. A przecież nie brakuje ludzi kompetentnych: na uczelniach, w administracji, w rozmaitych środowiskach.

– Nie ma w Polsce tradycji sięgania po tzw. fachowców.

Trochę ich było. Kubicki, Gronicki...

– Mówię o tradycji. To, że ktoś się zdarzał, to margines. Choć można powiedzieć, że z tego zaciągu jest Adam Bodnar. Można by częściej sięgać po takie osoby, ale tu też łatwo się oszukać. Bo ludzie, którzy pochodzą z danego środowiska, są uwikłani w różne koterie, koncepcje, które akurat ich dręczą.

Może w takim razie w rządzie brakuje indywidualności? Widzimy Tuska, a potem długo, długo nic.

– Nie wiem, czy tak jest. Gdybyśmy przeanalizowali rządy europejskich krajów demokratycznych – Niemiec, Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii – to ciekaw jestem, ile byśmy w takich rządach naliczyli indywidualności. Jak popatrzymy na nasz rząd, łatwo znajdziemy osoby wybijające się. Na pewno indywidualnością jest Kosiniak-Kamysz. Odnalazł się na swoim stanowisku, wyraźnie mu się tam podoba. Bodnar – to jasne. Na pewno Nowacka. Oczywiście Sikorski, Sieroniak, Pełczyńska-Nałęcz – ona nawet czasami ma tę indywidualność bardzo wyrazistą. Nie wiem, czy kogoś niesłusznie pominąłem. Więc widzi pan, już trochę naliczyłem.

Kiedyś był taki system, że mieliśmy mocnego premiera i bardzo mocnego wicepremiera do spraw gospodarczych, ministra finansów. Teraz

to zniknęło. Kasa ludzi nie interesuje? Skąd ten upadek znaczenia Ministerstwa Finansów?

– To pewien proces. Obserwowaliśmy go już za PiS. Jak tylko Morawiecki dorwał się do premierostwa, to już nikt nie wiedział, kto jest ministrem finansów. Tusk w zasadzie to kontynuuje. Wprawdzie minister Domański czasami się pokazuje, ale nie ma funkcji wicepremiera. Ten proces jest związany w pewnej części ze zmianą dogmatów, jeżeli chodzi o politykę finansową, rolę deficytu, długu. Trochę przyczyniła się do

► tego pandemia, która rozregulowała finanse. Minister finansów po prostu nie mógł stawiać okoniem, politycy decydowali, co z tym robić.

Jak przekazywać pieniądze.

– Obserwowaliśmy to w wielu krajach Zachodu. Ten paradygmat trochę się zmienił. Co ciekawe, na razie nie powoduje jakiejś tragedii, np. inflacyjnej. To sprawia, że minister finansów staje się bardziej poborcą podatkowym, o to musi dbać, tego pilnować, a politykę musi zostawić premierowi. Tak to chyba jest.

Czyli jak?

– Rozmowa jest prosta. Mamy 10 palących potrzeb, które wymagają finansowania. Pan premier zaprasza ministra finansów i pyta go: ile tu jeszcze można? Potem musi ustalić hierarchię i dogadać się z koalicjantami, parę rzeczy odsunąć na później, a pozostałe poleca realizować.

W takim razie mamy premiera ministra spraw zagranicznych,

mu zasugerował: weź jakiegoś rzecznika, żeby coś mówił. A on: tak, ale wiesz, w tej sprawie to muszę sam, bo to delikatny temat...

Dochodzi tu jeszcze jedna rzecz: nie mamy stabilnej sytuacji polityczno-prawnej. To, co się dzieje z szeroko rozumianym ustrojem prawnym, to zgroza. Oczywiście, gdy pytają Bodnara, ten wszystko wyjaśni, da sobie radę. Ale gdyby pytali rzecznika, czy wyszedłby z tej próby? W tej chwili nikogo takiego nie widzę. Bo przecież wystarczy powiedzieć coś nie tak.

Spór o to, czyje prawo jest ważne, sprowadza się w końcu do tego, kto ma policjanta. Na pierwszym roku nauk politycznych uczą, że podstawową kategorią polityki jest siła, na prawie też to mówią. Bo co to za prawo, którego nie można wyegzekwować.

– Zgoda, ale ważne jest, jakie prawo się egzekwuje: dobre czy złe.

Bareizm? Bareja kręcił w PRL. Ustrój się zmienił, zwyczaje pozostały.

– W dużym stopniu.

To jest bezczelność czy śmieszność?

– To bezczelność, która przeradza się w groteskę. A groteska śmieszy. Tylko że przez łzy, bo to nie są w końcu zabawy. Jak u Gogola: z czego się śmiejecie? Sami z siebie się śmiejecie! Bo w pewnym sensie sami do tego dopuściliśmy. To nie tak, że PiS wcześniej było świetną i znakomitą formacją, tylko się wyrodziło. Nie! Oni od początku tacy byli, ale rządzący Polską demokratyczni i proeuropejscy politycy jakby nie zauważyli, ku czemu ta partia zmierza i od czego zależy jej sukces.

Czyli do ludzi nie trafia argument, że człowiek podejrzwany o zło-dziejstwo, i to jeszcze na podstawie miażdżących materiałów – myślę o byłym wiceministrze Marcinie Romanowskim – powinien stanąć przed sądem?

– Wydaje mi się, że do większości trafia, zwłaszcza teraz, gdy uciekł na Węgry, a autorytarny reżim Orbána przyznał mu azyl (!). Dlaczego zaś jest mniejszość, do której nie trafia? Na pewno są to ci, którzy nie znoszą Tuska i całej koalicji. Uważają, że ten Romanowski i spółka to ludzie pokrzywdzeni. Ks. Michał Olszewski – torturowany. Wąsik i Kamiński – z głodu mało nie pomarli. A ktoś inny jeszcze coś. Czyli pisowcy malują obraz więzienia, w którym Walerian Łukasiński siedział 46 lat i nikogo nie widział. Powtórzę: ci, którzy wierzą, że prawie setkę polskich osobistości z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele zabili pod Smoleńskiem Putin z Tuskiem, kupią każdą brednię, jeśli tylko zakomunikuje ją wódz.

Z drugiej strony ma pan Silnych. Razem, którzy wołają: dlaczego ten Bodnar i ten Tusk tak wolno rozliczają? Trzeba bardziej zdecydowanie!

– I tak będzie zawsze. Cokolwiek się robi, nie tylko w polityce, zawsze będą tacy, którzy powiedzą: za wolno, trzeba szybciej, sprawniej! A będą też inni, którzy zaczną narzekać: co on tak pędzi, łamie wszystkie

Warto docenić ministra Bodnara, który robi swoje bez hałasu i bicia w bębny.

premera ministra finansów, premiera ministra gospodarki, premiera szefa koalicji i premiera rzecznika prasowego premiera.

– Tusk rzeczywiście jest znakomitym rzecznikiem. Na tym polega problem. On organizuje te konferencje prasowe przed Radą Ministrów, po Radzie Ministrów, w przerwie Rady Ministrów.

W nocy tweetuje.

– Tak! Wszystko wyjaśni i na wszystkie pytania odpowie. Zachowując wszelkie proporcje, znam to po sobie. Też jestem takim perfekcjonistą, lubię sam dopilnować wszystkiego. Jak coś robię i organizuję, powinienem scedować pewne rzeczy na kogoś. Ale tego nie robię. Boję się.

Że ktoś nie robi tak, jak pan chce?

– Że nie robi do końca, zepsuje. A potem będę się tłumaczył. Może nawet bym mu coś dał, ale akurat jest tak pilna sprawa, że nie mogę. A potem kolejna i kolejna. I brnę w to. Już inaczej nie potrafię. Z Tuskiem jest tak samo! Może ktoś

Zaskakuje nas zatem PiS, które krzyczy o konstytucji?

– Wie pan, dlaczego kocham Polskę? Jest bardzo wiele powodów, ale jeden jest taki, że tu się dzieją rzeczy niebywałe. To jest kraj z Barei. Robimy rzeczy wielkie i wspaniałe, jestem z tego dumny, a z drugiej strony – bareizm jest powszechny. I to, co PiS wygaduje w sprawie konstytucji, praworządności, tortur i Bóg wie czego jeszcze, gdy poseł Wójcik mówi, że Romanowski, ukrywając się, przejawia nieposłuszeństwo obywatelskie, gdy mamy transparenty z napisem: „Solidarni z Romanowskim” – to wszystko jest czysty bareizm. Gdy to oglądam, nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Choć poza tym wkurza mnie, że część ludzi to łyka, podobnie jak kłamstwo smoleńskie Kaczyńskiego i Macierewicza. Pomiędzy zwolenników PiS, myślę o takich neutralnych, którzy zawsze są trochę antyrządowi, bo przecież nigdy nie jest tak dobrze, że nie mogłoby być lepiej. Wyhodowaliśmy w Polsce straszną formację polityczną.

zasady, nie myśli w ogóle, to się posypie! W polityce musi być strona, która pogania, ale trzeba zachować odporność.

Na poganianie?

– Obserwuję to dość wnikliwie, często mam okazję rozmawiać z Bodnarem, bo w Senacie siedzi obok mnie. Rzeczywiście, jeżeli przepisy prawa nie kolidują z konstytucją, trzeba je stosować. Nawet jeśli to dłużej trwa. Bo gdy się zacznie – w imię szybkości działania – naruszać takie przepisy, potem staje się to nagminne. Wtedy łatwo można wejść w buty PiS i później z nich nie

są też ci zajadli, którzy mi mówią: o, z panem nie rozmawiamy! Ale niewiele. Cała reszta chętnie posłucha i chce wiedzieć więcej. Do mojego biura przychodzą osoby z problemami. Jako senator jestem tylko pośrednikiem, nie mam władzy wykonawczej. Ale pójdę do rady dzielnicy, pójdę do ratusza, napiszę pismo, czasem wytłumaczę itd.

To ważne?

– Dla tych, którzy przychodzą – jak najbardziej. Przychodzili do mojego biura ludzie, którzy – i to było ewidentnie widać – nie byli zwolennikami Lewicy czy PO. A ja robiłem w ich

wymagają od pana kompetencji i ewentualnie załatwienia jakiejś sprawy?

– Dokładnie tak. Powiem więcej, ja w ogóle nie umiem się wdziaczyć. Czuję wewnętrzny opór przed tym, że będę się podlizywał, będę mówił: o, jaki pan świetny! Czuję wewnętrzny opór przed czymś takim, ponieważ miałbym wrażenie, że oszukuję ludzi. A nie chcę tego robić. Chcę być wobec wyborcy uczciwy. Przytaczam fakty i argumentuję, ale tak, żeby nie obrazić.

Ludzie słuchają?

– Oczywiście! W gruncie rzeczy lubię dyskusję. Owszem, mam swój pogląd, ale jeżeli ktoś ma inny i chce ze mną porozmawiać na ten temat, chętnie go wysłucham. I oceniam go. Czy jest obznajomiony z tematem? Czy mówi coś nowego, czego nie wiem? Myślę, że tzw. partyjność jest dość skromna w narodzie. W zasadzie Polacy to naród bezpartyjny, który dość nagle i znacząco potrafi zmienić preferencje. Najlepszy dowód, że co wybory ma pan jakichś niezależnych, nowych, walczących z elitami, którzy osiągnęli bardzo dobry wynik, jak Kukiz czy Hołownia.

Pan wyniki wyborów ma dobre.

– W pierwszych wyborach, w roku 2011 – a startowałem przeciwko Zbigniewowi Romaszewskiemu, co nie

Lewica jest wyczyszczona z ludzi, którzy mieli doświadczenie rządowe.

wyjąć. Dlatego warto docenić Bodnara, który robi swoje bez hałasu i bicia w bębny. Weźmy np. wymianę prezesów w sądach. Bodnar przeprowadza to w ten sposób, że sięga do opinii sędziów. Czyli mamy zmianę trwałą. I stopniową, bo sędziowie dojrzewają. Generalnie zatem poradę Silnym Razem, aby wykazali więcej cierpliwości.

Ale to okrzyki PiS są skuteczne.

A druga strona?

– Dlatego walczyć z tym i przekonywać ludzi można tylko dobrym rządzeniem. Żeby sprawy nawet powoli, ale szły do przodu. I to w zasadzie jedyna możliwość. Bo jakiegokolwiek polemizowanie z tym, co PiS mówi... Oni mówią, że łamana jest konstytucja, my odpowiadamy: to wy łamaliście konstytucję. Takie przepychanki, które niewiele znaczą. Część ludzi to wie. A ta część, która nie wie, wcale się nie przekona tylko dlatego, że ja coś powiem. Ona może się przekonać inaczej – jeśli po jakimś czasie będzie mogła powiedzieć: nie jest tak najgorzej, wszystko się stabilizuje, więc dlaczego ci z PiS tak krzyczą?

Jest pan senatorem z okręgu, w którym wpływy PiS są duże. Jak wyglądają rozmowy z wyborcami, jak pan im tłumaczy swoje zdanie?

– Ludzie generalnie nie są pisowscy, w takim rozumieniu, że wszystko biorą partyjnie i wszystko, co pisowskie, kupują w pakiecie. Owszem,

sprawie, co mogłem, nie bacząc na to, czy „jechali” na rząd, czy nie. Zdarzało się, że po moich interwencjach burmistrz dzielnicy ich sprawę załatwił. A ten burmistrz to Platforma. Jestem pewien, że człowiek, którego sprawa została załatwiona, nie stał się, wychodząc z biura, zwolennikiem koalicji, to niemożliwe, ale przestał być taki zawzięty. Zaczął patrzeć na świat inaczej. I to jest dobre rządzenie na niskim poziomie, na tym najbliższym obywatela. Jeżeli na tym poziomie sprawy ludzi będą załatwiane, to w pewnym

Zajadłych w społeczeństwie jest ok. 20%, a reszta się rozgląda.

momencie okaże się, że część pisowskiego elektoratu już nie jest pisowskim elektoratem. Owszem, przy PiS zostaną najzajadlejsi, ale to już nie będzie dominująca grupa.

Ilu tych zajadłych może być?

– Badania sondażowe pokazują, że PiS, które ma 30% poparcia, twardego elektoratu ma połowę. Przypuszczam, że w koalicji jest podobnie. A te procenty liczone są od tych, którzy deklarują pójście na wybory. Deklaruje to ok. 60%. W związku z tym takich zajadłych w społeczeństwie jest jakieś 20%, reszta się rozgląda.

W takim razie, gdy spotyka się pan z ludźmi, nie trzeba się podlizywać ani wdziaczyć. Oni tego nie chcą,

było proste – dostałem 51% głosów. W roku 2015 – 61%, w roku 2019 – 65%, a w ostatnich wyborach – 70%. Praca procentuje.

To chyba też jest wskazówka, jak należy postępować w polityce, czego ludzie oczekują. Że nie chcą agresji.

– Nigdy nie uprawiałem agresji, również w języku. Bo to przynosi krótkotrwałą satysfakcję, a na dłuższą metę nic nie daje. Poza tym, że człowiek zostaje ustawiony w grupie zajadłych i nienadających się do dyskusji.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Skarbonka Ziobry

Lasy Państwowe w czasie rządów PiS: złodziejstwo i mowa nienawiści w blasku aureoli Najświętszej Maryi Panny

Andrzej Sikorski

Prokurator krajowy Dariusz Korneluk powołał w Prokuraturze Regionalnej w Krakowie zespół śledczy do zbadania nadużyć i niegospodarności w Lasach Państwowych za rządów PiS. Wszystko wskazuje na to, że prokuratorzy będą mieli pełne ręce roboty. Do prokuratur w całej Polsce wpłynęło już ok. 50 zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez pisowskich nominatów. Szacuje się, że straty Lasów Państwowych mogły wynieść nawet pół miliarda złotych. To o wiele więcej niż w niesławnym Funduszu Sprawiedliwości.

Choć Lasy Państwowe zawsze padały łupem polityków, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby ta fachowa służba, zatrudniająca ok. 25 tys. ludzi i mająca uzbrojoną formację o uprawnieniach policyjnych (Straż Leśną), została totalnie podporządkowana partii wyznającej ideologię nienawiści powstałą na bazie religii katolickiej i skrajnego nacjonalizmu.

Leśny kaznodzieja

Andrzej Konieczny, dyrektor generalny Lasów Państwowych z lat 2018-2021, podczas pielgrzymki leśników na Jasną Górę we wrześniu 2019 r. zawierzył nadzorowaną przez siebie firmę (LP mają status przedsiębiorstwa państwowego) Najświętszej Maryi Pannie.

„Najlepsza nasza Matko, Pani Częstochowska! (...) Widzimy także, że Polska pozostaje coraz bardziej samotną wyspą na morzu ateizmu, buntu przeciw Bogu i wartościom chrześcijańskim. Widzimy dobrze, że wiele narodów Europy stara się żyć już tak, jakby Boga, prawdy i honoru na świecie nie było. Z lękiem



Sojusz instytucji z ołtarzem i dubeltówką – XIV Hubertus Węgrowski im. Jana Szyski. Po prawej szara eminencja Lasów Państwowych, ks. Tomasz Duszkiewicz. Łochów, 16 października 2022 r.

obserwujemy, jak wielu z za granicy rości sobie prawo, aby wtrącać się w nasze sprawy domowe i ojczyzniane, jak wielu chce ingerować i decydować o tym, co ma się dzieć w Polsce i na naszej ziemi. Nie godzimy się na to. (...) Jako leśnicy znaleźliśmy się na pierwszej linii walki o niepodległą Rzeczpospolitą. Jako leśnicy pierwsi przekonaliśmy się, że są siły, które chcą nas niepodległości i wolności narodowej pozbawić. (...) Wiemy, że Ty Niewiasto obleczona w słońce, masz moc oślepić naszego przeciwnika i doprowadzić nas do zwycięstwa! Pomnij, Maryjo, że jesteś Królową Korony Polskiej, że patronujesz naszemu Narodowi. Nie zostawiaj nas na pastwę nieprzyjaciół. Uchroń nas od szatana i wszelkich złych duchów!”, mówił Konieczny

w obecności polityków, biskupów i kilku tysięcy leśników.

Gdyby w jakimkolwiek kraju Unii Europejskiej urzędnik państwowy wypowiedział tak haniebne słowa, przystając raczej do fanatyka religijnego, natychmiast pożegnałby się z pracą. Ale w państwie PiS, mającym za nic porządek prawny, instytucje europejskie i konstytucję, które gwarantują równe prawa i szacunek także dla niewierzących, wszystkie chywy były dozwolone.

W 2021 r. Konieczny, gorliwy obrońca ojczyzny i wartości chrześcijańskich, został odwołany ze stanowiska. Stało się to po ujawnieniu przez media, że kupił od Lasów Państwowych z 95-procentową bonifikatą (za niecałe 9,5 tys. zł) posiadłość o powierzchni 110 m kw. w miejscowości Pomorze

na Podlasiu, wartą prawie 190 tys. zł, po czym przepisał ją na syna.

Zielony nazizm i obce ideologie

Oficjalna polityka Lasów Państwowych za rządów PiS wytyczana była przez propagandę, wedle której bezbożna Unia Europejska inspirowana przez lewackie, terrorystyczne organizacje ekologiczne chce narzucić Polsce swoją wizję ochrony przyrody, decydując, co w lasach można robić, a czego nie. Dlatego leśnicy niczym rycerze mieli stać na straży niepodległości Polski i bronić chrześcijaństwa. Grabieżczą politykę gospodarczą w lasach przykrywano zaś pseudopatriotycznym bełkotem z domieszką szowinistycznego mistycyzmu.

W 2017 r. poprzednik Koniecznego na dyrektorskim stołku, Konrad Tomaszewski (krewiak Jarosława Kaczyńskiego), podczas uroczystości odsłonięcia pomnika „Inki” w Nadleśnictwie Browsk stwierdził, że „Bóg wie, co czyni”, a „jeśli powołał szatana do życia, to tylko po to, żeby mobilizować nas do działania”. Tomaszewski „popłynął” też na konferencji u Tadeusza Rydyka „Jeszcze Polska nie zginęła – wieś”. Powiedział, że ruchy ekologiczne to w gruncie rzeczy „zielony nazizm”, a ich cel to „rozwalić te największe wartości, które budują naszą rzeczywistość, naszą suwerenność, nasz byt”. Tomaszewskiego odwołano w styczniu 2018 r., wraz z jego protektorem, ministrem środowiska Janem Szyszka.

Józef Kubica (na czele LP stał od kwietnia 2021 r. do stycznia 2024 r.) też sroce spod ogona nie wypadł. To działacz Solidarnej Polski i radny PiS Sejmiku Województwa Śląskiego. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. bezskutecznie ubiegał się o mandat europosła. W programie wyborczym przekonywał, że „z całą stanowczością należy dać opór ideologiom obcym i nie do przyjęcia w naszej chrześcijańskiej kulturze, trzeba zdecydowanie bronić modelu rodziny, w której rodzice – ojciec i matka – decydują o przyszłości swoich dzieci”.

Konieczny, Tomaszewski i Kubica byli wyedukowani w kwestiach

religijnych pewnie dlatego, że w LP działał Zespół Duszpasterski jako „zespół doradczo-pomocniczy” dyrektora generalnego. Do zadań zespołu należało „kształtowanie pożądanych postaw etyczno-moralnych” wśród leśników, a także wydawanie adresowanych do leśników „opinii, porad, wskazówek, wniosków i postulatów” „z uwzględnieniem nauki społecznej Kościoła katolickiego” i organizowanie „narad, spotkań, imprez”.

Skład desek

Za rządów takich arcy-patriotów i arcykatolików przez Lasy Państwowe przeszło tsunami kadrowe. A stanowisk do obsadzenia było aż nadto. Oprócz centrali, czyli dyrekcji generalnej ulokowanej w Warszawie, w skład LP wchodzi 17 dyrekcji regionalnych

komendant posterunku Straży Leśnej Nadleśnictwa Browsk, zasłynął z brutalnego pacyfikowania pokojowych protestów przeciwko nielegalnej wycinie w Puszczy Białowieskiej.

W Gdańsku dyrektorem regionalnym został Bartłomiej Obajtek, brat prezesa Orlenu. Stało się o nim głośno, gdy dziennikarze ujawnili, że już po przegranych przez PiS wyborach planował kupić od LP mieszkanie warte 700 tys. zł za ledwie 35 tys. zł. Jednak ministra środowiska Paulina Hennig-Kloska zdążyła zablokować transakcję.

W Krakowie na dyrektorskim stołku PiS ulokowało Jana Kosiorowskiego. Ten oddany sługa boży zamierzał wybudować w Puszczy Niepołomickiej kościół pod patronatem abp. Marka Jędraszewskiego. Świątynia miała być wotum dziękczynnym leśników

Szacuje się, że straty Lasów Państwowych mogły wynieść nawet pół miliarda złotych.

i 429 nadleśnictw. Za rządów PiS odpowiedzialne stanowiska obejmowały nie osoby o wybitnej wiedzy fachowej, doświadczeniu zawodowym czy kompetencjach, ale działacze partyjni i znajomi królika.

Szarą eminencją LP był ks. Tomasz Duszkiewicz, miłośnik zwierzęcych trofeów i przyjaciel ministra Szyski. Specjalnie dla duchownego w Dyrekcji Regionalnej Lasów Państwowych w Białymstoku utworzono stanowisko ds. współpracy z otoczeniem regionalnym. Choć Duszkiewicz pracował na etacie, nie musiał jak inni leśnicy przyjeżdżać co rano do pracy. Obowiązki wykonywał zdalnie. Według moich informacji jego praca była fikcją, a pieniądze brał za nicnierobienie.

Dyrektorem regionalnym LP w Olsztynie został Adam Rocznik, radny powiatowy PiS w Węgorzewie. Rocznik podobnie jak Konieczny wykupił za ułamek ceny (ok. 29 tys. zł) siedlisko w miejscowości Dłużek na Mazurach, wyceniane na 600 tys. zł.

W Szczecinku na dyrektorski stołek trafił Łukasz Maciejunas. „Człowiek o mentalności zbira”, jak go określił Michał Książek, pisarz i członek Obozu dla Puszczy. Maciejunas, wówczas

w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości, a na budowę zrzucał się leśnicy oraz nadleśnictwa. Choć formalnie budową świątyni zajmowała się Fundacja dla Niepodległej, to zrobiła się chryja. Okazało się bowiem, że Kosiorowski był współzałożycielem fundacji i mógł nadużywać służbowej zależności do zbiórki pieniędzy.

W Poznaniu na dyrektora regionalnego powołano Ewę Jedlikowską, działaczkę Solidarnej Polski. Wybuchł skandal, bo przyboczna Ziobry nie miała wymaganego stażu pracy w LP. Jeszcze dobrze się nie rozsiadła w dyrektorskim fotelu, a już musiała zrezygnować.

Niektóre zmiany kadrowe były tak bulwersujące, że aż zaprotestowała wspierająca PiS leśna Solidarność. „Działania te są odbierane wyjątkowo negatywnie przez leśników i prawicowe społeczeństwo polskie, a pozytywnie przez totalną opozycję, co w okresie kampanii wyborczej na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej rozbudza negatywny elektorat wobec naszego kandydata Andrzeja Dudy”, napisali związkowcy w specjalnej uchwale.

► Studnia bez dna

Z doniesień medialnych i nieoficjalnych informacji wynika, że grabieżcza polityka pisowskiej ekipy w Lasach Państwowych była wszechstronna, a pieniądze wyprowadzano na różne sposoby. Weźmy aferę billboardową. Dyr. Kubica wydał zarządzenie, że w każdym nadleśnictwie mają stanąć stelaże z banerami reklamowymi, promującymi rzekomo szeroko pojętą ochronę środowiska. Tak naprawdę zamierzano przeprowadzić kampanię wyborczą PiS w czasie wyborów parlamentarnych. Za przedsięwzięcie odpowiedzialna była wspomniana Ewa Jedlikowska,

promocją polityków partii Zbigniewa Ziobry, np. pikniki i spotkania plenerowe, a nawet koncert kolęd. Opłacano również pielgrzymki leśników na Jasną Górę i do Watykanu, wykupywano reklamy w propisowskich mediach.

Nadzór nad CILP sprawował Michał Gzowski, działacz Solidarnej Polski, doradca Zbigniewa Ziobry i szef gabinetu politycznego Michała Wosia, gdy ten był ministrem środowiska. Gzowski został rzecznikiem LP i choć nie był leśnikiem, paradował w mundurze. W CILP posady dostali dziewczyna Gzowskiego, syn Radosława Liszewskiego, piosenkarza disco polo, który występował

razdżili ludzie związani z byłym ministrem sprawiedliwości. Potem zio-bryści promowali się w mediach jako „dobrzy wujkowie”, dbający o lokalną społeczność. Według moich informacji na drogi Lasy Państwowe mogły wydać nawet 400 mln zł.

Co najmniej 65 mln zł utopiono w absurdalnym projekcie „Leśne Gospodarstwa Węglowe” (LGW). Pomysłodawcą LGW był minister Jan Szyszko. Aby zamknąć usta krytykom gardłującym, że LP nie dbają o ochronę klimatu, postanowiono, że na obszarze ok. 12 tys. ha, czyli ok. 1% powierzchni wszystkich lasów, utworzone zostaną eksperymentalne poletka z nasadzonymi drzewami. Założono, że przez 30 lat pochłonią one dodatkowo 1 mln ton dwutlenku węgla. Ludziom niezorientowanym w temacie mogło się wydawać, że to dużo, ale tak naprawdę było to śmiesznie mało, gdyż tylko Elektrownia Bełchatów emituje rocznie 38 mln ton dwutlenku węgla, a roczne emisje Polski wynoszą ponad 322 mln ton. Mgliste obietnice magazynowania dodatkowego miliona w drzewach i glebie były sprzedawane za realne pieniądze przez LP na aukcjach jako akcje – Jednostki Dwutlenku Węgla (JDW). Jedna akcja JDW odpowiada jednej tonie dwutlenku węgla i kosztowała kilkanaście złotych. Poważne firmy, takie jak KGHM Polska Miedź, Jastrzębska Spółka Węglowa, Grupa Lotos, Energa, PLL LOT, BNP Paribas Bank Polska, Bank Handlowy, Leroy Merlin czy Budimex, kupowały nic niewarte akcje, a ich prezesi cieszyli się jak dzieci, opowiadając dyrdymały o ochronie klimatu.

W przeciwieństwie do afer w Funduszu Sprawiedliwości czy Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, z których również wyprowadzono setki milionów złotych, wykrzywie wszystkich nadużyć w Lasach Państwowych ze względu na rozbudowaną strukturę przedsiębiorstwa (dyrekcję generalną, dyrekcje regionalne i nadleśnictwa) będzie żmudne i długotrwałe. Skala złodziejstwa i niegospodarności była tak wielka, że jeszcze długo na jaw będą wychodzić kolejne przekręty.

Andrzej Sikorski

W Lasach Państwowych działał Zespół Duszpasterski jako „zespół doradczo-pomocniczy” dyrektora generalnego.

jednodniowa dyrektorka dyrekcji regionalnej w Poznaniu, ulokowana na stołku dyrektorki Ośrodka Kultury Leśnej w Głuchowie. Na wyprodukowanie i zamontowanie 2 tys. stelaży LP planowały wydać 65 mln zł z Funduszu Leśnego. Wykonanie i montaż powierzono spółce należącej do LP – zakładowi budowlano-drogowemu Bieszczady z Ustrzyk Dolnych. Ponieważ Bieszczady nie miały doświadczenia w tego typu pracach, wzięły podwykonawców. Okazało się, że za część prac zapłacono dwukrotnie, a zamiast 2 tys. konstrukcji w lasach stanęło ok. 360. Braki w dokumentacji technicznej zaś uniemożliwiły ich legalne i bezpieczne użytkowanie. Natomiast niewłaściwe składowanie wyprodukowanych elementów stelaży spowodowało ich nieodwracalne uszkodzenia, przez co billboardów nie można było ustawić. Na szczęście nie wydano 65 mln zł, ale i tak straty oszacowano na ponad 20 mln.

Kilkadziesiąt milionów złotych z naruszeniem prawa wydało Centrum Informacyjne Lasów Państwowych (CILP), komórka odpowiedzialna za promocję i komunikację, zwana też „biurem leśnej propagandy”. Z tych pieniędzy organizowano imprezy i akcje, które były ukrytą

na weselu Gzowskiego, asystentka wiceministra Edwarda Siarki, kolega ze studiów Michała Wosia i internetowy hejter, a teraz poseł Dariusz Matecki, zatrudniony na fikcyjnym etacie. Matecki brał pieniądze, ale nikt nigdy nie widział go w warszawskim biurze, bo na co dzień mieszkał w Szczecinie.

Kilkanaście milionów złotych przepuszczono na kuriozalny konkurs „Drewno jest z lasu”, mający na celu „promowanie drewna i Lasów Państwowych jako głównego dostawcę tego surowca”. Spośród 118 laureatów konkursu (dostali oni do 100 tys. zł nie wiadomo za co) większość stanowiły parafie katolickie.

Pieniądze wyprowadzano do zaprzyjaźnionych z politykami PiS firm i kancelarii prawnych. Jedną z takich kancelarii była Aventus z Raciborza prowadzona przez kolegę ze studiów Michała Wosia. Aventus zarobiła na współpracy z LP prawie 5 mln zł. Przekazywano poza tym darowizny dla Kościoła, szpitali, szkół i ochotniczych straży pożarnych, które znajdowały się w okręgach wyborczych polityków Solidarnej/Suwerennej Polski. Za pieniądze LP remontowano i budowano nawet drogi w okręgach wyborczych polityków partii Ziobry albo w gminach, gdzie

Najważniejsza jest weryfikacja

Fake news ma imitować informację prawdziwą.
Może być tworzony w różnych celach, głównie politycznych

Rozmawia Anna Wyrwik

Czym zajmuje się Stowarzyszenie Demagog?

– Demagog to powstała w 2014 r. pierwsza polska organizacja fact-checkingowa, czyli taka, która zajmuje się weryfikowaniem informacji. Naszą misją jest – mówiąc górnolotnie – podnoszenie poziomu debaty publicznej i edukacja społeczna.

Czym jest fake news?

– Nieprawdziwą informacją, która ma imitować informację prawdziwą. Może być tworzony w różnych celach, przede wszystkim politycznych. Zresztą sami politycy często używają tego określenia. Zyskało ono popularność podczas kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa w 2015 r., a potem wielu polityków zaczęło go używać do walki politycznej. Ale fake newsy tworzone są również na potrzeby zarobku. Mamy wysyp różnego rodzaju oszustw internetowych, które bazują na fałszywych informacjach.

MARCEL KIEŁTYKA

– członek zarządu, dyrektor ds. komunikacji i PR
w Stowarzyszeniu Demagog

Warto rozróżnić pojęcia fake news i dezinformacja. Dezinformacja jest jednym z trzech rodzajów zaburzeń informacyjnych. To celowo sfabrykowana, fałszywa informacja, służąca konkretnym celom. Fake news jest zatem narzędziem dezinformacji. Drugim zaburzeniem informacyjnym jest misinformacja (*misinformation*), czyli rozpowszechnianie fałszywych informacji, ale niezamierzone, spowodowane brakiem weryfikacji faktów. Z misinformacją mamy dziś do czynienia bardzo często. Trzecie zaburzenie to malinformacja (*mal-information*) – informacja oparta na prawdziwej, ale rozpowszechniana w celu wyrządzenia komuś krzywdy.

Jak przebiega proces weryfikowania faktów?

– W świecie kultury obrazkowej wiele dezinformacji podawanych jest w formie zdjęć i filmów. Są na nowo kadrowane, inaczej opisywane, wycinane i umieszczane w nowych kontekstach. Dzieje się tak szczególnie w przypadku informacji dotyczących wojen i kryzysów. Ich weryfikacja może być bardzo prosta – czasem wystarczy je wrzucić do wyszukiwarki Google i przejrzeć kilka stron, by znaleźć pierwotne wersje w oryginalnym ►



► kontekście. Można też znaleźć informacje o poprzednich dezinformacjach, bo bywa, że dezinformacje wracają. Tak było ze słynnym filmikiem, na którym mężczyzna otworzył od środka worek na zwłoki i zapalił papierosa. Filmik umieszczano w kontekście pandemii COVID-19 czy wojny w Ukrainie, a jest to po prostu nagranie z planu teledysku.

Dość skomplikowana jest weryfikacja słów. Gdy informacja jest fałszywa, to stosunkowo proste. Gorzej z wypowiedziami zawierającymi słowa zwane przez nas wytrychami, np. około czy mniej więcej. Najgorzej jest

nie są zgodne z publicznie dostępną wiedzą, opartą na reprezentatywnym, wiarygodnym i rzetelnym źródle. Jest to również wypowiedź, w której autor przedstawia dane nieaktualne, przeczące najnowszym. Albo taka, w której zawarte są częściowo poprawne dane, ale pomija się kluczowe informacje, co powoduje fałszywe oddanie stanu faktycznego.

Manipulacja to wypowiedź zawierająca informacje wprowadzające w błąd, naginające lub przeinaczające fakty. Może być to pominięcie ważnego kontekstu. Może być powoływanie się na prawdziwe dane, ale po

wykonania inwestycji głównej, czyli budowy. Naszym zdaniem ta wypowiedź miała więcej znamion manipulacji niż fałszu. Jednocześnie manipulacja wcale nie musi być „mniej dotkliwa” dla polityka niż fałsz.

Skąd bierzecie materiały do weryfikacji?

– Codziennie rano sprawdzamy telewizję, radio, internet, a w nich m.in. programy publicystyczne, dalej prasę, YouTube i profile kandydatów w mediach społecznościowych. Szukamy w nich wypowiedzi, które odnoszą się do faktów i które można sprawdzić. Wiele materiałów dostajemy od czytelników naszego portalu demagog.org.pl, w tym wiele takich, na które sami się nie natknęliśmy. Trudno przecież dziś dotrzeć do wszystkiego. Oprócz tego mamy swoje „ulubione” źródła, w tym profile w mediach społecznościowych, niekoniecznie związane z polityką, które regularnie sprawdzamy.

Kto produkuje w dezinformacji?

– Jeśli chodzi o zdrowie, jednym z liderów dezinformacji, niestety bardzo szkodliwie, jest Jerzy Zięba, który prowadził profil „Ukryte Terapie – Jerzy Zięba”. Znajdziemy tam takie treści jak porównanie chemioterapii do cyklonu B, umniejszanie roli hormonów w leczeniu tarczycy, oczywiście wszelkie możliwe niebezpieczeństwa związane ze szczepieniami, zalecenia leczenia COVID-19 witaminą C itd. Jest to działalność dezinformacyjna mająca na celu m.in. zarobek. A my te jego dezinformacje na bieżąco weryfikujemy. Takich Jerzych Ziębów mamy w polskim internecie przynajmniej kilku.

Jeśli zaś chodzi o nowe technologie, ostatnio można znaleźć wiele fałszywych informacji na temat sieci 5G. Większość ich autorów ukrywa się pod różnego rodzaju nickami. Co jakiś czas pojawia się np. Jerzy Weber, który ma swój profil, ale tak naprawdę nie istnieje. Ci ukrywający się autorzy piszą, że sieć 5G jest szkodliwa dla zdrowia, powoduje schorzenia, raka mózgu itd. Tu też widoczny jest aspekt zarobkowy, ponieważ obok działalności wprowadzającej w błąd sprzedają oni m.in. poradniki, jak się zabezpieczyć przed siecią 5G. Tego typu dezinformacje

Fałszywe informacje były z nami od zawsze. Dziś jest ich po prostu więcej, ponieważ produkujemy więcej treści.

z opiniami, bo przecież one są w ogóle nieweryfikowalne. W podobnych przypadkach staramy się w ramach analizy opisać dany temat, aby pokazać czytelnikom cały kontekst, żeby sami mogli wyrobić sobie zdanie.

Weryfikujecie wypowiedzi polityków i oznaczacie je różnymi kategoriami. Jakimi i czym one się różnią?

– Chcę zaznaczyć, że jesteśmy niezależni i apolityczni. Każdego weryfikujemy tak samo – bez względu na partię, do której przynależy. Nie jesteśmy od uprzykrzania politykom życia, tylko – może to zabrzmieć paradoksalnie – od pomagania im. Chcemy ich zmotywować (zwłaszcza polityków leniuchów), aby przygotowywali się do wypowiedzi i nie rzucali niezawerifikowanymi czy nieaktualnymi danymi.

Mamy więc pięć kategorii: „nieweryfikowalna”, „prawda”, „częściowa prawda”, „manipulacja” i „fałsz”. Najbardziej płynna jest różnica między dwiema ostatnimi. Zanim ją wyjaśnię, chcę zaznaczyć, że fałsz nie jest tożsamy z kłamstwem. Kłamstwo jest intencjonalne, a my nie chcemy zakładać złych intencji polityków. Politycy potrafią jednak tak konstruować argumenty, że czasem w redakcji mamy zagwozdkę, czy coś jest fałszem, czy manipulacją.

Jaka jest różnica?

– Fałsz to po prostu wypowiedź, w której żadne przytoczone dane

to, by wyciągnąć fałszywe wnioski. Albo *cherry picking*, czyli wybiórcze wykorzystywanie danych, by pasowały do tezy. Manipulacja to także wyolbrzymianie własnych dokonań i umniejszanie dokonań przeciwników politycznych. Do tego dochodzą pozamerytoryczne sposoby argumentowania, czyli odnoszące się nie do rzetelnych danych, ale do dowodów anegdotycznych.

Proszę podać przykład wypowiedzi, w przypadku której mieliście zagwozdkę, czy jest to fałsz, czy manipulacja.

– Na jednym ze spotkań Rafał Trzaskowski powiedział na temat CPK: „PiS (...) opowiadał o wielkich inwestycjach, tylko żadnej nie przygotował. Paru gości za miliony pilnowało pola”. Określił to jako manipulację, a nie fałsz, co wywołało dyskusję w mediach społecznościowych. Rafał Trzaskowski stwierdził, że za rządów PiS nie przygotowano żadnej inwestycji związanej z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie, czego dowodzi fakt, że w miejscu, w którym CPK miał powstać, jest puste pole. Rzeczywiście nie przygotowano żadnego budynku, pasa startowego czy wieży kontrolnej. Jednak Trzaskowski pominął istotną kwestię, że przygotowanie inwestycji to nie samo stawianie budynków, ale także planowanie i projektowanie, niezbędne do

często są inspirowane przez aktorów zewnętrznych, zakładamy, że z kierunku wschodniego. Ich celem jest przekonanie społeczeństwa, że nie warto stawiać masztów 5G. Wiadomo, że sieć 5G przyczyni się do rozwoju Polski, a im ten rozwój nie jest na rękę. Chcą więc wywołać w społeczeństwie opór. To im się udało choćby w Anglii, gdzie przecież były przypadki celowego podpalania i niszczenia masztów 5G, sprowokowanego właśnie takimi dezinformacjami.

Skąd jako osoba korzystająca z mediów mam wiedzieć, że jakaś informacja jest podejrzana?

– Po pierwsze, powinniśmy zwracać uwagę na to, jak dana informacja na nas oddziałuje. Fake newsy często bazują na emocjach. Jeśli więc czytamy daną informację i ona budzi w nas wyjątkowo złe albo czasami pozytywne emocje, zastanówmy się, czy to, co czytamy, aby na pewno jest prawdą. Po drugie, jeśli coś wydaje nam się niewiarygodne i nieprawdopodobne, zazwyczaj takie jest. Sprawdźmy to.

Jak to zrobić?

– W przypadku mediów informacyjnych warto zacząć od sprawdzenia URL strony. Bywa, że oszuści podszywają się pod prawdziwe strony informacyjne w celu rozpowszechniania nieprawdziwych informacji i wszystko wygląda tak samo: szata graficzna, czcionka itd., ale URL różni się jedną kropką czy literą. Zawsze warto zerknąć w zakładkę „o nas”, by się dowiedzieć, co to za medium, kto je tworzy, z kim jest związany. Jeśli jest podane nazwisko autora, możemy sprawdzić, gdzie wcześniej publikował, z jakimi redakcjami jest związany, z jakimi firmami i czy nie ma konfliktu interesów.

Co do samego artykułu, jeśli nie ma on podanych źródeł, jego wartość od razu spada i powinniśmy być ostrożni. Możemy zastosować metodę lateral reading, czyli „czytanie w poziomie”. Polega ona na tym, by otwierać kolejne karty, na których sprawdzamy informacje zawarte w artykule. Zasada dziennikarska to minimum dwa źródła potwierdzające daną informację.

Te działania stworzą nam pełen kontekst informacji, na podstawie

którego będziemy mogli wyciągnąć wnioski. Jeśli wciąż nie jesteśmy pewni, możemy się zgłosić do organizacji fact-checkingowej z prośbą o weryfikację. Warto też zaglądać na strony takich organizacji, bo może ta weryfikacja już tam jest. Poza tym my zawsze piszemy, jak zweryfikowaliśmy daną informację, więc można iść krok po kroku według tej instrukcji.

A co z informacjami w social mediach?

– Przede wszystkim, gdy czerpiemy jakieś informacje, warto korzystać z oficjalnych źródeł. Jeśli zatem potrzebujemy informacji na temat choroby, lepiej wejść na stronę MSZ czy WHO niż na profil Jerzego Zięby. Ale oczywiście media społecznościowe nadal są miejscem, gdzie znajdziemy wielu świetnych i rzetelnych autorów. Ważne, by ich sprawdzać. Zawsze zaczynamy od źródła informacji, czyli profilu. Sprawdźmy, do kogo należy i kim jest ta osoba, co i gdzie

Wiele dezinformacji podawanych jest w formie zdjęć i filmów. Są na nowo kadrowane, inaczej opisywane, wycinane i umieszczane w nowych kontekstach.

wcześniej publikowała, jakie komentarze zostawiała w przeszłości i pod jakimi tematami. Jeśli jest to profil anonimowy, od razu powinna nam się włączyć lampka ostrzegawcza.

W social mediach powinniśmy być dużo bardziej czujni i ostrożni, ponieważ one trochę żerują na naszej nieuwadze, lenistwie, braku umiejętności i chęci weryfikowania. Tam te informacje konsumujemy bardzo szybko i niestety nie zawsze mamy czas, a też nie zawsze nam się chce je sprawdzać.

W którą stronę to wszystko idzie?

– Pamiętajmy o tym, że fake news nie jest niczym nowym. Fałszywe informacje były z nami od zawsze. Dziś jest ich po prostu więcej, ponieważ produkujemy więcej treści, a skala dezinformacji rośnie proporcjonalnie do skali informacji i treści w ogóle, nie tylko w mediach społecznościowych, ale generalnie w całym internecie, w tym w tzw. mediach tradycyjnych. Myślę, że to idzie w kierunku

pewnego rodzaju wyścigu zbrojeń. Z jednej strony, będą się pojawiać nowe technologie, które będą się przyczyniały do powstawania kolejnych fałszywych informacji. Z drugiej strony, my, czyli fact-checkerzy, oraz media pracujemy nad rozwiązaniami technologicznymi, które pomogą automatycznie odsiewać dezinformacje od informacji prawdziwych.

Co o dezinformacji sądzą Polacy?

– W tym roku w ramach koalicji na rzecz walki z dezinformacją, powołanej przez nas wraz ze Związkiem Firm Public Relations i Fundacją Digital Poland, przeprowadziliśmy badania „Dezinformacja oczami Polaków”. 82% badanych uważa, że skala dezinformacji rozpowszechnianej w internecie wzrosła w ciągu minionej dekady. 79% Polaków zadeklarowało, że spotkało się z dezinformacją, a 84%, że miało do czynienia z fake newsem. I teraz uwaga – 70% spośród tych, którzy spotkali się z fake newsem, przyznało, że otrzymało go od innych

osób. Przekładając tę informację na ogół Polaków, okazuje się, że co drugi Polak otrzymał fake newsa od innej osoby.

O jakim zaburzeniu informacyjnym mówimy w tym przypadku?

– To są właśnie misinformacje, czyli niezamierzone rozpowszechnianie fałszywych informacji. Ktoś chciał przekazać komuś dalej informację, ponieważ uznał ją za ważną, sensacyjną, istotną z jakiegoś punktu widzenia. Nie był świadomy, że jest to informacja fałszywa, bo jej nie zweryfikował. Myślę, że to bardzo niebezpieczne zjawisko, szczególnie że, jak wynika z badań portalu YouGov przeprowadzonych w kontekście pandemii, Polacy największe zaufanie mają do rodziny i przyjaciół. Nawet w kontekście COVID-19 to od nich, a nie od lekarzy czy ekspertów czerpali informacje. Dlatego ważne jest, by sprawdzić informację, zanim podamy ją dalej.

Anna Wyrwik

Fenomen Teatru STU

Nie ma teatru dramatycznego bez żywego słowa.
Może paradoksalnie sztuczna inteligencja sprawi,
że zatęsknimy za żywym słowem i prawdziwym aktorem



KRZYSZTOF JASIŃSKI

– twórca legendarnego Teatru STU

Bardzo nam brakuje Jerzego Treli
– mieliśmy wspólne plany.

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Teatr przeżywał rozmaite lęki o swoją przyszłość. Wiek temu zagrażało mu kino, potem telewizja, a teraz sztuczna inteligencja?

– Pojawiają się takie opinie. Temat nabrzmiewa, a z każdym dniem obecność sztucznej inteligencji staje się coraz bardziej odczuwalna. Jedni lękają się, że ich zastąpi, drudzy liczą, że wzbogaci możliwości teatru. To ci, którzy wiążą z AI nadzieję na nasycenie teatru nowoczesnością. Są już w Europie spektakle ze sztuczną

inteligencją w roli głównej. Zaangażowani w nowinki chcą zaprząć AI do roboty, choć zwykle w tych planach lekceważą najważniejszy podmiot.

Mianowicie?

– Słowo ucieleśnione. AI jest operatorem w zasobie słów, ale nie zastąpi żywego aktora. Fenomen teatru polega na tym, że mamy do czynienia ze specyficznym kontaktem międzyludzkim, często dość intymnym. Tu AI będzie bezsilna. Teatr jest po przeciwnej stronie – świat wyobraźni rozkwita raczej w krainie ducha. Mam nadzieję, że jeszcze zobaczą, jak zdycha dekonstrukcja,

postmodernistyczny paradygmat. Jakąś rolę odegrał, nie przeczę, namieszał w humanistyce i sztuce, ale już jest anachroniczny.

Ze słowem w teatrze bywa różnie.

– Obserwujemy klęskę słowa, i to na wszystkich poziomach. Wyrzucano autora, próbując zastąpić go dramaturgiem albo nawet zespołem dramaturgów. Szkoły aktorskie już nie potrafią uczyć mówienia – młodzi aktorzy nie wiedzą, co to jest słowo ucieleśnione, metafizyka słowa. Mówią niewyraźnie, nie znają wagi samogłosek i ich szczególnej roli w przenoszeniu emocji.

Niepotrzebny im taki warsztat, wystarczy mikrofon – i już słycać.

Może i słycać, ale co?

– Otóż to! Mikrofon deformuje relację aktor-widz. Siedzę w teatrze, który ma większą scenę, i nie wiem, kto mówi, bo słyca w głośnikach. Słyca radio, a nie żywego człowieka. Ale jest coś ważniejszego, co jest tajemnicą słowa – słowo ucieleśnione przez aktora. Jeśli jest przetworzone, oderwane od ciała

Kolegowałem się z nim przez kilka lat i pamiętam eksperymenty z rezonatorami ciała. Wtedy jeszcze Grotowski powoływał się na tradycję Reduty Juliusza Osterwy, potem po prostu opuścił teatr.

A mnie wymowy w szkole teatralnej uczyła Halina Gallowa, żona Iwona Galla, aktorka Reduty. Potem naszą nauczycielką była Danuta Michałowska, ukształtowana w Teatrze Rapsodycznym Mieczysława

postmodernistyczne, które teraz króluje na scenach, nie ma zielonego pojęcia, czym jest metafizyka słowa w teatrze.

Brakuje dawnych mistrzów?

– Bardzo nam brakuje Jerzego Treli – mieliśmy wspólne plany. Na jubileusz 60-lecia STU przygotuję spektakl oparty na „Fauście” Goethego. Dostrzegłem inspirujące paralele. Goethe pracował 60 lat nad „Faustem”, STU właśnie obchodzić będzie 60-lecie.

Jerzy Treła kilkanaście lat grał mistrzowski monodram „Wielkie kazanie księdza Bernarda” Leszka Kołakowskiego. Jak trzeba było jakiegoś demona czy ducha albo samego diabła zagrać, to Jerzy Treła był najlepszy. W „Hamlecie” Duch Ojca, w „Weselu” Chochół – i dalej w „Wyzwoleniu” i „Akropolis”, bo graliśmy cały tryptyk pod wspólnym tytułem „Wędrowanie”. „Hamlet” jest już grany przez 25 sezonów i bezcieleny głos Jerzego Treli elektryzuje przedstawienia.

Ale już wcześniej grzmiał z wawelskiej wieży: „Wyzwolin ten doczeka się dnia, kto własną wolą wyzwolony” w trakcie widowisk podwawelskich, kiedy podczas wianków krakowskich gromadziło się 200 tys. ludzi. Teraz w scenariuszu „Fausta” zatrudnimy sztuczną inteligencję, żeby mówiła głosem Treli. To będzie

Fenomen teatru polega na tym, że mamy do czynienia ze specyficznym kontaktem międzyludzkim, często dość intymnym. Tu sztuczna inteligencja będzie bezsilna.

– magia słowa ginie. Nie ma teatru dramatycznego bez żywego słowa. Może paradoksalnie AI sprawi, że zatęsknimy za żywym słowem, aktorem – magiem słowa. Elita, która przywróci kontakt z żywym słowem, wyłączy mikrofony, prąd i wróci do tradycyjnej, misteryjnej funkcji teatru – w większym stopniu, niż to dzisiaj bywa.

Czy słowo zawsze było dla pana jądrem teatru?

– Niewiele o tym mówiłem, bo nikt mnie o to nie pytał. Miałem szczęście, że kiedy jako „spadochroniarz” niespodziewanie wylądowałem w Krakowie, dyrektorem Starego Teatru sprawował jeszcze Władysław Krzemiński. Od tego czasu znałem wszystkich jego dyrektorów, a z niektórymi się przyjaźniłem. Stary Teatr zawsze był nowoczesnym teatrem dramatycznym. Zanim zapisano mnie do szkoły teatralnej, odwiedzałem Teatr 13 Rzędów w Opolu. Potem, już w Krakowie, poznałem bliżej Waldemara Krygiera, współpracownika Jerzego Grotowskiego – rzadko dzisiaj się go wspomina, a był malarzem, kostiumografem, wykonywał plakaty dla Grotowskiego, pamiętne linoryty do „Apokalypsis cum figuris”. Wtedy z Jerzym Gurawskim pomagał Grotowskiemu kształtować przestrzeń spektakli, architekturę, plastykę. To był czas, kiedy Grotowski przywiązywał jeszcze wagę do słowa, jego współpracownicy prowadzili lekcje wymowy.

Kotlarczyka, wielkiej szkole słowa scenicznego. Kotlarczyk nawiązywał do niemieckiej metody sprachgestaltung, opracowanej w latach 20. ubiegłego wieku przez Rudolfa i Marię Steinerów. Ich nowe podejście do języka zainspirowało wielu twórców i pedagogów teatru. Sam Kotlarczyk wydał książkę „Sztuka żywego słowa. Dykcja, ekspresja, magia” (Rzym, 1975). W Polsce cenzura nie chciała puścić trzeciego rozdziału, „Magia”, i całość ukazała się dopiero w Watykanie nakładem Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego z przedmową Karola Wojtyły.

Muszę przekazać Teatr STU następnemu pokoleniu. 20 lutego świętujemy początek jubileuszu 60-lecia premierą „Sługi dwóch panów”.

Wracając do „moich uniwersytetów” – w PWST wiersza uczył mnie Jerzy Merunowicz, dawał mi nawet „prywatne” lekcje. A sprawa była prosta: zamiłowanie do mowy wpoić mi w liceum znakomity nauczyciel łaciny – do dzisiaj z pamięci mogę recytować fragmenty Owidiusza.

Podobno potem sam pan dawał lekcje wymowy?

– Doksztalałem aktorów – zwracałem uwagę na wymowę, a tak naprawdę na to, jak to jest z tą magią słowa, jakie są podstawowe tajemnice sztuki aktora. Młode pokolenie

mefistofeliczny, cyfrowy głos Jerzego Treli – inaczej mówiąc, diabelska robota.

Czyli sztuczna inteligencja jednak na coś się panu przyda.

– Owszem, będzie służyła, nabierze lucyferycznych znaczeń, będzie na swoim miejscu.

Często powtarza pan nazwisko Wyspiańskiego, w pańskiej biografii można je znaleźć wielokrotnie.

To aura Krakowa?

– Wyspiański leży na Skałce w znakomitym towarzystwie, a jego teatr nosi imię Słowackiego. ▶

► A przed teatrem stoi pomnik Fredry.

– O! Wszystko się zgadza. Zostawmy wieszczów w spokoju. Fredro to wielki poeta teatru. Tamci są tragikami, a on komediantem. Komedia jest sztuką wolności, nie boi się śmierci, a tragedia jest śmierci niewolnicą.

A Wyspiański?

– Wiele lat spędziłem nad jego tekstami, właściwie zawsze mi towarzyszyły. Nie myślałem o ich wystawieniu, za wysokie progi itd. Ale wisiało nade mną „Wesele” jako odpowiedź na „Dziady” z kolejną inkarnacją Konrada albo genialne studium o Hamlecie. Czytając „Wyzwolenie”, dociekałem, o co chodzi z tymi

Stąd zamierzony powrót do „Fausta”?

– Muszę przekazać Teatr STU następnemu pokoleniu. Z domu wyniosłem przekonanie, że trzeba planować do przodu, zastanawiając się, co będzie za kilka lat. Dlatego wciąż mam mnóstwo roboty i dzięki temu to wszystko się kręci. 20 lutego świętujemy początek jubileuszu 60-lecia premierą „Sługi dwóch panów”, nawiązując do najwybitniejszej realizacji tej najślawniejszej komedii Goldoniego w mediolańskim Piccolo Teatro (1947). Zagramy po nowemu, ale w maskach, kostiumach, jak trzeba.

Obserwujemy klęskę słowa, i to na wszystkich poziomach.

maskami, jaką kryją tajemnicę. Już filolog klasyczny prof. Tadeusz Sinko kierował odbiorców do Edwarda Schuré – francuskiego poety i filozofa. Jego książka „Wielcy wtajemniczeni. Zarys tajemnej historii religii” o wielkich reformatorach ducha, od hinduskiego boga Ramy po Jezusa, ukazała się w roku 1889, czyli mniej więcej wtedy, kiedy w Paryżu przebywał Stanisław Wyspiański. Potem dowiedziałem się, że była to najważniejsza lektura Juliusza Osterwy. W paryskim środowisku, w którym obracał się Wyspiański, była modna i obowiązkowa. W rozdziale poświęconym Hermesowi znalazłem wtajemniczenie Izdy z 22 wielkimi arkanami. To była inspiracja Wyspiańskiego do dialogu z maskami, który stanowi trzon „Wyzwolenia”. Potem dopisał sceny początkowe i końcowe. Ale męczyło mnie, skąd Schuré wziął tę zaklętą formułę. Mój przyjaciel Jerzy Prokopiuk, antropozof, wybitny tłumacz tekstów ezoterycznych, podpowiadał mi, że trzeba szukać u Goethego, a najlepiej w tekstach Rudolfa Steinera. W jednym z jego wykładów znalazłem odniesienia do wczesnego poematu Goethego „Tajemnice”. Tam już jak byk było napisane: „Wyzwolin ten doczeka się dnia, kto własną wolą wyzwolony”. To podstawa paradygmatu goetheańskiego, który oświecał mnie przez 60 lat pracy w Teatrze STU.

Reżyseruje Krzysztof Jasiński, o czym wiadomo dzięki publikowanemu od wielu lat rocznemu repertuarowi przedstawień w Teatrze STU.

– No tak, ale co jeszcze? Wtedy pomyślałem, że najbardziej prawdopodobnie byłoby sięgnąć po „Fausta”. Zgadzały się lata tworzenia, 60 lat, jak pan wspominał.

– Proszę to traktować z przymrużeniem oka. My też – na swoją miarę – przechodziliśmy mutacje. Wywodzimy się z generacji, dla której przeżyciem pokoleniowym był marzec 1968 r. – w Europie wydarzył się potem studencki maj, a my już byliśmy dla naszych zachodnich przyjaciół

po wojnie w Ukrainie, a w Ameryce będzie rządził inny prezydent. Przejdziemy przez kolejny ważny próg. Z jednej strony atak AI, z drugiej ruiny ostatecznie postmodernizmu. Widmo krąży po Europie – widmo Nowej Duchowości.

„Faust” to przepustka do tej nowej Europy?

– Kto wie? „Faust” powstał przez wiele lat jako misterium przejścia. W Polsce nigdy nie został przedstawiony w całości, choć powstało ok. 20 przekładów, wśród nich wiele wartościowych, zwłaszcza pisanych prozą poetycką. Misterium „Fausta” obejmuje pierwszą i drugą część. Ta druga część jest hermetyczna, zapewne dlatego niewystawiana. Jedyne pełne wystawienie dał Peter Stein z okazji Expo w Hanowerze (2000). Przygotowania toczyły się przez dwa lata, spektakl trwał ponad 22 godziny. Stein zrobił to po didaskaliach, żeby zmanifestować siłę ducha niemieckiego i pokazać, że tylko teatr niemiecki temu podoła.

Potem sam jeździł po Europie i czytał fragmenty drugiej części „Fausta”, gromadząc pełne widownie.

– Druga część „Fausta” to peregrynacja Goethego, który zamyka w kolejnych scenach poszczególne etapy swojego doświadczenia. Opus magnum albo opus vitae. I teraz: twórca Teatru STU dobiega swego kresu, przychodzi do niego Mefistofeles i pyta: „Tęsknisz za tym wszystkim? Chcesz się odmłodzić? Wrócić do »Spadania«?”.

Komedia jest sztuką wolności, nie boi się śmierci, a tragedia jest śmierci niewolnicą.

komatantami. Ja ich wszystkich znałem, bo przez kilkanaście lat jeździliśmy na festiwalu organizowane przez francuskich socjalistów we Francji i na świecie.

Jesteśmy najszcześniejszym pokoleniem w historii Polski, które się wybiło na wolność. Wszystkie marzenia, jakie mieliśmy, ziściły się – stąd nasz, mój, Wyspiański. Kiedy będziemy obchodzili nasze 60-lecie i ogarniali refleksją naszą drogę, będzie już

Widzę jakieś diabelskie ogniki w pana oczach.

– To tylko żartobliwa figura, bo ja tak naprawdę nie wracam do przeszłości. Nie przewijam moich filmów pamięci. Nie oglądam zdjęć, nie czytam starych recenzji. Jeszcze nie czytam. Ale wypada mieć po 60 latach jakąś refleksję. Przychodzi do mego Fausta Mefisto, podsuwa jakiś cyrograf: „Pan Twardowski – Faust krawkowski”. I teraz taśma się przewija.

Odmłodzi się i znajdzie w samym sercu „Spadania”...

...kultowego spektaklu STU na motywach poematu Tadeusza Różewicza, którego premiera miała miejsce 29 września 1970 r.

– A potem poniesie mnie po najważniejszych etapach. Wędrówka zakończy się powrotem jak u węża połykającego własny ogon.

Czyli świat Teatru STU wpisany w „Fausta”?

– Taki mam zamiar, żeby wykorzystać ten model. Od lat to się wyklucza, ale nikt jeszcze o tym nie wie.

Czy kiedy zaczynał pan przygodę z Teatrem STU, przewidywał pan, że to będzie przygoda na życie?

– Nie miałem takiej wizji, ale że to jest program nie tylko na dziś, lecz i na jutro, na pojutrze – to już tak. Do szkoły teatralnej poszedłem po studium nauczycielskim, miałem za sobą różne kontakty, kiedy zakładałem i organizowałem rozmaite wydarzenia, kabarety. Wtedy trafiłem do Zrzeszenia Studentów Polskich, które wywalczyło sobie pewną autonomię, miało swój zakres wolności. Jak się w tym zorientowałem, łatwo znalazłem pole dla grupy teatralnej. **Jak to było możliwe? Taki wrzód na zdrowym ciele kraju budującego świetlaną przyszłość?**

– A jednak – tak. Kwitło życie klubowe, na zewnątrz szarość, a tu kolorowo.

I pewnie, trawestując Czepca z „Wesela”, wam się „chciało chcieć”.

– Bez pasji niczego się nie osiągnie. A do tego prawo karmy, prawo reinkarnacji. Trzeba mieć zdolność przemiany.

Ten sam, ale nie taki sam?

– Palimpsest. Wielowarstwowy, o różnych znaczeniach.

A jaki będzie STU za 10 lat?

– Ja tego nie wiem, bo nie mogę wiedzieć, ale staram się stworzyć krępujące okoliczności, aby to, co się stanie, nie było zbyt odległe od tego, co przyświecało nam przez 60 lat, co było marzeniem o wolności.

To znaczy?

– STU zbudowany jest na trzech fenomenach. Po pierwsze, to fenomen długiego trwania, ponieważ ciągle istnieje i do dzisiaj funkcjonuje ▶

NOWY ROK

Z PRZEGLĄDEM



- INNY PUNKT WIDZENIA
- WYJĄTKOWY
- NIEZALEŻNY
- NAJLEPSI AUTORZY

Zakup dostęp do naszego **ARCHIWUM**

Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia **PRZEGLĄDU**

Pełna oferta na **tygodnikprzeglad.pl**
zakładka **ARCHIWUM**

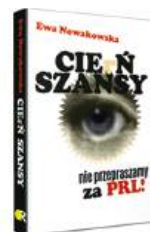
Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów

Kup roczną e-prenumeratę **PRZEGLĄDU**
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Cień szansy.

Nie przepraszamy za PRL” **GRATIS**

- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**





W repertuarze Teatru STU mamy pozycje, które gramy latami.

► założycielska formacja Teatru STU. Wczoraj spotkałem się z Edwardem Chudzińskim, z którym współpracuję od 60 lat. Wielu tych, którzy byli na początku – wciąż gra w STU. Wielu z nami współpracowało, by wspomnieć tylko Zbigniewa Zapasiewicza, raczej niekojarzonego z naszym teatrem. Po drugie, to fenomen repertuaru. Byliśmy pierwszym teatrem, który ogłasza od razu repertuar na cały sezon i go wykonuje. Już we wrześniu sprzedajemy bilety na czerwiec następnego roku. Od początku sezonu osoby sprzątające wiedzą, kiedy, o której godzinie i po kim mają sprzątać. Zespół etatowy jest niewielki, tworzą go technicy i administratorzy. Trzon teatru stanowi setka aktorów na kontraktach – oni też z góry wiedzą, kiedy i co grają. Po trzecie, Rodzina Teatru STU, dzięki której przechodziliśmy bezboleśnie poszczególne etapy, to publiczność. Najpierw rodzina pokoleniowa. Na 40-lecie wydaliśmy o nich książkę i sami opowiadali o tej szczególnej organizacji duchowo-intelektualnej, można sprawdzić.

A dzisiaj?

– Dzisiaj to mniej więcej 20 tys. To ci, którzy przychodzą do nas regularnie. My z kolei nie opuszczamy naszego lokum. Mieliśmy kiedyś widownię na 1 tys. osób pod namiotem przy ulicy Rydla. Wielu naszym się wydawało, że po przeprowadzce

do budynku przy alei Krasińskiego, gdzie dysponujemy widownią na 200 miejsc, będziemy się dusić. Ale się okazało, że tu jest nasz matecznik. To metafizyka domu i związana z tym miejscem publiczność, która jest tą najszerszą rodziną Teatru STU. **Publiczność oczekuje od teatru także diagnozy czasów, w których żyjemy. STU w tym celował.**

– Coś się kończy, coś się zaczyna. Trwa wojna hybrydowa. To sytuacja,

**Ja tak naprawdę nie wracam do przeszłości.
Nie przewijam moich filmów pamięci.
Nie oglądam zdjęć, nie czytam starych recenzji.**

z którą mamy do czynienia współcześnie. Teatr zawsze był wachaczem. Czuliśmy pismo nosem. Antycypowaliśmy Ducha Czasu. Kiedy w STU wystawiliśmy „Spadanie”, odszedł Gomułka i nastał Gierek, kiedy „Ubu króla” o przewrocie wojskowym, to dwa miesiące przed stanem wojennym. Konstanty Puzyna, szef „Dialogu”, który był na premierze, pytał mnie: „Po co zrobicie takie wojskowe przedstawienie?”. A ja na to: „Bo śmierdziało wojskiem”. Tak było rzeczywiście. Bo kiedy mieliśmy jesienią próby „Ziemi jałowej” według Eliota, było tak strasznie zimno, że nie wiedziałem, co zrobić. Wtedy

zwróciłem się do znajomego generała o pomoc i tak dostaliśmy 500 płaszczy wojskowych z demobilu, żeby publiczność nie marzła. I kiedyś zauważyłem: wojsko na widowni! Wtedy pojawił się pomysł wystawienia „Ubu”.

STU w pewnym momencie wycofał się z undergroundu.

– Znużył mnie alternatywny teatr motywowany politycznie, miałem dosyć działań zastępczych i manipulacji – widziałem, jak się nami wysługują, jak nasz głos traci autentyczność, taką z trzewi. Kontestacja stała się w znacznym stopniu koniunkturalna, na sprzedaż. Dlatego uciekliśmy w stronę Witkacego i pojawiła się na afiszu „Szalona lokomotywa” z Marylą Rodowicz, Jerzym Stuhrem i Markiem Grechutą. Po wielu latach wróciłem do „Sonaty Belzebuba”, w której znakomicie wystąpił Zbigniew Wodecki jako tytułowy Belzebub.

Mamy w repertuarze pozycje, które gramy latami, np. od 25 lat „Hamleta”, w którym zagrało siedmiu Hamletów, a dziewięć Ofelií się utopiło. 20 lat „Biesy” i „Zemstę”. Wymieniają się młodzi i starzy. Te tytuły nie mogą zejść, bo je wypełnia widownia, ciągle są aktualne, bo są klasyczne. U nas tak jest.

Może to jeszcze jeden fenomen Teatru STU?

– Liczy się ciągły dopływ świeżej krwi, dołączanie najzdolniejszych. Niektórzy mówią, że mam instynkt wampiryczny.

A co do sztucznej inteligencji, trzeba się nią świadomie wysługiwać w codziennym trudzie. Teatr jest świętem. W starciu z AI będzie się liczył teatr dramatyczny, teatr, w którym króluje słowo, teatr autora i aktora, którzy to słowo ucieleśniają. Sztuczna inteligencja tego nie potrafi. Sztuczna wola nie wyzwala.

Tomasz Mitkowski

Z Galicji



Jan Widacki

Gdzie pojechać na bezpieczne wakacje?

Ministerstwo Spraw Zagranicznych każdego roku publikuje listy krajów, które są w jakimś stopniu niebezpieczne. To niebezpieczeństwo jest bowiem stopniowalne. Kategoria pierwsza to kraje, w których turyści muszą zachować „zwykłą ostrożność”. W tej kategorii znajduje się np. Gruzja i częściowo Meksyk. Kategoria druga dotyczy krajów, w których trzeba zachować „ostrożność”. Do takich zaliczane są m.in. Angola i Bangladesz. Kategoria trzecia obejmuje kraje, do których MSZ odradza podróże. Jest w niej Palestyna, bez Strefy Gazy, bo ta została zaliczona do miejsc najbardziej niebezpiecznych, czyli do kategorii czwartej, do której „odradza się wszelkie podróże”. W tej samej kategorii umieszczone zostały Syria, Rosja, a także Gwinea. Rosja, wiadomo, jest w stanie brutalnej wojny napastniczej, Polskę uznała za kraj nieprzyjazny. Poza tym jest państwem rządzonym dyktatorsko, nieszanującym prawa międzynarodowego, niepraworządnym i lekceważącym prawa człowieka. Czeczenia jest częścią składową Federacji Rosyjskiej i niewątpliwie należy do jej najniebezpieczniejszych rejonów. W wykazie nie jest wymieniana osobno, bo już całą Rosję uznano za niebezpieczną w najwyższym, czwartym stopniu. Gwinea do tej najbardziej niebezpiecznej kategorii została zaliczona, bo, jak wyjaśnia ministerstwo, panuje tam „napięta sytuacja polityczna po zamachu stanu z 5 września 2021 r. Zamknięte są granice kraju, możliwe demonstracje i rozruchy, protesty z użyciem broni palnej, panuje wysokie zagrożenie przestępczością kryminalną”.

Dodajmy, że we wspomnianym zamachu stanu w Gwinei stracił władzę prezydent Alpha Condé, mimo że wygrał ostatnie wybory i cieszył się poparciem ok. 50% społeczeństwa. Władzę przejął płk Mamady Doumbouya, który rozwiązał parlament, uznając go za oczywiście zbędny. Stan państwa jest taki, jak opisało w swojej informacji MSZ.

Zupełnie inną ocenę sytuacji w Gwinei ma nasz Urząd do Spraw Cudzoziemców. Wedle niego mimo wszystko „brak doniesień, aby którakolwiek ze stron walczyła o władzę, albo żeby strona rządząca represjonowała zwolenników byłego prezydenta”. Jak to pogodzić z informacją MSZ o rozruchach, demonstracjach i protestach z użyciem broni palnej? Najwyraźniej jednak w Urzędzie do Spraw Cudzoziemców żadnej sprzeczności tu nie widzą. Nie wiadomo więc, przeciw komu, zdaniem tego urzędu, jeśli nie przeciw władzy są te rozruchy i protesty z użyciem broni palnej. Urząd uważa, że nic nie grozi

17-letniemu uciekinierowi z Gwinei, którego nieżyjąca już matka należała do aktywnych stronnicek obalonego prezydenta. To, że doświadczył tam przemocy (był pocięty maczetą), o niczym nie świadczy. Mógł być, stwierdził urząd, „przypadkową ofiarą wzburzonego tłumu”, bo „w Gwinei często najbardziej pokojowe manifestacje szybko przeradzają się w gwałtowne zamieszki, których ofiarą padają postronni”. To brzmi logicznie. Skoro manifestacje i gwałtowne zamieszki, rozruchy i protesty z użyciem broni palnej nie są wymierzone przeciw komukolwiek, ofiarami mogą być tylko osoby postronne. Poza tym Gwinea to w ocenie urzędu bezpieczny, praworządny kraj, którym dobrotliwie zarządza płk Doumbouya; nikt tam nie jest prześladowany i w ogóle trudno sobie nawet wyobrazić, by mógł być.

Optymistycznie jawi się świat przedstawiany w uzasadnieniach decyzji Urzędu do Spraw Cudzoziemców.

Realizując nową politykę migracyjną, urząd chętnie deportowałby chłopaka do Gwinei, ale napotkał dwie przeszkody. Po pierwsze, granice tej spokojnej i praworządnej Gwinei są zamknięte. Po drugie, w przygranicznym lesie chłopak odmroził nogi, co skończyło się amputacją. No i urząd ma mały problem.

A w ogóle to optymistycznie jawi się świat przedstawiany w uzasadnieniach decyzji Urzędu do Spraw Cudzoziemców. Nawet Czeczenia jest w nich ukazywana jako bezpieczna, choć, przyznaje urząd, „incydentalnie dochodzi tam do operacji antyterrorystycznych służb specjalnych, w efekcie których zdarzają się zatrzymania, aresztowania i zaginięcia bez wieści. Działania bojowników i akcje odwetowe północnokaukaskich struktur siłowych prowadzone są punktowo i nie stanowią powszechnego zagrożenia dla ludności cywilnej, mimo że ludność cywilna incydentalnie staje się ofiarą tych działań”. Czasem również „dochodzi do przypadków łamania praw człowieka”. No ale tylko czasem. Poza tym, jak widać, Czeczenia to miły, bezpieczny kraj, którym w imieniu Kremla zarządza niejaki Kadyrow. Znany demokratą i filantrop, prawie równie łagodny jak płk Doumbouya w Gwinei.

Aż się dziwię, że Urząd do Spraw Cudzoziemców nie organizuje w Czeczenii ani Gwinei wczasów pracowniczych dla swoich urzędników oraz kolonii letnich dla ich dzieci.

Ponad 200 tys. osób uczestniczyło w protestacyjnym Marszu Kobiet 21 stycznia 2017 r., dzień po inauguracji prezydentury Donalda Trumpa.



Śmierć przez ciszę

Amerykańska lewica musi jak najszybciej odzyskać głos

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Po klęsce w wyborach 5 listopada demokraci zamilkli i do dziś nie odzyskali w pełni głosu. Wybrzmiewają jedynie wzajemne oskarżenia, wyliczanie win i roztrząsanie, „co by było, gdyby”. W dodatku obrażony na wszystkich prezydent Biden zaczął się troszczyć wyłącznie o siebie i swoją rodzinę, a sądy i media podkuliły ogon. Przed Trumpem ściele się czerwony dywan.

Nigdy nie zapomnę nocy z 8 na 9 listopada 2016 r. Moja 17-letnia wówczas córka, zamiast iść spać, trwała z nosem przyklejonym do telewizora. O trzeciej w nocy obudził nas jej krzyk. Stacje telewizyjne

ogłosiły, że w wyścigu o fotel prezydencki Hillary Clinton przegrała z Donaldem Trumpem.

Choć wielu z nas długo nie mogło zaakceptować faktu, że do Białego Domu wprowadzi się ktoś pokroju Trumpa, szok i złość szybko ustąpiły innym uczuciom. Lewica zwała szyki, a nowy front walki i oporu gotowy był już pod koniec listopada. W takim tempie powstał bowiem projekt Marszu Kobiet, który organizatorzy, razem z 400 różnymi instytucjami i zbiorowościami, zaplanowali na dzień po zaprzysiężeniu nowego prezydenta. Marsz, który przeszedł 21 stycznia 2017 r. ulicami Waszyngtonu (prawie pół miliona osób), wspierany przez protesty w kilkudziesięciu innych miastach w całym kraju (kolejne ponad 4 mln osób), stał się największą

jednodniową manifestacją w historii Ameryki. Palmę pierwszeństwa odebrała mu dopiero marsz po śmierci George'a Floyda w 2020 r.

Mobilizacja antytrumpowego frontu kobiecego nie pozostała bez wpływu na rzeczywistość. Dwa lata później w wyborach uzupełniających do Kongresu wystartowała – i wygrała! – rekordowa liczba Amerek. Demokraci odzyskali kontrolę nad niższą izbą Kongresu, w dodatku frekwencja w wyborach była najwyższa od stu lat (49%), szczególnie po stronie młodych. W 2020 r. do urn ruszyła kolejna rekordowa fala wyborców – ponad 155 mln, a ponieważ 83 mln zagłosowało na Joe'go Bidena, demokraci wrócili do Białego Domu.

Dziś wiem, że cisza, która zapadła w progresywnej części Ameryki po ponownej wygranej Trumpa

5 listopada 2024 r., będzie tak samo niemożliwa do zapomnienia jak okrzyki grozy mojej córki. Ów niemy szok wydaje się jedyną adekwatną reakcją na wieść o tym, że po wszystkim, czego doświadczyliśmy, Amerykanie znowu dali się nabrać na brednie, że ojczyznę można „budować” poprzez zamykanie,

and Infrastructure Security Agency: „Żyjemy w realiach, w których nie ma miejsca na milczenie, bo pustkę natychmiast wypełni ktoś inny, promując własną wersję rzeczywistości. Skala dezinformacji, która zalała Amerykę w przeddzień wyborów, była bezprecedensowa. Nie ma powodów myśleć, że to się skończy”.

Amerykanie znowu dali się nabrać na brednie, że ojczyznę można „budować” poprzez zamykanie i „rozвивać” przez regres.

„rozвивać” przez regres i „stabilizować” przez wchodzenie na wojenną ścieżkę ze wszystkimi, nawet z przyjaciółmi. Jednak szok i stupor demokratów trwają o wiele za długo – stawka w grze jest bowiem nieporównanie wyższa niż osiem lat temu. Jeśli szybko się nie otrząsną, może się okazać, że sami przyłożyli rękę do demontażu demokracji, której tak bardzo chcą bronić.

Cisza zdradza i wypacza

Ich przedłużające się milczenie i brak działań są nie tylko oznaką słabości, ale też aktem zdrady wobec większości narodu. Trump nie dostał przecież większościowego mandatu władzy. Głosowanie powszechne wygrał, ale nie przekroczył progu 50% głosów – zdobył ich 49,79% (Cook Political Report, grudzień 2024). Jego przewaga nad Kamalą Harris również nie była spektakularna. Wyniosła mniej niż półtora punktu i w istocie była jedną z najniższych w prezydenckich starciach ostatniego półwiecza. Równie nikła będzie od stycznia 2025 r. przewaga republikanów w Kongresie: trzyfotelowa w stuosobowym Senacie i pięcio- lub nawet tylko dwufotelowa w liczącej 435 członków Izbie Reprezentantów. Niestety, jeśli demokraci nie będą o tym mówić, i to głośno, mogą stracić kontrolę nad rzeczywistością.

Ostatnie wybory dobitnie pokazały, że nie żyjemy już w czasach szacunku dla prawdy ani oczywiście stosowania się do norm. Trafnie ujęła to, podsumowując wybory, Jen Easterly, szefowa Cybersecurity

Przedłużająca się po stronie demokratów cisza tworzy dodatkowo idealną przestrzeń do tego, by republikanie mogli nadal swobodnie kontestować osiągnięcia administracji Bidena. Z tragicznymi skutkami dla całej lewicy.

Zwyczajowo tygodnie dzielące dzień wyborów od zaprzysiężenia nowego prezydenta to czas, gdy ten ustępujący we współpracy z własną partią nadaje ostatnie szlify swojej spuściźnie politycznej. Widzieliśmy to w 2016 r. Demokraci zmonopolizowali wówczas nagłówki w mediach, po tym jak wspólnie z Białym Domem przystąpili do agresywnego zabezpieczania swoich kluczowych pozycji i programów politycznych przed nadciągającymi rządami Trumpa. Obama i inni liderzy partyjni

Żyjemy w realiach, w których nie ma miejsca na milczenie, bo pustkę natychmiast wypełni ktoś inny, promując własną wersję rzeczywistości.

nie schodzili wówczas Amerykanom z oczu. A to deklarowali bezterminowy zakaz odwiertów ropy w Arktyce, a to wyrzucili z USA rosyjskich dyplomatów i przygotowali plan sankcji dla rosyjskich podmiotów podejrzanych o ingerencję w amerykańskie wybory. Wreszcie szumnie poparli rezolucję ONZ potępiającą politykę Netanjahu wobec Palestyńczyków. Udało im się nawet zapisać dużą grupę pacjentów do systemu ubezpieczeń zdrowotnych ObamaCare, który rzeszom nieubezpieczonych umożliwił dostęp do refundowanej opieki medycznej.

Co od wyborów robi Joe Biden? Statystyczny zjadacz chleba nie ma pojęcia. Zastanawia się być może, czy prezydent nie choruje, skoro do Paryża pojechały za niego żona z córką. Zdecydowana większość Amerykanów, jak wykazał sondaż CNN z 11 grudnia 2024 r., wie za to, co porabia na co dzień Donald Trump, a 55% bije mu brawo za sposób, w jaki przejmując władzę. Nie zdaje sobie przy tym sprawy – wszak demokraci milczą – że prezydent elekt, reprezentując amerykańskie interesy za granicą przed oficjalną inauguracją urzędowania, działa samowolnie i nielegalnie.

Cisza zepchnie w niepamięć

Dla tych, którzy zapomnieli, czego dokonał Biden, ściągawka: wyprowadził Amerykę z pandemii i uchronił kraj przed recesją mimo przeszkód w postaci wojny w Ukrainie i inflacji. Bidenomika, choć tak żarliwie krytykowana przez Trumpa, pozwoliła amerykańskiej gospodarce już na początku 2024 r., najszybciej w grupie krajów rozwiniętych, wrócić do wyników sprzed pandemii. Ponadto Biden jako pierwszy od kilkudziesięciu lat prezydent zaczął naprawę sygnalizując się infrastruktury (Infrastructure Investment and Jobs Act), zainicjował program ochrony miejsc pracy

i własności intelektualnej w amerykańskiej branży półprzewodnikowej (CHIPS and Science Act), a przede wszystkim podjął odważną próbę rekonstrukcji ekonomicznej na drodze zielonej rewolucji (Inflation Reduction Act – IRA). IRA to nie tylko projekt włączający Amerykę do wyścigu o światowe rynki czystej energii – rywalizacji w tej chwili wygrywanej przez Chiny – ale i wielka szansa dla prowincji poszkodowanej przez globalizację, w tym sławetnego pasardzy i ubogiego Południa – rejonów palających największą nienawiścią do demokratycznych przywódców. ▶

► Dla milionów Amerykanów spłacających pożyczki studenckie Biden stał się także liderem w walce z krwiożerczym i dysfunkcyjnym systemem finansowania kredytów studenckich, a nawet anulował część tego długu osobom najbardziej potrzebującym. Diabetycy i seniorzy mogą mu podziękować za niższe ceny leków ratujących życie, a wszyscy za likwidację tzw. junk fees – niczym

wszystko, by nie rozstawać się z nim w atmosferze wojny.

Cisza niczego nie rozwiąże

Wreszcie na przedłużające się milczenie po prostu nie ma czasu. Cykle wyborcze są w Stanach Zjednoczonych bardzo krótkie – wybory uzupełniające (midterms), w których demokraci będą mogli zawalczyć

prezydenckiej Harris, Molly Murphy, piętnując partię za ignorowanie nie tylko ekonomicznych, ale i kulturowych bolączek Amerykanów. Jednak demokratyczni wyborcy nie usłyszeli nic ani o nowym przywództwie, ani o konkretnych celach na najbliższą przyszłość.

Cisza zaostrzy zęby lwa

Demokraci muszą jak najszybciej się przegrupować i odzyskać głos. Przede wszystkim dlatego, że ich milczenie już zaczęło szkodzić demokratycznym instytucjom, które w erze Trumpa czekają historyczne wyzwania.

Za trzecim podejściem do prezydentury Trump nie bawił się w niuanse i otwarcie zapowiadał zemstę na tych, którzy usiłowali pociągnąć go do odpowiedzialności, a choćby tylko krytykowali za przestępstwa i oszustwa. Gromy ciskał zwłaszcza pod adresem „nieprzychylnych” mu mediów i sędziów. Nedorzecznością wydawało się dotąd – nawet w świetle chaosu i barbarzyństwa pierwszej prezydentury Trumpa – że dożyjemy w Ameryce czasów, kiedy obywatel realizujący swoje konstytucyjne prawo do wolności słowa będzie ryzykował więzienie. Przestrogi Kamali Harris, że Trump sporządził listę wrogów wewnętrznych, przez wielu zostały potraktowane jako jeszcze

Co od wyborów robi prezydent Biden? Statystyczny zjadacz chleba nie ma pojęcia.

nieuzasadnionych dodatkowych opłat windujących koszty usług oraz produktów: od oprocentowania kart kredytowych i operacji bankowych po ceny rejsów lotniczych, dóbr hotelowych czy biletów na koncerty. Statystyczne gospodarstwo domowe płaci rocznie ponad 650 dol. tego typu dopłat – koszt w skali kraju wynosi 90 mld dol.

Cisza skłóci

Solidarny, widoczny front na rzecz obrony spuścizny politycznej Bidena jest ważny dla demokratów z jeszcze jednego powodu. W czasie wyścigu o prezydenturę Harris strategicznie odsunęła się od Bidena. Miało to sens, bo musiała określić się w kontrze do swojego szefa. Biden zaś trzymał formę dla dobra jej kampanii, ale od początku kiepsko mu szło ukrywanie, że nie pogodził się z opinią, iż utracił zdolność dalszego sprawowania władzy. Po klęsce demokratki jego żal wylał się z całą mocą i wygrał nawet z poczuciem przyzwoitości. Wbrew temu bowiem, co obiecywał wcześniej, Biden najpierw ułaskawił tonącego w kłopotach prawnych syna, Huntera, a niedługo po tym także rekordową (1,5 tys.) grupę innych skazańców, z których część na łaskę raczej nie zasługiwała. Siebie postawił w pozycji hipokryty, a partii zafundował kryzys wiarygodności.

Biden jednak z polityki odchodzi i ma prawo robić to na własnych warunkach. Jego partia w polityce pozostaje. Warto zatem, by zrobiła

o utracony Kongres, odbędą się przecież za niecałe dwa lata. Czasu na odrabianie lekcji jest więc mało. Jeszcze mniej pozostało go na wyłonienie nowych liderów. Powinni przejąć pateczkę jak najszybciej, jeśli partia rzeczywiście zdecyduje się na zmianę kursu i własną „trumpizację” czy raczej „sanderyzację” zarówno stylu uprawiania polityki, jak i konstrukcji przesłania wyborczego. Zadanie nie będzie łatwe, dlatego trzeba się tym zająć jak najszybciej. Szczególnie że kandydaci, którzy mieliby mu podostać, raczej nie mogą pochodzić z Kalifornii czy Nowego Jorku. Te oczywiste bastiony lewicy skompromitowały się w ostatnich latach nieudolnymi rządami na poziomie lokalnym. Partyjne gwiazdy

Dla milionów Amerykanów spłacających pożyczki studenckie Biden stał się liderem w walce z dysfunkcyjnym systemem finansowania kredytów studenckich.

typu Gavina Newsoma, gubernatora Kalifornii, czy Alexandrii Ocasio-Cortez, kongresmenki z Nowego Jorku, z góry skazują te kandydatury na obciążenie niepożądanymi skojarzeniami i stereotypami.

Demokraci odbyli w tej sprawie na razie tylko jedno (sic!) spotkanie – był nim zjazd członków Komitetu Narodowego Demokratów 14 grudnia w Waszyngtonie. Merytoryczną i potrzebną krytykę dotychczasowego stanowiska demokratów wobec dezinformacji i populizmu Trumpa wygłosiła była konsultantka kampanii

jedna gra polityczna obliczona na podkręcenie emocji wyborczych. A jednak. Tego, że Harris operowała faktami, dowiedzieliśmy się przecież już dzień po wyborach. A sposób, w jaki Trump kompletuje swój gabinet, namaszczać wyłącznie sprawdzonych lojalistów, w tym na szefa FBI pobrzękującego kajdankami Kasha Patela, to jasny sygnał, że plan represji zostanie zrealizowany.

Rejterada mediów rozpoczęła się jeszcze przed wyborami. Grupa prominentnych lewicujących dzienników: „Los Angeles Times”,

„Washington Post” oraz „USA Today”, zerwała bowiem z kilkudziesięcioletnią tradycją i nie udzieliła oficjalnego poparcia Kamali Harris. Tuż po wyborach redaktor naczelny „LA Timesa” poszedł dalej. Ogłosił, że za pomocą sztucznej inteligencji jego redakcja będzie weryfikować poglądy dziennikarzy, stosując tzw. barometr obiektywizmu. Choć wszystkie tytuły straciły setki tysięcy subskrybentów oraz prominentnych dziennikarzy i publicystów (z „NYT” odszedł m.in. noblista Paul Krugman, a z „LA Timesa” analityk prawny Harry Litman), zarządy pozostały nie wzruszone. A próby obłaskawienia Trumpa za wszelką cenę trwają.

Do gazet szybko dołączyły koncerty telewizyjne. Mika Brzezinski i Joe Scarborough, gospodarze popularnego programu „Morning Joe” w stacji MSNBC, już kilka dni po wyborach udali się z pielgrzymką do Mar-a-Lago, by – jak wyjaśnili – „rozpocząć nowy rozdział w komunikacji”. Pozwana przez Trumpa za obrazę majestatu podczas kampanii prezydenckiej stacja ABC (dziennikarz George Stephanopoulos powiedział na antenie, że Trump jest odpowiedzialny za gwałt) bez walki zgodziła się wypłacić prezydentowi elektowi żądane przez niego 15 mln dol. odszkodowania. A dziennik „The Des Moines Register” ze stanu Iowa, któremu Trump również grozi pozwem za publikację „niewłaściwych” wyników sondaży przedwyborczych, sygnalizuje, że choć pozew uważa za bezpodstawny, nie będzie „sprawiać kłopotów”.

Tę zatrważającą wylizankę kończy decyzja Jacka Smitha, prokuratora specjalnego, który przez ostatnie dwa lata badał oszustwa wyborcze Trumpa i jego rolę w szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Podczas kampanii prezydent elekt wielokrotnie groził Smithowi zemstą. Dwa tygodnie po wyborach Smith wycofał z sądu wszystkie sprawy i ogłosił, że rezygnuje ze swojej funkcji.

Niezawisłość sądów i praca instytucji tworzących system tzw. checks and balances (kontroli i równowagi), których media są filarem, to najważniejsze probierze demokracji. Warto zadać sobie pytanie, do jakiego

stopnia wspomniane akty systemowego samoograniczania się tych instytucji są odpowiedzią na ciszę i pasywność demokratów. Albo wyrazem obaw tych instytucji (czy nie wyglądają na uzasadnione?), że zostały rzucone lwu na pożarcie.

Cisza zniszczy demokrację

Jesienią 2023 r. Steven Levitsky i Daniel Ziblatt, politolodzy z Uniwersytetu Harvarda, wydali książkę „Tyranny of the Minority: How to Reverse an Authoritarian Turn, and

w erze przeddemokratycznej, konstytucja pozwala mniejszościom partyjnym rutynowo blokować większości, a czasem nawet nimi rządzić. Instytucje, które wzmacniają partyjne mniejszości, mogą się stać narzędziami rządów mniejszości. Są one szczególnie niebezpieczne, gdy znajdują się w rękach ekstremistów lub antydemokratycznych partyjnych mniejszości”, wyjaśniają w książce autorzy. I dodają: „A wszystko to w realiach wykuwania się demokracji wielorakowej, projektu, który jeszcze nigdzie na świecie się nie udał. (...) Jedno

Na przedłużające się milczenie amerykańska lewica po prostu nie ma czasu.

Forge a Democracy for All” (Tyrania mniejszości. Jak powstrzymać zwrot ku autorytaryzmowi i stworzyć demokrację dla wszystkich). To już druga pozycja, po bestsellerowym tytule „Tak umierają demokracje” (wydanie polskie Fundacja Liberté!, 2018), w której autorzy przestrzegają naród amerykański, że demokracja naprawdę może się załamać, gdyż oprócz populistów i autokratów działają dziś przeciwko niej historyczne przeobrażenia społeczne, a nawet sama konstytucja. „Zaprojektowana

jest jasne. Same instytucje nie obronią naszej demokracji. Jej ocalenie zależy wyłącznie od nas samych”.

„Demokracja umiera w ciemności”, głosi słynne hasło, które od kilku lat zdobi pierwszą stronę „Washington Post”. Cisza w dzisiejszym świecie jest dla demokracji równie groźna. Miejmy nadzieję, że amerykańscy demokraci zdają sobie z tego sprawę i że czytają Levitskiego oraz Ziblatta.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Pierwsza książka w Polsce wydana po wyborach



AMERYKA PO WYBORACH
JAK TO SIĘ STAŁO?
ELIZA SARNACKA-MAHONEY

58 zł

Porozrywane Stany

Błyskotliwa analiza
„amerykańskiej duszy”
i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA





Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Zabytki wracają nad Bosfor

Tureckie władze stawiają sobie za punkt honoru odzyskanie zrabowanych dzieł sztuki. W minionych 20 latach do kraju wróciło ponad 12 tys. artefaktów

Marcelina Sumer-Brysz
Korespondencja z Turcji

Młoda kobieta w chuście swobodnie narzuconej na ciemne włosy niepokojąco świdruje wzrokiem każdego, kto wchodzi do zaciemnionej sali Muzeum Mozaiki Zeugma w Gaziantep na południu Turcji. W jednej z najnowocześniejszych placówek tego typu na świecie całe podłogi i ściany wyłożone są olbrzymimi mozaikami, w większości przypadków idealnie zachowanymi albo umiejętnie odrestaurowanymi. Odkryto je podczas wykopalisk w nieodległej Zeugmie, pamiętającej 300 r. p.n.e. Miasto leżące na trasie Jedwabnego Szlaku miało wówczas niebagatelne znaczenie, a dziewczyna to chyba najbardziej znana, choć wcale nie najlepiej zachowana (brakuje jej ust) mozaika z Zeugmy, odnaleziona w ramach prac archeologicznych prowadzonych w latach 1988-1999. To ona widnieje na plakatach, magnesach, gadżetach i okładkach albumów, a nawet na biletach do muzeum. Mało kto wie, że miała towarzystwo.

Złodzieje mozaik

Wychodzę z sali, w której wystawiana jest „Cygańska dziewczyna”, i stoję przed długą gablotą, w której umieszczono kilkanaście innych fragmentów mozaik: kilka postaci, ptaki w różnych pozach, wzory geometryczne. Wyglądają, jakby dosłownie wycięto je nożyczkami z większej całości.

– Mniej więcej tak było – potwierdza moje przypuszczenia przewodniczka. Dodaje, że złodzieje dzieł sztuki, którzy w latach 60. prowadzili nielegalne wykopaliska, nie tracili czasu na odkopanie całości.



Portret dziewczyny to najbardziej znana, choć wcale nie najlepiej zachowana mozaika z Zeugmy.

– Wzięli najefektowniejsze lub najlepiej zachowane części, „wycinając” je z całości, i sprzedali za granicę – wyjaśnia.

„Cygańska dziewczyna”, która też jest elementem zniszczonej mozaiki, miała szczęście. Została na miejscu, bo przykryła ją przewrócona kolumna. Złodzieje nie mieli czasu na jej usuwanie.

Oświetloną gablotę zdobi turecka flaga – dowód narodowej dumy, choć to przecież Rzymianie, a nie Turcy, którzy nastali w Anatolii kilka wieków później, są autorami dzieł wystawianych w muzeum. Od przewodniczki dowiaduję się, że rząd włożył mnóstwo wysiłku w sprowadzenie skradzionych mozaik z USA. Przez kilkadziesiąt lat wystawiane były w Ohio. Badacze z tamtejszego uniwersytetu stanowego wiedzieli, że najpewniej pochodzą z Turcji, opisali je jednak jako dzieła z Antiochii (tur. Antakya), a nie spod Gaziantep. Czy mieli świadomość, że wystawiają

kradzione artefakty, które w Stanach Zjednoczonych znalazły się za sprawą przemytników? Przewodniczka dyplomatycznie milczy. Na stronie amerykańskiego uniwersytetu znajduję informację, że zdecydowano się je zwrócić „w imię dobra publicznego”, choć nie za darmo. Turcy sfinansowali powrót mozaik z Zeugmy i zapłacili za ich repliki, które w Ohio zastąpiły oryginały.

Dwa zabytki dziennie

Mozaiki z Zeugmy to niejedyne dzieła zwrócone Turcji w ostatnich latach. Z okazji obchodzonego w połowie listopada Międzynarodowego Dnia Zwalczania Nielegalnego Handlu Dobrami Kultury media nad Bosforem podały, że w ciągu dwóch minionych dekad do kraju wróciły 12 164 zabytki. To tak, jakby co dzień Turcy odzyskiwali dwa artefakty. We wrześniu 2024 r. w muzeum antycznej Troi pod Çanakkale otwarto

wystawę „No escape!” złożoną wyłącznie z tych artefaktów – uprzednio skradzionych – które wróciły z zagranicy lub zostały skonfiskowane przez tureckich celników podczas próby nielegalnego wywozu z kraju. Wśród nich znajduje się mający 6,5 tys. lat marmurowy posążek bożka o imieniu Kilya z epoki chalkolitu (czyli miedzi) w Europie. Nielegalnie sprzedany za śmieszłą kwotę w 1991 r. również trafił do Stanów Zjednoczonych. Tureckie Ministerstwo Kultury i Turystyki odzyskało go w 2023 r.

– W ostatnich latach zaczęliśmy uwzględniać artefakty historyczne w protokołach umów dwustronnych, które zawieramy z poszczególnymi krajami – powiedział na otwarciu wystawy wiceminister kultury Batuhan Mumcu. I dodał, że właśnie dzięki temu tak skutecznie udaje się w ostatnich latach sprowadzać kradzione dzieła do kraju, choć nie zawsze jest łatwo. – Ważna jest nie tylko identyfikacja obiektów, lecz także dostarczenie dowodów, że za granicę trafiły nielegalne – zaznaczył wiceminister. Jego urząd prowadzi korespondencję z innymi krajami w sprawie wielu takich dzieł, dostarczając rzeczonych dowodów.

Okradanie sułtana

Co do niektórych dzieł nie ma wątpliwości, że pochodzą z terenów dzisiejszej Turcji, wiadomo też, jak trafiły za granicę: do Muzeum Pergamońskiego, Luwru czy British Museum. Niemiecki inżynier Carl Humann, który przybył do imperium



Muzeum Mozaiki Zeugma w Gaziantep na południu Turcji.

sułtana Abdülhamida II. Ale jeśli chodzi o wywiezienie zabytków do Berlina, sprawa nie jest taka prosta.

Europejczycy prowadzący wykopaliska w imperium osmańskim przedstawiali się jako obrońcy antycznego dziedzictwa, ale rzeczywistość wyglądała inaczej.

osmańskiego budować drogi, wyjechał, wywoząc legalnie skarby z Pergamonu. W tym ołtarz Zeusa (zbudowany w latach 180-170 p.n.e. na polecenie króla Eumenesa II), po którym w antycznym mieście został tylko pusty cokół, będący dzisiaj solą w oku tureckich archeologów. Na prowadzenie wykopalisk Humann miał ferman – pozwolenie

Na dowód Jürgen Gottschlich i Di-
lek Zaptçıoğlu-Gottschlich, autorzy książki „Łowcy skarbów. Jak ojcowie archeologii rozkradli bogactwa Orientu”, przywołują korespondencję Humanna z urzędnikami i muzealnikami w Berlinie. Wynika z niej, że ludzie zaangażowani w pozyskanie antycznych skarbów z osmańskiej Turcji bez mrugnięcia okiem kombinowali,

dawali łapówki, przeinaczali fakty, zaniżali wartość znalezisk i udzielali sobie porad, jak omijać przepisy obowiązującej zaledwie od kilku lat ustawy o starożytności. „Zabiorę wszystkie płaskorzeźby z góry, zapakuję w solidne skrzynie (...) i zabiorę do Dikili. Tam nikt nie będzie mi przeszkadzał w załadunku ich na statek, a już na pewno nie w sytuacji, w której miejscem docelowym będzie Smyrna. (...) Później nikt nie będzie wiedział, gdzie się podziały”, czytamy w liście cytowanym przez autorów.

Trudno się dziwić, że w Turcji jak bumerang powraca kwestia zwrotu ołtarza pergamońskiego. Ostatnio poruszył ją prof. Hikmet Sami Türk, były turecki minister

► sprawiedliwości. List w tej sprawie napisał przy okazji zwrotu przez Niemcy 200 rzeźb zrabowanych swego czasu z Nigerii, znanych jako brązy z Beninu.

– Faktycznie Osmanowie nieco się spóźnili z zainteresowaniem archeologią – mówi mi archeolożka Nehir Arslan, badaczka neolitu, która

trzeba było chronić, a mimo to zniknęły z imperium, tak jak XIII-wieczny mihrab z meczetu Beyhekim, także wystawiany w Muzeum Pergamońskim. Ówczesny niemiecki konsul podjął się jego naprawy, a faktycznie polecił swojej ekipie rozebrać konstrukcję i wystać ją do Berlina. To nie przypadek, że większość eksponatów

przeprowadzono audyt, który wykazał brak 10 artefaktów. Zniknęły one nie z wykopalisk, lecz z muzealnych magazynów. Jakiś czas temu pod zarzutem przemytu zatrzymano dyrektora muzeum w Aydin i 37 innych osób, wśród nich muzealników i mundurowych. W 2022 r. stambulscy policjanci na terenie firmy zajmującej się architekturą krajobrazu znaleźli tysiące greckich, rzymskich oraz bizantyjskich amfor i dzbanów, które właściciele przedsiębiorstwa sprzedawali za granicę jako repliki. Trudno uwierzyć, że o procederze nie wiedział żaden historyk i nikt się nie domyślił, że to autentyki.

Czasem do ścigania złodziei rusza Interpol lub służby poszczególnych państw. Tak skradzione z Turcji zabytki znaleziono podczas kontroli celnej pod Genewą. Odbite z rąk przemytników obiekty na dniach mają wrócić do kraju. Śledztwo Szwajcarów wykazało, że w szmugiel do Europy zaangażowana była cała siatka przestępcza: robotnicy z nielegalnych wykopalisk, dostawcy, pośrednicy, konserwatorzy zabytków, fałszerze oraz właściciele galerii nie tylko ze Szwajcarii, ale też z USA, Gibraltaru, Panamy i Anglii. Grupę rozbito, a pierwszym osobom zaangażowanym w przemyt już postawiono zarzuty.

Co dwie głowy, to nie jedna

Jesienią w Domu Tureckim na Manhattanie odbyła się ceremonia przekazania 14 artefaktów: głów rzeźb z brązu, broni i figur, które nielegalnie znalazły się w USA. Turecki dziennik „Oksijen” poinformował, że ich zwrot poprzedziło 40 lat badań naukowych i analiz, mających potwierdzić, że to zabytki nielegalnie wywiezione w latach 60. z wykopalisk pod tureckim Burdur.

Muzealników i polityków cieszy każdy, najmniejszy nawet przedmiot, który uda się odzyskać, jednak liczba 12 tys. artefaktów przestaje imponować, gdy wczytamy się w raport działającej w tureckim parlamencie komisji ds. dóbr kultury. Zawiera on aż 150 tys. pozycji!

Przed dekadą prezydent Recep Tayyip Erdoğan „dostarczył” do



Mozajki odzyskane ze Stanów Zjednoczonych.

zauważyć, że powodem była religia, ale i kultura. Do tego u schyłku imperium sułtanom zależało na dobrych relacjach z Europą, zgadzali się więc na wykopaliska. Zanim Osman Hamdi Bey, pierwszy dyrektor Stambulskiego Muzeum Archeologicznego, wykształcony w Europie, doprowadził do ustanowienia na początku XX w. prawa zakazującego wywozu artefaktów, grabież trwała już niemal od stulecia.

Choć Carl Humann i inni Europejczycy prowadzący wykopaliska w imperium osmańskim przedstawiali się często jako obrońcy antycznego dziedzictwa, które trzeba ratować przed barbarzyńcami, rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. Dlaczego bowiem prócz skarbów greckich czy rzymskich w salach muzealnych Europy wystawiane są kafelki wykute z osmańskich meczetów, mihraby (ozdobne wnęki wskazujące wiernym Mekkę) i inne elementy wystroju islamskich świątyń? Przecież ich nie

na wystawie „No escape!”, krążącej między tureckimi miastami, stanowią artefakty skradzione podczas wykopalisk w Troi, pod koniec XIX w.

Szwajcarska precyzja

Władze Turcji, na terenie której przez wieki żyli przedstawiciele różnych cywilizacji, kultur i wyznań, robią, co mogą, by odzyskiwać ukradzione dzieła. Zaangażowanych jest w to kilka resortów oraz policjanci i celnicy. Niekiedy udaje się zatrzymać turystów, nie do końca świadomych tego, co robią, tłumaczących, że chcieli tylko zabrać pamiątkę z plaży czy kamyk z muzeum, nie znając jego wartości. Trudniej jednak rozbić międzynarodowe szajki przemytników i fałszerzy, zwłaszcza że w kradzież i nielegalny obrót dziełami sztuki bywają zaangażowani sami muzealnicy. Tak zdarzyło się przed czterema laty, gdy po samobójstwie archeolożki z Zeugmy w muzeum



Niektóre zabytki wystawiane w British Museum pochodzą z antycznego miasta Ksantos.

kraju górną część rzymskiego posągu Heraklesa, znalezionego w 1980 r. w Perdze i wystawianą przez dekadę w Bostonie (dolna została w Turcji). Dziś całą rzeźbę można podziwiać w muzeum archeologicznym w Antalyi, podobnie jak niezwykle sarkofag z antycznej Pergii, odnaleziony kilka lat temu w Szwajcarii. Rzeźbiarz przedstawił na nim 12 prac Heraklesa.

W Turcji wciąż wraca kwestia zwrotu ołtarza pergamońskiego, wywiezionego do muzeum w Berlinie.

Jednak ze św. Mikołajem nie będzie łatwo. Szczątki biskupa Miry wykradli kupcy z włoskiego Bari (a po nich Wenecjanie, którzy jako drudzy włamali się do krypty), terroryzując mnichów i bezczeszcząc świątynię w XI w. n.e. Choć muzułmanie nie czczą przecież świętych, Turcy zażądali od Włoch zwrotu szczątków, zdając sobie sprawę ze znaczenia relikwii dla chrześcijan (zwłaszcza obrządku wschodniego), tłumnie odwiedzających dzisiejsze Demre nad Morzem Śródziemnym. List w tej sprawie Ankara wysłała w 2009 r., nie doczekawszy się jednak oficjalnej odpowiedzi. Turcy zwracali

się także do Watykanu, również bez efektu. I choć do dziś nie ma pewności, czyje szczątki wykradli przybysze (pośród tych w Wenecji jest kość dziecka, nie mogła więc należeć do Mikołaja), raczej nie odpuszczają. Chyba że święty nigdy nie opuścił Turcji. Taką opcję badają archeolodzy, którzy przed dwoma laty odkryli w kościele jeszcze jedną, nienaruszoną kryptę.

– Te obiekty stanowią dziedzictwo całej ludzkości – mówił o zwróconych niedawno artefaktach Muhittin Ahmet Hazal, konsul generalny w USA. – Każdy, kto chce, będzie mógł przyjechać do Turcji i zobaczyć je w naszych muzeach.

Nie wiadomo, kto skorzysta z zaproszenia, faktem jest jednak, że gdyby wszystkie należące do Turcji skarby wróciły nad Bosfor, poświęcone Orientowi sale w muzeach europejskich zaczęłyby świecić pustkami. Sam tylko Luwr może się pochwalić bogatą kolekcją ceramiki, dywanów i mozaik. W paryskim muzeum znajdują się nawet podstawy

kolumn monumentalnej świątyni Apollina z Didymy, stanowiska archeologicznego w dzisiejszym mieście Didim (zachodnia Turcja). Spór toczy się też o pozostające w British Museum ołtarze przewiezione z antycznego miasta Ksantos, odlaną z brązu głowę Afrodyty pochodzącą z Gümüşhane czy posąg króla Idriemiego z Hatay. Do tego skarby z Halikarnasu (dzisiejsze Bodrum), w tym posągi króla Mauzolososa i jego żony Artemizji z Karii, a także monumentalne posągi olbrzyma i lwów oraz liczne płaskorzeźby.

Choć Brytyjczycy nie palą się do ich zwrotu, sami niedawno dostarczili Turkom argumentów. W zeszłym roku okazało się, że w magazynach brakuje ok. 200 przedmiotów, które figurują na muzealnych listach. Zwolniono wówczas wieloletniego pracownika galerii kultur śródziemnomorskich. Peter Higgs miał je kraść, a następnie sprzedawać w serwisie eBay. Zeynep Boz z departamentu przeciwdziałania przemytowi w tureckim resorcie spraw zagranicznych czym prędzej wysłała do Londynu list z żądaniem zwrotu anatolijskich artefaktów. „I przed kim teraz trzeba chronić zabytki?”, pytają nie bez racji tureccy archeolodzy.

Marcelina Szumer-Brysz

Piłką nożną przeciw wojnom

Boiska Pokoju znajdują się m.in. w Indiach, Japonii, Australii czy Ugandzie. Teraz dołączą Katowice



Drużyna Gerarda Cieślika, uczestnicy projektu Football Makes History, Chorzów, wrzesień 2023 r.

Beata Dżon-Ozimek

– Nie wskazujemy lokalizacji, które włączają się w przekazywanie pamięci o flandryjskim Peace Field, boisku pokoju. Peace Pitch w Mesen przypomina historię rozejmu bożonarodzeniowego podczas I wojny światowej, z 1914 r. Niedawno minęło więc 110 lat, odkąd alianccy i niemieccy żołnierze spotkali się w Boże Narodzenie na ziemi niczyjej, by zagrać w piłkę nożną, obdarować się prezentami i uścisnąć sobie dłonie. Miejsce to stało się celem pielgrzymek zwykłych ludzi z całego świata, którzy chcą oddać hołd pokojowi – wyjaśnia Irlandczyk Ernie Brennan, emigrant wojenny.

Belgijskie Mesen utrzymuje się w dużej mierze dzięki turystyce związanej z rozejmem bożonarodzeniowym. Jednak w pobliżu znajduje się również Irlandzki Park Pokoju, upamiętniający zabitych, rannych i zaginionych w I wojnie żołnierzy zarówno irlandzkich, jak i ulsterskich. I właśnie Ernie Brennan, wcześniej człowiek mediów, powołał do życia projekt Peace Field. Jego organizacja charytatywna Children's Football Alliance (CFA) zajmuje się edukacją pokojową poprzez zabawę.

Program umożliwia realizację projektów sportowych i zabawowych dla dzieci i dorosłych na całym świecie. Istnieją 74 boiska Peace Field Project na sześciu kontynentach.



Dzieci, które przenoszą istotę zabawy do dorosłego życia, budują pokój dla wszystkich – wyjaśnia Ernie Brennan.

Niedawno wybrana została nowa lokalizacja – w Katowicach.

Takie inicjatywy jak Boisko Pokoju czy Football Makes History (piłka nożna pisze historię) przywracają piłce nożnej głębszy sens. Bo kiedy przywołamy postacie z historii futbolu np. na Śląsku, szybko sobie przypomnimy, za co kochano ten sport. Począwszy od getrów Gerarda Cieślika i butów pucowanych przez niego przed meczem, przez grę bez oszczędzania siebie, po pamięć o tym, że żyje się pośród tych ludzi, kibiców. Takiej historii porządnych ludzi, śląskich futbolistów, uczą się młodzi i opowiadają o tym na forum międzynarodowym. Wówczas chce się wierzyć, że piłka łączy.

Pokojowa edukacja

W ramach projektu Boisko Pokoju gra się m.in. w piłkę nożną, rugby,

krykieta, siatkówkę oraz rozgrywa walki na ringu bokserskim. Przedstawiciele tych dyscyplin sami zwrócili się do Children's Football Alliance, aby dołączyć do inicjatywy. – To, co wspólne, co łączy zwykłych ludzi, to znaczenie zabawy. Wszyscy są zgodni, że jest ona prawem dzieciństwa. Ludzie często wracają do tego czasu, by zapomnieć o zmartwieniach, przemocy, horrorze wojen i stresie. Można przypuszczać, że tak właśnie się stało w 1914 r., kiedy część żołnierzy spotkała się na ziemi niczyjej – opowiada Brennan

międzypokoleniowe, lepsze zrozumienie wielokulturowości i znaczenia ochrony dzieciństwa poprzez zabawę. Te sformułowania nie są na wyrost.

Aż tu nagle Katowice

Na mapie Boisk Pokoju znajdują się m.in. Indie, Samoa, Fidżi, Japonia, Australia, Włochy, Niemcy czy Uganda. Pierwsze polskie Boisko Pokoju dostało miejsce niedaleko byłej kopalni Wujek, koło historycznego klubu Rozwój. Wielu Ślązaków,

mamy klasy piłkarskie w szkole”, rzuciłam znad kawy. Stefano popatrzył na mnie, wgrzając się w bułkę, przełknął i natychmiast zaproponował udział. To był początek moich projektowych kontaktów z piłką nożną – śmieje się Anna Skiendziel.

Kluby piłkarskie są centralnymi punktami wielu historii społecznych. Anna Skiendziel i uczniowie katowickiego ZSTiO2 w ramach projektu Erasmus+ „Football Makes History: Schools and Football Club Museums Unlocking Local Heritage Education” dostali zadanie zbadania historii swojej społeczności z udziałem lokalnych klubów piłkarskich. Praca na różnych etapach trwała dwa lata, powstało 20 historii piłkarzy. Zespół Football Makes History wybrał trzy. Nakręcono etiudy o Eryku Tatusiu, Zbigniewie Wilku i Gerardzie Cieśluku. Filmy i historie są dostępne dla światowej publiczności, mogą być wykorzystywane jako materiał edukacyjny. Realizowali je uczniowie pod opieką Stefana Di Pietro. Projektem, w którym piłka nożna jest kluczem, opiekowały się nauczycielki Anna Skiendziel, Agnieszka Swoboda i Edyta Stańczyk. Żadna z nich nie gra w „futsal”.

Niedawno minęło 110 lat, odkąd alianccy i niemieccy żołnierze spotkali się na ziemi niczyjej, aby zagrać w piłkę nożną.

i dodaje: – Dzieciaki, które bawią się razem, mają do czynienia z różnymi płciami, odmiennymi umiejętnościami i wspólnotą. Dzieci, które przenoszą istotę zabawy do swojego dorosłego życia, budują pokój dla wszystkich.

Tego właśnie chcą w CFA. Projekt Peace Field rozwija się dzięki opowieściom uczestników i przekazom o nim. Nie ma żadnego dużego sponsora korporacyjnego ani globalnego organu sportowego. – Inicjatywa stała się prawdziwą siecią pokojową. Wciąż się rozwija. Wiele jej boisk znajduje się w miejscach dotkniętych wojną, ubóstwem, na obszarach o wysokim napięciu społecznym, w społecznościach będących na drodze do pojednania, podzielonych i związanych z historycznymi bitwami. Niesamowite było doświadczenie różnorodności społeczności uznających wartość pokoju poprzez zabawę – Brennan jest niezmiennie pełen entuzjazmu.

Najważniejsze w przystąpieniu do projektu jest to, czy chętni rozumieją znaczenie zabawy w dzieciństwie, a poprzez to wartości humanitaryzmu. Brennan podkreśla, że dzieci zasługują na zdrowie, bezpieczeństwo i dobre samopoczucie. Kryteria są proste – pełna inkluzywność: różne płcie, zdolności, wiek, wszystkie wyznania i bezwyznanowość. Efektem są silniejsze relacje

katowiczanki, grało w tej dzielnicy w futsal (piłka nożna po śląsku).

Skład na tej mapie Katowice i co w tym wszystkim robi nauczycielka historii w liceum i technikum Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących nr 2 Anna Skiendziel? – Anna została przedstawiona CFA przez przyjaciół z Football Makes History (internetową platformę za-

Znaczenie projektu Peace Field polega przede wszystkim na tym, że jest pokojową edukacją poprzez zabawę.

sobów dla nauczycieli, organizacji sportowych i władz). Jej niezwykła praca nauczycielki i mentorki młodzieży współgra z programem Peace Field. CFA uważa, że Anna jest idealną osobą do kierowania pierwszym w historii Peace Field Project Peace Pitch w Katowicach, szczególnie w roku 80-lecia wyzwolenia nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. A piłka nożna dla Śląska ma szczególne znaczenie – mówi Ernie Brennan.

Zaczął się przy śniadaniu podczas jednego z międzynarodowych projektów dla szkół, w słynnej Krzyżowej. Wśród ludzi z różnych stron Europy znalazł się włoski filmowiec Stefano Di Pietro współpracujący z tym programem. – „Uczę piłkarzy,

Młodzież z Katowic z piłkarskimi historiami gościła w Radzie Europy w Strasburgu, była w Amsterdamie na specjalnej projekcji swojego filmu, a w katowickim Teatrze Korez miało miejsce zakończenie projektu. Część uczniów przeżywała dzięki niemu osobiste odkrycia, nie tylko historii z sąsiedztwa, ale i tego, co sport może dać, a ile zabrać. Żeby o tym opowiedzieć za granicą, młodzi ludzie musieli też pokonywać własne lęki, np. związane z pierwszą podróżą samolotem czy z wystąpieniami publicznymi

Zbigniew Wilk tutaj kiedyś grał

Jedyne w Polsce Boisko Pokoju powstanie w szczególnym miejscu ▶

► w Katowicach, gdzie historia zapisała się m.in. tragedią w kopalni. – Boisko, pole jest symbolem. To przestrzeń, miejsce, ale i trawnik przed blokiem. Miejsce, gdzie się żyje sportem, zabawą przez sport, wyjściem dzieciaków na zewnątrz. Kiedyś to było podwórko, podbijanie piłki. Trzepak, czyli klopsztanga, też jest takim elementem. Tu, gdzie stoi teraz szkolna hala, było dzikie boisko. Co najważniejsze, na ulicy Zgody jest stare boisko klubu Rozwój KWK Wujek. Grały tam całe rodziny, pokolenia. Dziadek, czasami ojciec, wnuk, bracia, kuzyni – opowiada nauczycielka. Dodatkowo klub piłkarski Rozwój w 2025 r. obchodzi 100-lecie powstania.

– To taka przestrzeń, która łączy. Chcielibyśmy pokazać spuściznę nieczynnej kopalni Wujek. Jeden z górników, Zbigniew Wilk, był uczniem naszej szkoły, grał w Rozwoju, zginął podczas stanu wojennego. Znanych nazwisk jest więcej. W 2025 r. chcemy przygotować specjalne tabliczki z napisem „Boisko Pokoju”, takie jak w 74 pozostałych miejscach świata, zorganizować turniej, zaprosić innych uczniów. Możliwości są różne, ten projekt nie ogranicza, pasuje do każdego miejsca i pewnie dlatego tyle boisk

Boisko klubu Rozwój jest symbolem. Tam grały całe rodziny, pokolenia. Dziadek, czasami ojciec, wnuk, bracia, kuzyni.

jest w miejscach nieoczywistych. Bardzo się cieszę, że dołączamy do społeczności, gdzie piłka ma jeszcze większe znaczenie i otwiera pola do zgody – tłumaczy Anna Skiendziel. Chcieliby z uczniami, żeby miejscowa historia przetrwała. Żeby dzieciak stąd, z okolic ulicy Dziewięciu z Wujka, wiedział: tak, Zbigniew Wilk tutaj kiedyś grał.

Losy piłkarzy wiele mówią o Śląsku, Anna Skiendziel wykorzystuje ich historie na lekcjach, np. nawiązuje do tragicznej postaci Ernesta Wilimowskiego. Znakomity zawodnik polskiej reprezentacji, potem w reprezentacji III Rzeszy. Złamane życie.



Belgijskie Mesen utrzymuje się w dużej mierze dzięki pielęgnowaniu pamięci o rozejmie bożonarodzeniowym. Np. tabliczki z miast, w których znajdują się Boiska Pokoju.

– Ernie Brennan chciał w roku 80-lecia wyzwolenia Auschwitz wyróżnić Polskę zaproszeniem do grona Boisk Pokoju. W najbliższym roku czeka nas uroczyste otwarcie Peace Field w Chorwacji, w Puli.

nie tylko np. w Argentynie. My też mamy takie miejsca w Katowicach czy w Chorzowie – podkreślają nauczycielki.

Anna Skiendziel szkoli nauczycieli w zakresie nauczania z wykorzystaniem piłki nożnej. Poprzez ten temat można przecież mówić o korupcji, dyskryminacji, rasizmie, antysemityzmie czy nierównościach płacowych, o tym, jak się traktuje piłkarki. O pracy niewolniczej na przykładzie mistrzostw świata w Katarze.

– Współpracujemy również z organizacją Fare Network, która zajmuje się dyskryminacją na boiskach, i zawsze mamy wielu wolontariuszy podczas zawodów. Obserwują, czy do takich zjawisk nie dochodzi – to jest przedmiot badań. Widać tu niesamowite tematy i ogromny potencjał. Mimo że nie jestem fanką piłki nożnej, wiem już, jak ogromny wpływ może ona mieć na nasze życie, na postawy młodych ludzi – przyznaje Anna Skiendziel. – I tym chcemy się dzielić z naszej szkoły, z Katowic, z Boiska Pokoju.

A my będziemy szukać pieniędzy na ustandaryzowane tabliczki: jedną musimy mieć u siebie, drugą wystać do Mesen, historycznego miejsca, gdzie także sadi się drzewka pokoju. Sam projekt nie zapewnia środków, tylko ideę i doświadczenie. Cieszy nas, że nie ogranicza tematyki wyłącznie do piłki nożnej. Chodzi o sport i bycie razem, dialog, rozmowy – wylicza nauczycielka.

Równie ważny przekaz ze strony młodzieży i podobnych inicjatyw kierowany jest do piłkarzy. Chodzi o odpowiedzialność za to, co mówią i robią. – By godnie się zachowywali, bo dzieci ich kopią. Są bogami dla dzieciaków z dzielnic biedy,

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Wjaki sposób zostaną zapamiętane nasze czasy? Może jako epoka zmartwychwstania dinozaurów i walk, w których stawały przeciw sobie Godzilla i King Kong? Kino jest w końcu naszą wizytówką. Charakterystyczne: świat tłumaczymy sobie jako starcie żywiołów. Staliśmy się we własnych oczach drobinkami, których pałace może obrócić wniwecz jedno ziewnięcie potwora.

Być może sami będziemy musieli stanąć do walki, zmierzyć się z mocami Frankensteina, który zstąpił na ziemię, przybierając nowe imię – Al. Tymczasem homo sapiens wyraźnie opada z sił. Francuski filozof eseista Alain Finkielkraut pisał o „porażce myślenia”. Żyjemy, jak zauważył, w czasach „zdechłaka i fanatyka”. Fanatycy

Naukę, która powinna zastanowić nas w szczególnie sposób, zawiera opowieść o pobycie w krainie rozumnych koni. Ich imię – Houyhnhnm – to istny tor przeszkód dla ludzkiego języka (ot, subtelna drwina z naszych zdolności nazywania – co nam mówią nasze słowa?). „Zachowanie owych zwierząt – informuje pan Gulliver – było tak porządne i rozumne, tak bystre i rozsądne, że wreszcie uznałem je za magów”. Zagadkowa kraina jest jednocześnie zamieszkiwana przez istoty bez rozumu, które zwą się Yahoo. Nasz podróżnik ustala niepokojące podobieństwo: Yahoosi już od pierwszego wejrzenia bardzo przypominają istoty ludzkie. Rozumne konie odnoszą się do nich z pogardą. Dlaczego?

My

nie myślą, bo do niczego nie jest im to potrzebne, zdechłakom po prostu nie starcza sił. Oto obraz epoki.

Najchętniej mówimy dziś o emocjach. Na tym tle zapomniało prawdziwe szaleństwo. Wszyscy, z politykami na czele, chcą „docierać do emocji”. Być może poczuliśmy się jakoś skrępowani darem myślenia, być może on nas zawstydza, homo sapiens najwyraźniej odwraca się od swojej przeszłości. Oto wreszcie nadeszły czasy pokory – wstydzimy się myśleć.

Nie o tym marzyło Oświecenie. Chociaż właściwie od początku wszystko było dość pogmatwane. Charles Dickens zanotował: „Była to najlepsza i najgorsza z epok, wiek rozumu i wiek szaleństwa. (...) Dążyliśmy prosto w stronę nieba i kroczyliśmy prosto w kierunku odwrotnym”.

Tak bywa. Ze złudzeniami Wieku Światła z największym talentem rozprawił się Jonathan Swift. Jego „Podróż do wielu odległych narodów świata” to jedno z najfantastyczniejszych dzieł literatury. Głęboki sarkazm miesza się u Swifta z dowcipem i nieprześcignioną przenikliwością. Rozkosz i radość! I pomyśleć, że książka ta została właściwie zamordowana, pomniejszona, oddana dzieciom. W wersji zinfantylizowanej straciła urok oparty na przewrotnych metaforach i całą czarodziejską moc. Stała się czytałem dla maluchów.

A obrazy Swifta dotyczą rzeczy głębokich. Opowieść o zaskakującym przebudzeniu omotanego sznurami pana Lemuela Gullivera w krainie o nazwie Lilliput należy czytać z zastanowieniem – nawet olbrzym może upaść skrzępowany mocą drobiazgów. Płyniemy dalej. Podziwiamy majestat uczonych czyniących starania w Wielkiej Akademii Lagadyjskiej. Czym się zajmują mędrcy? Mnóstwem rzeczy. Na przykład wyprężaniem prochu strzelniczego z lodu, wyciąganiem promieni słonecznych z ogórków, rozmnażaniem rasy nagich owiec.

Natura Yahoosów to kłębowisko podłych instynktów. Są to stwory „podstępne, złośliwe, zdradzieckie i mściwe”. Przejawiają upodobanie do gwałtu – są „nikczemne i okrutne”, a jednocześnie tchórzliwe. Spryt nazywają rozumem.

Oto czarodziejskie lustro Swifta. Krzywe zwierciadło postawione dla zabawy czy też najcenniejsze lustro prawdy? Mieszkańcy odległej krainy, nikczemni, leniwi, zdradzieccy, pukają do naszych drzwi. Na mocy podobieństwa stają się naszymi braćmi. Swift wyszydził namaszczonego wiek XVIII. Za karę umieściliśmy go w czytankach dla dzieci. Niczego nas nie nauczył? Nasze piramidy, nasze złudzenia będą trwać wiecznie czy runą pod naporem śmiechu? Swift przypomina trochę cesarza Kaligulę, który wywyższył swojego konia Incitatusa – obaj mieli słabość do mądrych zwierząt. Obaj postawili świat na głowie.

Nasz własny świat – lubimy tak myśleć – stoi jednak mocno na nogach. Czy dlatego, że rządzą nami mędrcy? Czego dowiadujemy się, słuchając szczebiotu polityków? Jakim właściwie językiem oni do nas mówią? Językiem rozumu? A uczeni znawcy polityki? Istna Akademia Lagadyjska: „Ecie-pecie, przecież wiecie”.

Dokąd więc ostatecznie zaprowadziły nas rządy „rozumu”? Jesteśmy dumni z demokracji? Dlaczego? Widzimy przecież, że w jej młynach używanie słów pomyłono z myśleniem. Politycy zadreżyli nas swoimi popisami, opartymi na błędnym założeniu, że cała mądrość (powtórzmy, Yahoosi mylą spryt z rozumem) to manipulacja i socjotechnika. Wyszło fatalnie. Nuda, aura schyłku i niemożności.

A my sami? Wciąż narzekamy, wciąż mamy pretensje. Nie rozumiemy chyba rzeczy najprostszej – nami zwyczajnie powinny rządzić konie. ■

Moda na antyniemieckość

Niemcy stały się dla Polaków dyżurnym chłopcem do bicia – o tyle wygodnym, że całkowicie bezpiecznym

Paweł Siergiejczyk

35 lat po upadku muru berlińskiego trudno w Polsce znaleźć jakiegokolwiek ślady sympatii wobec Niemiec. Polska prawica całkowicie uległa antyniemieckiej obsesji Jarosława Kaczyńskiego, narastającej u tego starego człowieka z roku na rok i przybierającej coraz bardziej chorobliwe oblicze – aż do nazywania premiera Tuska „niemieckim agentem”. Minęły już czasy, gdy naszej prawicy imponowała siła i trwałość niemieckiej chadecji, jeśli

przedstawiającą SPD jako putinowską agenturę. Tymczasem mowa o jednym z najstarszych ugrupowań w Europie, którego początki sięgają roku 1863, a więc czasów naszego powstania styczniowego, gdy na ziemiach polskich nikt jeszcze nie myślał o tworzeniu nowoczesnych partii politycznych. Mowa o partii Augusta Bebla, Wilhelma Liebknechta, Karla Kautskiego, Eduarda Bernsteina i Róży Luksemburg. Partii, która budowała niemiecką demokrację po obu wojnach światowych. Partii kanclerzy Willy’ego Brandta i Helmuta Schmidta, którzy jako

Dedecius. Potem już żaden prawicowy następca Kwaśniewskiego – ani Lech Kaczyński, ani Bronisław Komorowski, ani Andrzej Duda – nie miał odwagi uhonorować w ten sposób kogokolwiek zza Odry, choć najwyższe odznaczenia trafiały do polityków z różnych krajów, często odległych i mało istotnych dla Polski. Trudno o wymowniejszą ilustrację niechęci polskich elit do Niemiec i Niemców.

Niechęć i niewdzięczność

Niechęć, która łączy się z niewdzięcznością. Bo Polaków niestety cechuje niewdzięczność – i wobec obcych, i wobec swoich, czego doświadczyło wielu naszych wybitnych rodaków. Z tej niewdzięczności wynika zakłamaną historią, w której Niemców kojarzy się tylko z Adolfem Hitlerem (może jeszcze z Ottonem von Bismarckiem). Tak jakby sześć lat II wojny światowej miało unieważnić ponadtysiącletnie sąsiedztwo, dzięki któremu Polska stała się częścią cywilizacji europejskiej, czyli chrześcijańskiej albo łacińskiej – by użyć określenia rozpropagowanego przez Feliksa Konecznego, przedwojennego historyka, tak modnego dziś wśród polskiej prawicy. Zresztą owa popularność Konecznego bierze się też z jego antyniemieckości. Autor ten głosił bowiem kuriozalny pogląd, że Niemcy należą do cywilizacji bizantyńskiej, a więc stojącej moralnie niżej niż łacińska, której sztandarowym reprezentantem ma być naród polski (dodajmy, że w teorii Konecznego Rosja to cywilizacja turańska, czyli mongolska, a wszelkie odmiany socjalizmu należą do cywilizacji żydowskiej).

Ostatnim liderem polskiej lewicy – i zarazem przedstawicielem III Rzeczypospolitej – który potrafił wyrazić wdzięczność Niemcom, był Aleksander Kwaśniewski.

nawet nie w wersji CDU, to na pewno bawarskiej, katolickiej CSU. Dziś do bliskich związków z partią kanclerzy Konrada Adenauera, Ludwiga Erharda, Helmuta Kohla i Angeli Merkel nikt z polskich polityków się nie przyznaje. Nawet Donald Tusk, który europejską karierę zawdzięcza przecież w dużej mierze współpracy z CDU/CSU w ramach Europejskiej Partii Ludowej. Obecny premier najwyraźniej uległ szantażowi moralnemu prezesa PiS i robi wszystko, by nie sprawiać wrażenia, że może być owym „niemieckim agentem”.

Ale z Niemcami nie chce mieć nic wspólnego także polska lewica, choć ostatnie lata to rządy socjaldemokratów w Berlinie. Nasza lewica uwierzyła w prawicową narrację,

pierwsi uznali granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej oraz szeroko otworzyli Polsce Ludowej drzwi do zachodniej Europy. Wreszcie partii kanclerza Gerharda Schrödera, głównego orędownika przyjęcia Polski do Unii Europejskiej.

Ostatnim liderem polskiej lewicy – i zarazem przedstawicielem III Rzeczypospolitej – który potrafił za to wszystko wyrazić Niemcom wdzięczność, był Aleksander Kwaśniewski. To z jego rąk najwyższe polskie odznaczenie, Order Orła Białego, odebrał zarówno Gerhard Schröder, jak i jego poprzednik Helmut Kohl, a także kolejni prezydenci RFN: Johannes Rau z SPD i Horst Köhler z CDU, oraz wybitny tłumacz i popularyzator literatury polskiej w Niemczech Karl

Zdumiewająca jest ta polska niewdzięczność, ale jeszcze bardziej zdumiewa usilne zakłamywanie naszej tożsamości narodowej, której znaczącym elementem zawsze był czynnik niemiecki. Każde polskie dziecko uczy się o Dobrawie, ale już nie o drugiej żonie Mieszka I, niemieckiej księżniczce Odzie, która jest tak samo zapomniana jak pierwsza polska królowa, Rycheza. A to pochodząca z cesarskich rodów niemieckiego i bizantyńskiego żona Mieszka II po jego śmierci wywalczyła na cesarskim dworze pomoc w odbudowie państwa polskiego pod rządami jej syna Kazimierza Odnowiciela. Nie pamięta się o niemieckich żonach kolejnych polskich królów: Kazimierza Wielkiego (Adelajda Heska), Władysława Jagiełły (Anna Cylejska), Kazimierza Jagiellończyka (Elżbieta Rakuszancka), Zygmunta Augusta (Elżbieta i Katarzyna Habsburżanki), Zygmunta III Wazy (Anna i Konstancja Habsburżanki), Władysława IV (Cecylia Renata Habsburżanka), Michała Korybuta Wiśniowieckiego (Eleonora Habsburżanka).

Nawet jeśli Polacy słyszeli o tych polskich królowych, zazwyczaj nie zdają sobie sprawy, że ich językiem rodowym był niemiecki. Podobnie jak w przypadku założycieli większości polskich miast oraz ich mieszkańców przez długie wieki.

Zabór pruski długo uchodził za najmniej opresyjny i antypolski, za to przynoszący wzorce państwa, którego na ziemiach polskich dotąd nie widziano.

Niemiecka kolonizacja w średniowieczu i rola niemieckiego mieszczaństwa w I Rzeczypospolitej to bowiem tematy zupełnie niepasujące do sarmackiej wizji dziejów, propagowanej przez dzisiejszych epigonów Konecznego.

Mocno trzyma się za to czarna legenda dwóch niemieckich królów XVIII-wiecznej Polski: Augusta II i jego syna Augusta III z saskiego rodu Wettynów. Obaj uchodzą za władców nie tylko obcych (tak jakby Władysław Jagiełło, Stefan Batory

czy Zygmunt III byli bardziej polscy), ale wręcz antypolskich, od których zaczyna się liczyć okres upadku Rzeczypospolitej. Ta czarna legenda epoki saskiej skutecznie fałszuje prawdę o przyczynach kryzysu państwa polsko-litewskiego. A te leżały głównie w skrajnym egoizmie i antypaństwowej postawie większości polskiej szlachty (ze szczególnym uwzględnieniem rodów magnackich), widocznych co najmniej od początku XVII w.

Polaków niestety cechuje niewdzięczność – i wobec obcych, i wobec swoich, czego doświadczyło przecież wielu naszych wybitnych rodaków.

Przypisywanie zatem Wettynom winy za katastrofę Rzeczypospolitej jest wyjątkowo niesprawiedliwe, zwłaszcza że ich rządy zapoczątkowały nad Wisłą oświecenie i próby unowocześnienia kraju na wzór zachodnioeuropejski, z czego najbardziej skorzystało miasto Warszawa. To prawda, że sojusz Augusta II z carem Piotrem Wielkim podczas wojny północnej okazał się niefortunny i przyniósł początek uzależnienia Rzeczypospolitej od Rosji. Trzeba jednak pamiętać, że nie był to

gościły wielu polskich emigrantów: od Tadeusza Kościuszki i Hugona Kołłątaja, przez Adama Mickiewicza (w stolicy Saksonii napisał III część „Dziadów”), po Józefa Ignacego Kraszewskiego i margrabiego Aleksandra Wielopolskiego.

Pokojowe sąsiedztwo

Ale o tym nie chce się w Polsce pamiętać. Tak samo jak nie chce się pamiętać o trzech wiekach w więk-

szości pokojowego sąsiedztwa polsko-krzyżackiego (wojny ze światnie zorganizowanym i prężnym gospodarczo państwem zakonnym stanowiły tylko epizody w naszej historii od XIII do XVI w.), a potem polsko-pruskiego, przerwane dopiero udziałem Berlina w I rozbiórze Rzeczypospolitej. Ale nawet później mieliśmy epizod sojuszu polsko-pruskiego z lat 1790-1792, z którego wprawdzie nie wynikła planowana wojna z Rosją, lecz dzięki niemu Polska chwilowo odrzuciła rosyjskie zwierzchnictwo i można było uchwalić Konstytucję 3 maja. Po III rozbiórze zabór pruski (do 1806 r. obejmujący także Warszawę) długo zaś uchodził za najmniej opresyjny i antypolski, za to przynoszący wzorce państwa, którego na ziemiach polskich dotąd nie widziano: praworządne, dobrze zorganizowane i solidnie administrowane. Bo taką opinię miały w Europie oświeceniowe Prusy – pierwszy zaborca, który polskim chłopom dał ziemię na własność, a polskim Żydom nazwiska (oczywiście w większości niemieckie).

Jednak w Polsce Prusaków kojarzy się tylko z Fryderykiem Wielkim i Ottonem von Bismarckiem, uchodzącymi za sztandarowe postaci niemieckiego „bizantynizmu” (by znów odwołać się do antyniemieckiej terminologii Feliksa ▶

► Konecznego, masowo wznawianego przez prawicowe wydawnictwa). Próżno spodziewać się u nas empatii dla zachodniego sąsiada, który w tych dwóch politykach widzi pomnikowych twórców własnej nowoczesności i narodowej jedności, a nie współuczestnika rozbioru Rzeczypospolitej oraz realizatora Kulturkampfu (który zresztą był nie zwalczaniem polskości – jak u nas się uważa – lecz walką zjednoczonego państwa niemieckiego z Kościołem katolickim, który tej jedności nie uznawał i stanowił dla niej zagrożenie poprzez swoje podporządkowanie papieżowi).

Polacy nie są też wdzięczni niemieckiemu cesarzowi Austrii Franciszkowi I za pół wieku autonomii Galicji, która po klęsce powstania styczniowego umożliwiła nie tylko kontynuację, ale wręcz rozkwit polskiego życia narodowego aż do momentu odzyskania niepodległości w 1918 r. Nie są wdzięczni za akt cesarzy niemieckiego i austriackiego z 5 listopada 1916 r., ogłaszający odrodzenie Królestwa Polskiego na ziemiach centralnej Polski, co umożliwiło stworzenie podstaw przyszłej

całkowicie bezbronne i niegroźne dla kogokolwiek, za to w pełni demokratyczne i liberalne, rządzone przez polityków szukających oparcia w zachodnich demokracjach. Republikę Weimarską zniszczył dopiero Hitler, któremu dojście do władzy umożliwiły konserwatywne elity obawiające się partii komunistycznej, a nie większość niemieckich wyborców – jak w Polsce fałszywie się uważa. I tu wielki paradoks: aż do wiosny 1939 r. stosunki między II RP a III Rzeszą były znakomite, gdyż Hitler zerwał z antypolską polityką swoich poprzedników i liczył na wciągnięcie Polski w antyradzieckie plany. Gdy Warszawa ostatecznie odrzuciła te załoty, nazistowski Berlin od razu rozpoczął przygotowania do wojny z Polską, zmieniając ton propagandy na skrajnie antypolski.

Dwa państwa

Klęska III Rzeszy stanowiła punkt zwrotny w niemieckich dziejach. Czteroletnia okupacja Niemiec przez zwycięzców II wojny światowej, a następnie podział tego kraju na dwa osobne państwa ostatecznie

Nawet próby odradzania się niemieckiego nacjonalizmu – obecnie pod szyldem Alternatywy dla Niemiec (AfD) – mają charakter znacznie łagodniejszy niż w Polsce i są powszechnie potępiane przez całą resztę sceny politycznej oraz niemieckie elity, które gwarantują, że nacjonaści nie zostaną dopuszczeni do władzy w Berlinie. Polskie odpowiedniki AfD, czyli PiS i Konfederacja, mają znacznie większe możliwości kwestionowania porządku konstytucyjnego III RP i są uznawane za pełnoprawnych uczestników sceny politycznej.

Taka jest prawdziwa przyczyna antyniemieckiej obsesji polskiej prawicy. Bo nie ma żadnych racjonalnych powodów, by atakować największe demokratyczne państwo, które sąsiaduje z Polską, w dodatku najbogatsze i najlepiej rozwinięte gospodarczo w Europie. Od czasu zjednoczenia Niemiec RFN nigdy nie podjęła działań, które można by uznać za nieprzyjazne wobec Polski, dlatego głosiciele antyniemieckiej propagandy muszą wymyślać sztuczne konflikty, dla Niemców kompletnie niezrozumiałe. Takim konfliktem jest żądanie przez Polskę wypłaty odszkodowań za II wojnę światową – niemal 80 lat po jej zakończeniu, gdy wszystkie roszczenia wojenne zostały dawno zamknięte, a terytorium Polski od 1945 r. w jednej trzeciej składa się z ziem odebranych państwu niemieckiemu (często wcześniej do Polski nienależących).

Inny sztuczny konflikt dotyczy współpracy niemiecko-rosyjskiej do 2022 r., którą u nas przedstawia się jako nowe wydanie paktu Ribbentrop-Mołotow (w wersji łagodnej, np. ministra Sikorskiego) lub jako „niemiecko-rosyjskie kondominium” rządzące Polską (w wersji skrajnej, np. prezesa Kaczyńskiego). Kompletnie zapomina się, że owa współpraca miała charakter wyłączanie gospodarczy, bo Niemcy cały czas były i pozostają superlojalnym członkiem NATO i Unii Europejskiej, a więc i podwójnym sojusznikiem Polski. A gospodarczo współpracowały z postradziecką Rosją (zresztą wcześniej również z ZSRR) wszystkie kraje zachodnie, łącznie z USA.

W Polsce nie mówi się o cenie, jaką niemiecka gospodarka zapłaciła za zerwanie współpracy z Rosją, szczególnie w dziedzinie energetyki.

administracji, sądownictwa, oświaty i wojska dla II Rzeczypospolitej. A przecież gdyby nie te propolskie gesty obu niemieckich zaborców – fakt, wynikające nie z ich miłości do Polaków, lecz z własnych kalkulacji – położenie naszego narodu po ponad stu latach niewoli byłoby znacznie trudniejsze.

Historia ostatniego stulecia to jeszcze większe pole zakłamania, jeśli chodzi o dzieje Niemców i ich relacji z Polakami. Pamięta się o antypolskim nastawieniu władz Republiki Weimarskiej z lat 1919-1933 (które łatwo zrozumieć w świetle postanowień traktatu wersalskiego), lecz zapomina o tym, że było to pierwsze w niemieckiej historii państwo

zamknęły epokę niemieckiego zagrożenia w Europie. Amerykanie w RFN i Rosjanie w NRD skutecznie zadbali o to, by niemiecki nacjonalizm – którego największą skrajnością okazał się nazizm – już nigdy się nie odrodził. Od niemal 80 lat trwa także skuteczna „reedukacja” Niemców w duchu demokratyczno-liberalnym, pacyfistycznym i antyfaszystowskim, dzięki czemu w tamtejszej polityce tak silną pozycję utrzymują ugrupowania lewicowe (nie tylko SPD, ale też Zieloni i różne odmiany lewicy post-NRD-owskiej) oraz liberalne (FDP). Prawica zaś ma oblicze umiarkowanej, proeuropejskiej chadecji, której polityka w praktyce niewiele się różni od lewicowej.

O czym świadczy choćby ogromna liczba zachodnich firm, które wycofały się z rynku rosyjskiego po nałożeniu na ten kraj sankcji w 2022 r. To, że wśród owych firm niewiele było polskich, nie jest powodem do dumy. Świadczy jedynie o słabości polskiej gospodarki i kierowaniu się przez nasze rządy uprzedzeniami politycznymi tam, gdzie wszyscy inni kierowali się interesami własnych gospodarek. Poza tym nie było żadnego powodu, by do momentu agresji na Ukrainę izolować Rosję

było nie do przewidzenia, szczególnie dla racjonalnych elit niemieckich, w których słowniku od 1945 r. nie ma hasła wojna jako narzędzie uprawiania polityki.

Pomoc dla Ukrainy

W tej sytuacji przedstawianie działań Berlina jako głównej przyczyny rosyjskiej agresji na Ukrainę – co robi u nas nie tylko prawica – świadczy o kompletnym niezrozumieniu realiów europejskiej polityki

Tkwimy w naszych absurdalnych uprzedzeniach i rozkoszujemy się rzekomą wyższością moralną, która w rzeczywistości jest tylko lenistwem umysłowym.

gospodarczo od Zachodu (i tym samym wypychać ją w uzależnienie od Chin), skoro w praktyce stanowiło to potężne narzędzie nacisku na Moskwę, której budżet w dużym stopniu zależał od handlu z Europą, zwłaszcza z Niemcami. To, że Putin porzucił pewne zyski z handlu ropą i gazem na rzecz niepewnych rezultatów wojny z Ukrainą i zaryzykuje zerwanie więzi z Zachodem,

i dowodzi jedynie złej woli wobec sąsiada zza Odry. I nic tu nie pomaga całkowita zmiana podejścia władz niemieckich do Rosji, która nastąpiła po lutym 2022 r. z inicjatywy Olafa Scholza (czwartego z kolei socjaldemokratycznego kancлера RFN) przy poparciu większości sił politycznych – Zielonych, FDP i CDU/CSU. W Polsce nie mówi się o ogromnej cenie, jaką niemiecka

gospodarka zapłaciła za zerwanie współpracy z Rosją (szczególnie w dziedzinie energetyki). Nie mówi się także o gigantycznej – znacznie większej niż nasza – pomocy finansowej i zbrojeniowej udzielanej przez Niemcy Ukrainie. To nie ma znaczenia wobec antyniemieckiej propagandy wylewającej się z polskich mediów we wszystkich kierunków i orientacji.

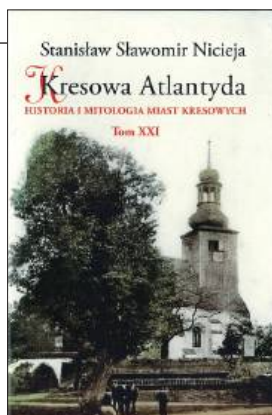
Bo Niemcy stały się dla Polaków dyżurnym chłopcem do bicia, o tyle wygodnym, że całkowicie bezpiecznym. Nie odpłacają się bowiem pięknym za nadobne, choć mogłyby – zarówno w wymiarze historycznym, jak i aktualnym. Na szczęście dla nas za zachodnią granicą mamy sąsiada, który nie wszczyną z nikim bezsensownych konfliktów, bo skutki takiego postępowania odczuł we własnych dziejach wystarczająco mocno. A my, zamiast uczyć się od niego rozsądnego politykowania i mądrego gospodarowania, tkwimy w naszych absurdalnych uprzedzeniach i rozkoszujemy się rzekomą wyższością moralną, która w rzeczywistości jest tylko lenistwem umysłowym.

Paweł Sergiejczyk

KSIAŻKI

Stanisław Sławomir Nicieja
Kresowa Atlantyda
Historia i mitologia miast kresowych T. XXI
Wydawnictwo MS, Opole 2024

Przystankami w podróży prof. Nicieja po Kresach są tym razem Gródek Jagielloński, Kozowa i Milatyn. Ten ostatni to spora wieś, po której pozostały tylko wspomnienia. Jego mieszkańcy po wojnie zostali wywiezieni, a właściwie przescheczeni z ziemi lwowskiej na Dolny Śląsk, do wsi Pępice, niedaleko Brzegu, wcześniej noszącej niemiecką nazwę Pampitz. Stanowili małą grupę (ok. 400 osób) grupę, a więc kropelkę w morzu gigantycznej wędrówki obejmującej miliony ludzi różnych narodowości: Niemców, Polaków, Węgrów, Ukraińców, Słowaków czy Łemków, którzy niespodziewanie wpadli w tryby wielkiej katastrofy historycznej i zostali w 1945 r. wygnani bądź musieli uciekać z rodzinnych stron. Historię przeszczerpienia podelwowskiej wsi Milatyn do Pępicy autor poznał szczególnie dobrze, bo dawni milatynianie



po przesiedleniu są przez ponad 30 lat jego sąsiadami. Mieszkając wśród nich, poznał ich mentalność, zdolności integracyjne, codzienne problemy, świadomość historyczną, obyczajowość i kulturę duchową. Dzięki spisaniu ich biografii udało się stworzyć swoiste studium socjologiczne przesiedlonej małej społeczności kresowej, a są tam wątki uniwersalne, charakterystyczne dla innych, nieproporcjonalnie większych grup ekspatriantów.

W tomie bogato ilustrowanym fotografiami historycznymi i współczesnymi znajdujemy dużo informacji o wybitnych postaciach polityków, duchownych, artystów i uczonych wywodzących się z opisanych tam zatopionych w galicyjskiej prowincji banalnych z pozoru miasteczek. A historia wielokrotnie dowiodła, że miejscowości, które były kolebką wybijających się osobowości, świecą ich odbitym światłem.

CZYTANIE JEST FORMĄ ODCZUWANIA ŚWIATA

10 książek roku 2024

Polak przeczytał w minionym roku tylko 0,6 książki. Ale wydawcy się nie przejmują, wciąż wydają więcej i więcej. Niektóre tytuły są rewelacyjne



Rafał Piłku

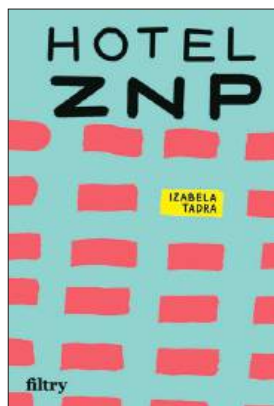
Statystyczny Polak przeczytał w minionym roku tylko 0,6 książki. Wydawcy jednak mają to nosie, wciąż wydają więcej i więcej. A niektóre tytuły są wręcz rewelacyjne. Mówię więc: Polaku, wyjdź z ułamka!

Czasem mam wrażenie, że od 2020 r. żyję na poligonie. Oto liceum z piekła rodem, z którego nie może wyzwolić żadna matura. Chwilami oddechu, przerwą obiadową, są lektury książek. Dobrych, ciepłych, pożywnych. I jeśli

w poprzednich latach na tych łamach pisałem o dekalogu nowej normalności w czasie pandemii, o 12 gniewnych tytułach z momentu, gdy apokalipsa czaiła się tuż za rogiem, a także o książkach, które po prostu zasługują na uznanie, to teraz prezentuję wyjściową dziesiątkę publikacji, które w 2024 r. były jak dobra długa przerwa. Co nie znaczy, że zawsze było tylko przyjemnie. Kolejność książek w zestawieniu wylosował mi ChatGPT. Nie ma tu parytetów płci ani wydawnictw, żadnych reguł, jedynym kryterium było dla mnie czytanie, które jest formą odczuwania świata.

1. Izabela Tadra **Hotel ZNP** Filtry, Warszawa

Zatrzymałem się w hotelu odmalowanym przez Izabelę Tadrę, w opowieści bliskiej każdemu, kto przekroczył Rubikon młodości i nieodwołalnie wszedł w ten etap egzystencji, gdy lista rozczarowań jest dłuższa niż oczekiwań. W najbrzydszym hotelu w Warszawie, który ma najpiękniejszy widok na miasto, spotykają się Mężczyzna po przejściach i Kobieta z przeszłością. Choć autorka pisze o sprawach fundamentalnych, nie ma tam grama nieznośnego patosu, jest za to błyskotliwy humor, a także właściwy rytm, który nie pozwala oderwać się od lektury. To nie tylko traktat o życiu, rozprawa z mieszczańskim wychowaniem, litania marzeń, pragnień i wątpliwości. To przede wszystkim majstersztyk literacki. Każde zdanie debiutanckiej powieści Tadry jest dopracowane, ma swoją wagę i znaczenie.



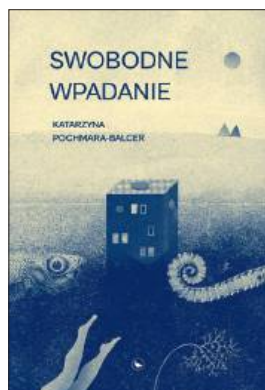
2. Claudia Durastanti **Obca** tłum. Tomasz Kwiecień Czarne, Wołowiec

Obcość jest poczuciem, które niczym niepokój przychodzi znienacka. Każdy z nas czuje się w którymś momencie, w danej sytuacji czy relacji obcy. Wtedy można się przyjrzeć takim publikacjom jak „Obca”. W autobiograficznej, słodko-gorzkiej historii, gdzie miesza się włoskie dolce vita i nowojorski american dream, czarne słońce południa i bezwzględność kapitalistycznej arki, mamy toksyczne relacje i wykluczenie, życie rozpisane na wiele smaków i nut. Bo chociaż Durastanti pisze o swoich głuchych rodzicach, opowieść ma rytm i wątki powracające jak refren, gdy na plan pierwszy wysuwa się naturalna potrzeba bliskości ponad podziałami i ograniczeniami. Czy to nie brzmi uniwersalnie?



3. Katarzyna Pochmara-Balcer **Swobodne wpadanie** Cyranka, Warszawa

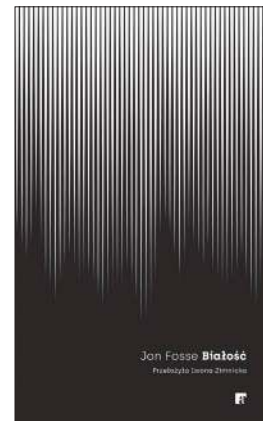
Wielu z nas ma taką pasję, której nie rozumie świat. Bohalterka „Swobodnego wpadania” mówi wprost: „Miałam 16 lat. I choć z szukania ojca zrobiłam osobistą dyscyplinę sportową, znajdowanie go wychodziło mi najlepiej jedynie w literaturze”. To zdanie ustawia książkę. Powrót ojca do domu, pozorny,



trudny i dziwny, zmienia życie córki. Mieszkanie staje się areną walki na słowa i gesty, a atmosfera gęstnieje z dnia na dzień. Dzięki wirtuozerskiemu językowi autorki czytelnik może się znaleźć w samym środku rodzinnego cyklonu, gdy ze starych ran tryska świeża krew, a głęboko tłumione myśli znajdują ujście w słowach. Skromna objętościowo proza niesie ogromny ładunek emocji. Choć książkę można przeczytać w jeden wieczór, myśli się o niej dużo dłużej. Tym intensywniej, im bardziej przeciąga się szara, jałowa zima, zamykająca nas w domach. W sportach smutku, w których jesteśmy absolutnymi cempionami.

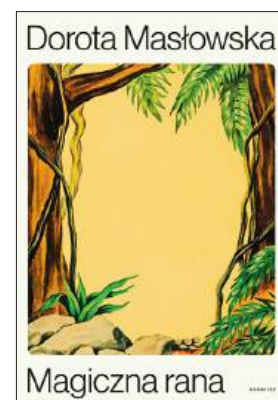
4. Jon Fosse **Białość** tłum. Iwona Zimnicka ArtRage, Warszawa

A jeśli już przy ziemie jesteśmy, to w 2024 r. ta nowelka noblisty z 2023 r. zaskoczyła mnie jak zima drogowców. Mała wielka książka. Gdyby książki sprzedawać na strony, to ta w przeliczeniu na kartkę byłaby najdroższa na świecie. Cienutka niczym broszura zawiera tylko potrzebne zdania, sens ukryty i w treści, i w formie. Ale o czym jest „Białość”? Czy to nowela o samotności, a może alegoria depresji albo plastyczny opis nawrócenia? Na to już musi sobie odpowiedzieć sam czytelnik, któremu autor – pomimo objętości powiastki – zostawia wiele przestrzeni. Prostota i uniwersalizm książki sprawiają, że każdy odczyta ją po swojemu.



5. Dorota Masłowska **Magiczna rana** Karakter, Kraków

Masłowska jest jak Doda – wciąż na topie, wciąż zachwyca kolejne pokolenia, nie traci słuchu literackiego i nadal bawi się językiem. Owszem, przy okazji premiery tej książki pojawiło się sporo głosów krytycznych, ale mam wrażenie, że w dobrym tonie jest ponarzekać na „stare gwiazdy”. Tyle że one ciągle świecą i mają fanów. „Magiczna rana” to 100% Masłowskiej w Masłowskiej. Autorka, która zajaśniała na literackim firmamencie „Wojną polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną”, nie próbuje wymyślać pióra na nowo. Zbiór powiązanych ze sobą opowiadań to Polska Anno Domini 2024. Jesteśmy jak ta magiczna rana, która nigdy i nijak nie chce się zagoić.



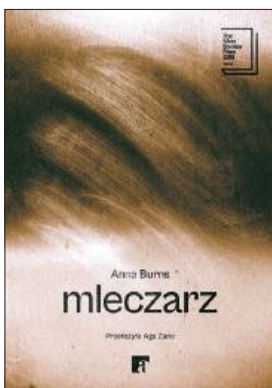
6. Anne Burns

Mleczarz

tłum. Aga Zano

ArtRage, Warszawa

Zachwytów nad książką, która ukazała się dopiero pod koniec roku, jest sporo. Blogowa reakcja 5/5 to uczciwa ocena. Pozycja jest przerażająco aktualna. Przecież doskonale wiemy, że w podzielonym i zmilitaryzowanym społeczeństwie nie da się być obojętnym i unikać zajmowania stanowiska. W tym świecie bierność nie istnieje, a emigracja wewnętrzna to luksus, na który stać niewielu. Polityka, mała i duża, wciąga nas jak bagno. Niewłaściwa flaga, nieodpowiednie wyznaczenie, zbyt odważne słowo. Rzeczywistość między tych, którzy chcą być uczciwi wobec siebie i świata. Ale żeby nie zabrzmiało tak fatalistycznie: sama książka jest momentami bardzo zabawna, napisana z humorem i pasją.



7. Kinga Sabak

Trochę z zimna, trochę z radości

W.A.B., Warszawa

Kolejny debiut na tej liście? Tak, ale w wydawniczej rzeczywistości, gdy zadebiutować trudno i przebicie się przez gąszcz uznanych nazwisk graniczy z cudem, warto pierwsze książki doceniać. Oczywiście autorka, ściśle związana ze światem literackim, nie musiała się martwić o promocję książki w mediach i internetach, ale w przeciwieństwie do wielu oklaskiwanych na siłę pozycji znajomych królika sprzed lat (wystarczy wspomnieć „Zgubę” Natalii Szostak) zbiór opowiadań Sabak to proza dojrzała, przygotowana i wypracowana. Nie ma tu fajerwerków, są ciche gesty (delikatny dotyk dłoni), ledwie dostrzegalne szczegóły (męskie spodnie Realu Madryt) i domowe manifesty przed lustrem (garnitur zamiast rajstop!). Jest w końcu dom rodzinny – wieś i miasteczko – który zarówno otula ciepłem, jak i rani. Bo to ani „dom zły”, ani też „anielski i sielski” powrót do lat szczenięcych. Bez ściemy.



8. Deborah Levy

Koszty życia

tłum. Anna Gralak

Czarne, Wołowiec

Ta z kolei książka przeszła bez większego echa. A przecież Levy, wnikliwa obserwatorka zarówno tego, co przyziemne, jak i tego, co niewytłumaczalne, pisze o sprawach fundamentalnych. O życiu, które ma swoją cenę. Razem z autorką wędrujemy przez jej historię, pełną wzlotów i upadków, ciemnych zakamarków i momentów oświeconych nadzieją. Levy mówi



wprost o trudnej przeszłości, która ukształtowała ją jako obywatelkę i kobietę. W dodatku z niesamowitą zręcznością łączy erudycję z poczuciem humoru. Bez wątpienia jest w tej książce coś inspirującego i pokrzepiającego. Jak znalazł na ten niełatwy czas. To oddech, który się łąpie po głębokim zanurzeniu w trudach codzienności.

9. Marta Dzido

Babie lato

Relacja, Warszawa

Jeśli mamy pisać o zgodzie na przemijanie, które nas dosięga, to właśnie w taki sposób: bez taniej prowokacji, stawiania na polaryzację, bez glamour rodem z kolorowych pism i bez obowiązkowego w libkowym świecie ludowego zwrotu.

Jest u Marty Dzido intymność, przekora, są rany i traumy, trudne decyzje, miłość, nostalgia i sentymentalizm. To książka o kobiecości, ale nie tylko dla kobiet. Bijące z niej empatia i zmysłowość to jedno, drugie to styl. Zachwycają w „Babim lecie” bogactwo języka, metafory i rytm opowiadań. Gdy zdacie sobie sprawę, że i w waszym życiu przychodzi czas na babie lato, koniecznie sięgnijcie po prozę Dzido.

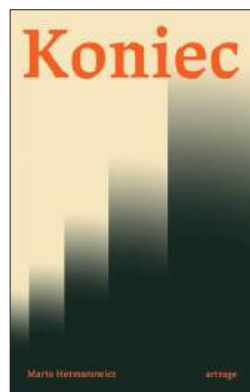


10. Marta Hermanowicz

Koniec

ArtRage, Warszawa

Na koniec „Koniec”. Czekam na tę książkę. Znając przeboje autorki z wydawnictwami, doceniam odwagę ArtRage. Wydawcy ci mają nosa, choć nie można im odmówić skłonności do ryzyka. Tym razem się opłaciło, bo to debiut, który zdarza się raz na kilka lat. Mamy do czynienia z książką wyczelowaną i dopracowaną w szczegółach. Nie do podważenia jest jej warsztatowa, czysto literacka wartość. No i temat o wiecznej traumie. Historii osobistych w cieniu wielkiej Historii tyle już przecież napisano, ale Hermanowicz do tego arcyńskiego tematu dodaje warstwę metafizyczną. „Koniec” to litania do trosk, cierpień, nadziei, makatka z koszmarów i snów. „Miotam się. Jestem miotaczem ognia, ziemią spaloną, jałową, groźbą zemsty wypowiedzianą pod wiatr, kukłą, co nie może do końca zatonać”, pisze Hermanowicz. A czytelnik, no cóż, tonie w tych słowach i tonie.



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pani prof. Ewie Bińczyk

Wiadomo, koniec roku, idzie nowe, stare znika w niebycie, łudzimy się, że coś zmienimy w świecie, który nie tyle nie lubi zmian, ile trafiają one na nieprzebijalne mury interesów, koniunktur, doraźności, beznadziei, niedasizmu. A my się godzimy z tym, odpuszczamy, klniemy nie na tych, co należy, złościmy się na nielicznych, którzy wciąż są zdeterminowani. A gra idzie o wszystko, o życie nasze i planety zdemolowanej przez człowieka i jego straszliwy, bezlitosny, karygodny kapitalizm. Młyny nieustannego wzrostu, sięgania po więcej, intensyfikującej się bez końca sprzedaży, wytwarzania nowych popytów i zbędnych potrzeb – jest tego tak wiele, że stoimy osłupiali jak żona Lota. Sodomę i Gomorę wytworzyliśmy dla zysków nielicznych, za co zapłacimy wszyscy.

zasobo- i energożerności stają się już naszą codziennością. To będzie tylko się intensyfikowało i nie zniknie od mówienia, że nas nie obchodzi”, twierdzi prof. Ewa Bińczyk, autorka książki „Uspołecznianie antropocenu. Ekowerwa i ekologizowanie ekonomii”.

I dalej mówi w wywiadzie dla Culture.pl: „To ważne dla Polaków, bo przez to, jak pełen nierówności stał się nasz kraj, jak wiele osób zostało pozostawionych na lodzie, nie chcemy niesprawiedliwej dekarbonizacji. Boimy się tego. Na tym strachu żerują populiści, którzy kłamią na temat rzekomych negatywnych konsekwencji Zielonego Ładu, więc musimy trzymać rękę na pulsie. Co do zasady, ekonomia ekologiczna jest dziedzina, która chce zwalczać zarazem destrukcyjny wymiar oddziaływania człowieka na otaczający świat, jak i ubóstwo energetyczne oraz nierówności ekonomiczne. Stawia więc np. na rozproszone,

Niech będzie lepiej, skoro jest tylko gorzej

Życzę więc sobie i nam odwagi w zmienianiu niezmiennych, obalaniu nieobalalnych, kwestionowaniu niekwestionowalnych, podważaniu niepodważalnych. Życzę sobie i wam końca tolerancji dla polityków o horyzontach niesięgających dalej niż czteroletnia kadencja. I wygnania tych wszystkich medialnych denialistów, którzy osławiają słusne lęki, którzy lekceważą groźby katastrofalnych zmian, za nic mają język nauki, są akwizytorami śmierci planety, bronią interesów najbogatszych, a których życie jest jednym wielkim zniszczeniem i wyzyskiem.

Życzę i sobie, i nam tutaj mniej pracy, ale za większe pieniądze, lepszej edukacji dla naszych dzieci i wnuków, fachowej, niezłocznej opieki zdrowotnej, zaplecza pomocy społecznej i końca bzdur, że nie ma na to kasy. Jakoś na ratowanie banków, wielkich interesów kopalnianych i militaryzację zawsze się znajduje. Nawet na covid nagle się znalazła. Bajarzom niby-ekonomicznym, kłamcom pseudowolnorynkowym czas powiedzieć: precz! Samo się nie zmieni.

Kiedy w XIX w. wyzysk stał się nie do wytrzymania, wyrosła potęga klasy robotniczej i jej umiejętność samoorganizacji, strajk był bronią, przed którą drżeli najmożniejsi. I udało się zmienić świat, dzieci przestały pracować (nie wszędzie, wiadomo, a dzisiaj bywa potwornie), dzień pracy zaczął mieć osiem godzin, pojawiły się urlopy i zwolnienia chorobowe. Szkoły dla wszystkich. Za cenę wolności, krwi, życia. Życzę sobie i nam przebudzenia się z letargu, że idzie w dobrą stronę. Nie idzie. Pędzi ku katastrofie, gna na łeb na szyję ku niewyobrażalnej zapaści. „To, co wyrządzamy przyrodzie, jest kwestią do głębi społeczno-kulturową i polityczną. Tym bardziej że negatywne skutki naszej

niescentralizowane i tanie źródła energii tak, by lokalne wspólnoty były autonomiczne energetycznie, niezależne od wielkiej polityki i wielkich pieniędzy”. I jeszcze w duchu marzeń, postulatów i żądań zmiany: „Ekonomia ekologiczna mocno stawia na sprawiedliwość, na walkę z ubóstwem i nierównościami. My po 1989 r. bardzo chcieliśmy kapitalizmu, bardzo chcieliśmy jak najszybciej stać się bogaci, tak jak ludzie w Europie Zachodniej. Tymczasem ekonomia ekologiczna mówi – niech luksusowe będą dobra publiczne: wspólne jeziora, lasy, parki, biblioteki, zazielenione miasta. Pokazuje, że warto pomyśleć o tym, żeby wypoczywać w Polsce, a nie latać gdzieś daleko, żeby było możliwe wypożyczanie rowerów lub małych jachtów, jeżeli ktoś chce pływać po jeziorze, żeby ogródki działkowe były dostępne dla zwykłych obywateli. Wiąże się z tym silne państwo, które jest w stanie dać nam sprawny sektor zdrowia, edukacji i opieki społecznej”.

Uświadczenie sobie tego wymaga od nas niebezpiecznego żywota. Nie wszyscy musimy być aktywistkami czy aktywistami. Ale dryfując na fali codzienności z całą pewnością grzmotniemy w jakimś katastroficznym wymiarze.

Zmieniamy priorytety, co wcale nie wymaga od nas wyzbycia się pragnień i możliwości bycia szczęśliwymi. Budujemy i wzmacniamy więzi, które nas wzmacniają, być może po to jesteśmy ludźmi. Bo chyba nie po to, żeby zmarnować te tysiące lat rozwoju i uczenia się? Wybór należy do nas. Tego nam i sobie życzę na rok 2025 i kolejne lata, jeśli będą. I pokoju od wojen. I uśmiechu. Nie zaciskaj pasa, zacisnij pięść. I czytaj, pielęgnuj wyobraźnię, wymyślmy przyszłość, bo inaczej jej nie będzie. ■

Pieszo brzegiem Bałtyku

Życie przynosi wiele sytuacji, w których stajemy się „drobnymi punkcikami” pośrodku niczego

Rozmawia Wojciech Tutaj

Od premiery krótkometrażowego filmu „Psubrat”, za który dostałaś wiele nagród, minęło 11 lat. Dlaczego tak długo musieliśmy czekać na twój pełnometrażowy debiut?

– Po realizacji „Psubrata” rozwijałam zupełnie inny projekt w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. Niestety, nie dostałam dofinansowania, a w przypadku

MARIA ZBAŚKA

– reżyserka, operatorka i fotografa

pełnometrażowego debiutu to oznacza koniec pracy. Początkujący reżyser lub reżyserka nie ma wielu innych możliwości. Nikt też później nie rozmawia z twórcami, którym się nie powiodło, a tych jest wielu. Długa przerwa między realizacją „Psubrata” i „To nie mój film” nie wynikała zatem ze złej woli, lenistwa czy realizacji innych planów zawodowych. Zawsze chciałam zrobić dłuższy film – dopiero teraz to się udało. **Tytuł brzmi prowokacyjnie i żartobliwie. Ma on związek z twoim stosunkiem do tego dzieła?**

– Nie wiem, dlaczego jest czytany z klucza osobistego. Tytuł często przecież nie odnosi się do myśli, które gnębią autora. Dotyczy dzieła, a nie twórcy. Bohaterka filmu, Wanda, mówi: „To nie mój film”. Mogę ewentualnie podpisać się pod jej słowami. Wyjaśnienie może też być takie, że tytuł rzeczywiście jest prowokacyjny. I ta prowokacja się udała, bo widzowie masowo odnajdują się w historii Wandy i Janka.



Maria Zbąska – (ur. w 1975 r.) absolwentka Wydziału Operatorskiego i Realizacji Telewizyjnej Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi oraz Szkoły Wajdy. Kręciła teledyski, reklamy i filmy krótkometrażowe. „To nie mój film” jest jej pełnometrażowym debiutem, za który otrzymała Złoty Pazur im. Andrzeja Żuławskiego w Gdyni i nagrodę konkursu Smart7 w Salonikach.

Sprawdziłam to na tysiącach osób, nie na pięciu bliskich znajomych. Po seansie ludzie mówią, że to ich film, że opowiada o nich. Tytuł nawiązuje również do obserwacji, że nie chcemy trwać w związkach i relacjach podobnych do tych, w których tkwią bohaterowie. Będąc w nich,

odnosimy wrażenie, że to nie jest nasze życie, że gramy w jakimś kiepskim filmie.

Widzieliśmy już dziesiątki produkcji o kryzysie w związku. Sama chciałaś uciec od schematów i klisz?

– Mój proces twórczy nie jest aż tak bardzo intelektualny, czym chyba wszystkich rozczarowuję. U podstaw projektu leżała moja niezgoda na mit romantycznej miłości, w którym jesteśmy wychowywani. Uważam, że krzywdzi nas jako ludzi. Myślimy, że spotkanie księcia lub księżniczki z bajki jest sensem lub celem naszego życia, ukoronowaniem wszystkiego, do czego dążymy. A jeśli nie poznamy tej idealnej osoby, to znaczy, że coś nam nie wyszło. Tymczasem sam akt zakochania się jest dopiero początkiem drogi do relacji i o tym chciałam opowiedzieć.

Wanda i Janek decydują się na nietypowy krok – chcą przejeść 400 km brzegiem Bałtyku. Na dodatek zimą. Czy takie ekstremalne wyprawy we dwoje mogą być faktycznie sprawdzianem relacji? A może to tylko iluzja i sytuacja atrakcyjna dla kina?

– Nie wiem. Mój film też nie daje konkretnych odpowiedzi, wypełniają go tylko pytania. Nigdy nie poszłam z partnerem na podobną wyprawę. Wydaje mi się jednak, że każde wytrącenie z zastanej rzeczywistości, każda podróż, każde wyzwanie, któremu musimy poddać, wyzwala mechanizm, który działa przeciw gnuśności. Czy jednak dzięki takim ekstremalnym doświadczeniom można na powrót się zakochać? Trudno przewidzieć. Jeśli miałabym coś mądrego powiedzieć o miłości, to myślę, że każde wspólne

przewycięzanie trudności jest dobre dla relacji. Zaczynają wtedy działać endorfiny, co zostało udowodnione naukowo. Nuda i gnuśność nie robią niczego dobrego.

Co masz na myśli, mówiąc o gnuśności?

– To słowo jest nieprzetłumaczalne na inne języki. Bardzo je lubię, bo w czasach gloryfikowania presytu, życia w dramacie wiecznego niezaspokojenia ono świetnie definiuje nasz stan. Chodzi o jakąś niemoc, która wynika nie z przyczyn zewnętrznych, tylko wewnętrznych. Głównym powodem jest właśnie „przedobrzenie” wszystkiego wokół nas. Mamy wszystkiego za dużo, jest nam za ciepło, za miło, jesteśmy zbyt syci. Z tego bierze się codzienna apatia. Kumulacja opisanego stanu zaczyna się w listopadzie, a szczyt następuje w okolicach walentynek – wszyscy wówczas nienawidzą swojej pracy, swojego „starego”, własnej kanapy. I natychmiast chcieliby wyjechać do Marsylii.

A może trochę mitologizujemy dalekie podróże i górskie wyprawy?

– Masz na myśli to, że w górach układa się dobrze, a potem, kiedy wracamy do rzeczywistości, nagle wszystko się komplikuje? Niewykluczone, z drugiej strony można wtedy zobaczyć, co naprawdę ma znaczenie. Inna jest samotność w wygodnym, ciepłym mieszkaniu, z Facebookiem w tle, a inna ta czysto fizyczna, gdy jesteś tylko „małym punktem” w górach lub na plaży. Wówczas drugi człowiek może się okazać niezbędny. I zdajemy sobie sprawę, że dobrze mieć go obok, nawet na domowej kanapie. Życie przynosi bowiem wiele sytuacji, w których stajemy się „drobnymi punkcikami” pośrodku niczego. Uważam, że drugi człowiek jest bardzo ważny – w samotności się nie rozwijamy, nie stajemy się lepsi ani nie zaczynamy bardziej się lubić.

Na ile twoje prywatne doświadczenia oraz obserwacje krewnych i znajomych wpłynęły na kształt scenariusza?

– Jestem dokumentalistką i obserwatorką, niczego więc nie wymyślałam. Wszystko, co napisałam, zaczerpnęłam z obserwacji moich przyjaciół, znajomych, dzieci, samej

siebie. Uważnie podpatruję rzeczywistość. Wyprawa Wandy i Janka została zainspirowana tekstem, który gdzieś przeczytałam. Dwoje ludzi kupiło sanki i wędrowało zimą brzegiem morza, choć oczywiście szli w innej sprawie niż moi bohaterowie. Pomyślałam, że to piękna inicjatywa. Teraz również śledzę na Instagramie dziewczynę, która maszeruje z psem wzdłuż Bałtyku. Takie sytuacje się zdarzają, ludzie robią niesamowicie dziwne rzeczy, zwłaszcza w momencie desperacji. Czas, kiedy się zastanawiasz, czy chcesz z kimś naprawdę być, jest najczęściej momentem desperacji.

A jeśli usilnie naprawianie związku, który zmienił się w jeden wielki kryzys, bardziej nam zaszkodzi?

– Jeżeli sobie zrobimy instagrawowy test pod hasłem „czy nasz

Mamy wszystkiego za dużo, jest nam za ciepło, za miło, jesteśmy zbyt syci. Z tego bierze się codzienna apatia.

związek jest udany?”, obleje go każdy. I dostanie jeszcze sugestię, że powinien natychmiast rozstać się z partnerem. Mówiąc jednak poważnie, nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Nie znają jej też moi bohaterowie ani nikt inny. To główny temat każdej relacji – nie wierzę w związki, w których nikt się nad nim nie zastanawia. Razem z moim bratem byliśmy kiedyś na spotkaniu z publicznością, na którym wszyscy zaczęli się kłócić, rozmawiając o walce o związek. Jeden z aktorów powiedział, że kiedy zostaje tylko mała iskra, to może nie ma sensu już jej rozpalać. Mój brat odparł, że nawet niewielki płomyk wart jest podtrzymania. Jedna z dojrzałych kobiet powiedziała, że się z nim zgadza. Jeśli wierzyć starszemu pokoleniu, nawet mała iskra coś znaczy. Uważam, że ostatnim spoiwem związku jest poczucie humoru. Jeśli je tracimy, to chyba pora się rozstać.

Myślałaś o swoim filmie jak o nieoczywistym kinie drogi? Bo trudno stwierdzić, czy w bohaterach dokonuje się jakaś wielka przemiana i czy cel ich wędrówki jest najważniejszy.

– To, co myślałam, pisząc scenariusz, nie ma już większego znaczenia. Pytanie brzmi, czy widzowie zobaczą przemianę bohaterów i cel, który przed sobą postawili. Mogę jedynie powiedzieć, że nigdy nie lubiłam rozbudowanej dramaturgii. Dlatego bardzo się ucieszyłam, że w Czechach mój film okrzyknięty został czeskim. Lubię „szcicie małą nitką” i opowiadanie o świecie za pomocą pudełka od zapalek. Do tego sprowadza się, według mnie, typowo czeskie podejście. Jednocześnie konstrukcja scenariusza jest u mnie poprawna, jedynie konflikty i punkty zwrotne są bardzo niepozorne. W Skandynawii z kolei powiedzieli, że „To nie mój film” jest skandynawski, a we Włoszech, że włoski. Nie ma co więc za bardzo się ekscytować skojarzeniami z czeskim kinem.

Ciekawe, że „To nie mój film” tak łatwo nasiąka zagranicznymi kontekstami.

– Jedną z widzek ładnie powiedziała, że mój film jest czeski, bo ma dużo czułości do ludzkiej niezgrabności życiowej. W Skandynawii padały porównania do twórczości Akiiego Kaurismäkiego, ale chodzi też o pewną surowość w środkach wyrazu, sposobie opowiadania, zdjęciach. „To nie mój film” został prosto sfotografowany – prościej już chyba się nie da. Skandynawskie kino dużo mówi też o zwykłym życiu, a często słyszę, że zrobiłam film dla normalnych ludzi. Bez wielkiej dramaturgii, bez całkowicie fikcyjnych bohaterów. Jego „włoskość” miałaby dla odmiany polegać na tym, że jest, wbrew pozorom, bardzo konwencjonalny.

Jak wyglądała realizacja filmu? Rzeczywiście przesłizście z aktorami kilkadziesiąt kilometrów po bałtyckich plażach?

– To, co widać na ekranie, jest efektem wiernego podążania za bohaterami wzdłuż morza. Codziennie nocowaliśmy blisko plaży i każdego dnia przesuwaliśmy się trochę dalej. Realizacja filmu nieco nas

przerosła, bo warunki okazały się naprawdę trudne, trudniejsze, niż się spodziewałam. Miałam jednak niezwykłą ekipę – doświadczenie pracy z tak zgranym zespołem jest jednym z najpiękniejszych w moim życiu. Każdy wiedział, co ma robić, nie musiałam na nic ingerować, bo wszyscy dawali z siebie 100%. A naprawdę trudno jest reżyserować, gdy wieje tak mocno, że nikt cię nie słyszy. Jednak dzielnie walczyliśmy z przeciwnościami.

Co jeszcze okazało się wyzwaniem?

– Ciekawym problemem do rozwiązania była kwestia śladów na piasku, zwłaszcza kiedy chcieliśmy nakręcić szersze ujęcie. Cała ekipa musiała przejechać do następnego wyjścia z plaży, bo idąc,

– Chciałam pokazać ludzką samotność na tle przyrody i świata w ogóle, a także oszałamiające piękno natury i jej równoczesną wrogość. Miałam wizję i potrzebę pokazania dwóch małych punktów pośrodku niczego. Trudniejsza część zadania polegała na tym, żeby temu niezwykle pięknemu się nie poddać. Nie mogłam fotografować malowniczych wschodów i zachodów słońca, bo to nie pokrywałoby się z nastrojem opowiadanej historii. Musiałam wyciągać kamerę nie wtedy, kiedy było pięknie, ale wówczas, gdy robiło się brzydko, szaro i mokro. Morze oczywiście uwodzi, ale jest dopiero trzecim najważniejszym bohaterem. Zdjęcia musiały mieć w sobie jakąś przypadkowość i lekkość, nie mogły więc być

Kruk zapewniła mi możliwość pracy na miesiąc przed zdjęciami. Z aktorami Zofią Chabierą i Marcinem Sztabińskim spotykaliśmy się codziennie i przerabialiśmy każdą scenę, każde słowo. Mam specyficzny styl pracy. Każdy robi, co uważa, i każda osoba techniczna z planu może zabrać głos, bo wcześniej przeczytała scenariusz i przegadała go ze mną. Na planie pracowałam z muzykami. Zosia jest wspaniałą skrzypaczką, ma niesamowity słuch i słyszy każdy fałsz. Prawie cała ekipa to muzycy, którzy woleliby grać, niż robić filmy. Może stąd bierze się nasz przyjacielski styl pracy.

Literackie dialogi nie sprawdzają się w kinie?

– Problemem jest to, że jako twórcy często robimy nijakie dialogi.



TO NIE MÓJ FILM



zostawilibyśmy ślady stóp, a przecież bohaterowie maszerowali tylko we dwoje. Czekaliśmy zatem cierpliwie na aktorów, którzy do nas dotrą. Pewnie w dużej amerykańskiej produkcji łatwo można by wyczyścić te ślady na komputerze, ale rozmawiamy o projekcie niskobudżetowym. Nie dało się nawet za bardzo maskować tych śladów za pomocą mioteł czy dmuchaw. Mógł to zrobić tylko wiatr, a to trwało. Niewielka była również ekipa, a zdjęcia zajęły trzy tygodnie. Najpierw pracę przerwał nam covid, a potem musieliśmy czekać rok na śnieg, bo bardzo chciałam, żeby pojawił się w filmie. Później były trzy tygodnie harówki na plażach i tydzień w Warszawie.

Pełniłaś też funkcję operatorki na planie. Co chciałaś wydobyć z zimowych obrazów polskiego wybrzeża?

idealnie dopracowane. Wtedy natura przytłoczyłaby wszystko wokół. To trudne, bo działasz wbrew swojemu operatorskiemu instynktowi. Prywatnie jestem zakochana w polskim wybrzeżu. Morze jest niesamowite i ma dar ładowania baterii – to jeden wielki akumulator. A Bałtyk staje się zimą najpiękniejszym miejscem na świecie. I cudownie pachnie!

Jak pracujesz nad dialogami, które w filmie brzmią bardzo naturalnie i charakteryzują postacie?

– Dialogi są wzięte z życia. Ale ja mam własny sposób myślenia i mówienia. Przy pierwotnej wersji scenariusza spotkałam się z zarzutami, że tekst ociera się o literaturę i nikt takich dialogów nie powie. Razem z aktorami starałam się więc tak opracować kwestie, by brzmiały naturalnie i szczerze. Producentka Inga

A ludzie nie mówią w sposób nijaki. Na co dzień może nie rozmawiamy ze sobą bardzo prostym językiem, ale i nie mówimy pełnymi zdaniem. Dodatkowo sporo przeklinamy, a to źle brzmi na ekranie. W rzeczywistości mówimy też dużo więcej niż bohaterowie filmowi. Zwróć uwagę, ile zdań już powiedziałam tylko w ramach tej jednej odpowiedzi. W szkołach filmowych uczą nas jednak pisać w formie skrótowej. Stworzenie prawdziwego, żywego dialogu tylko na stronę jest bardzo trudne. A muszę jeszcze utrzymać się w konwencji, bo robię film lekko humorystyczny, z wyraźnym dystansem. Dlatego filtrowanie dialogów przez prawdziwych ludzi zbliża je do rzeczywistości. Generalnie wierzę w ludzi, niekoniecznie w ich warsztat.

Wojciech Tutaj

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Światło między słowami

S potykam przypadkiem Rafała Grupińskiego; zanim stał się politykiem, był poetą, znamy się więc od wielu lat. Razem robiliśmy kiedyś telewizyjnego „Pegaza”. Zwierzam mu się z tego, co od pewnego czasu jest moją obsesją. Rafał Trzaskowski mówi za szybko i za monotonna, nie robi pauz. A przecież wypowiada się sprawnie i dobrze myśli, gdyby zwolnił i dawał trochę światła między słowami, byłoby o wiele lepiej. Jakis czas temu rozmawiałem z Trzaskowskim, ale głupio mi było powiedzieć mu o tym i męczy mnie, że tego nie zrobiłem. Jestem przekonany, że ta jego przypadłość może mieć wpływ na wynik wyborów. Mówione słowa są jak wiatr dla żagli wyborczych regat. Proszę Rafała, by to powtórzył Trzaskowskiemu, i że tak samo jak ja myśli Maciej Stuhr, rozmawialiśmy o tym niedawno. Grupiński zaraz będzie się widział z Trzaskowskim i przyrzekł, że mu powtórzy. Marzy mi się naiwnie, że wkrótce słucham Trzaskowskiego, a on mówi wolniej i robi pauzy.

W szkole mojego 14-letniego Frania uczniowie często palą e-papierosy, głównie dziewczyny. W jego klasie wszystkie koleżanki się malują i hoduja kolorowe szpony. Gdy wyrażam zdziwienie, że wszystkie, śmieje się, że jestem z innej epoki. Coraz bardziej mi dolega nieprzyleganie do współczesności. Chociaż nie lamentuję, co wyrośnie z tych młodych. A to powszechne wśród znajomych. Tak lamentowano od tysiącleci i zawsze coś wyrastało. Ale czy nie może tak być, że kiedyś lament okaże się zasadny? Na pewno za szybko poszła zmiana obyczajowa i technologiczna w naszej cywilizacji. To koniec świata, ale tylko naszego świata.

Mój 18-latek uzależnił się od oglądania filmów, ogląda też poważne. Ale to jakaś forma ucieczki od siebie, od naki także. Ciekawe, jak on zda maturę, która się zbliża jak góra lodowa. Chciałby iść na jakiś wydział humanistyczny, ale na taki, gdzie nie trzeba czytać książek. I złości się, że nie może takiego znaleźć. Surrealizm. Syn pisarza. Ja też zacząłem oglądać więcej filmów. I robię to najchętniej, kiedy mi nie najlepiej na duszy. Widzę, jak często film by zyskał, gdyby wyrzucić pewne sceny. To samo dotyczy naszego życia. Ileż tam fragmentów do wyrzucenia! Po latach można by je tylko wycinać z pamięci, ale ona nieposłuszna. Mnie prześladowają sceny ukazujące, jak robiłem głupstwa.

Przelotne spotkanie z Agnieszką Holland, dziękuje za hasło o niej w moim „Alfabcie polifonicznym”, chociaż nie byłem zupełnie bezkrytyczny. Agnieszka również ma

w swoich filmach słabsze momenty. W „Zielonej granicy” była cała niepotrzebna sekwencja. Ale ogromnie lubię i cenię Agnieszkę. Kiedy mówi, zawsze jestem ciekaw, co za chwilę powie. Jest trochę męska, co daje jej siłę jako reżyserowi, reżyser to trochę generał, a jej kobiecość to empatia i wrażliwość na ludzkie nieszczęścia. One też są potrzebne w tej pracy.

Telefon od Wiktora Kulerskiego. Dawny heroiczny działacz opozycji, nauczyciel, zaprasza na styczniowe spotkanie. Ukazuje się jego książka złożona z tekstów o historii naszego Międzyzlesia. Pytam go, jak się czują z Zosią. Mówi: „Żyjemy, ale już oboje chodzimy na czworakach, wiek”. Widzę ich miniaturowe mieszkanko: salonik i kuchnia. Całą ścianę wypełnia obraz Łukasza

Widzę, jak często film by zyskał, gdyby wyrzucić pewne sceny. To samo dotyczy naszego życia. Ileż tam fragmentów do wyrzucenia.

Korolkiewicza (że też musieli mu dać taki depresyjny obraz Łukasza; dostał go w prezencie od zespołu, gdy kończył pracę wiceministra w Ministerstwie Edukacji Narodowej). Piętrzą się papiery i książki, a koty łapkami stukają do okien, Wiktor żywi ich całe stadko. Rozczarował się do ludzi, on, który tak wiele dla Polski zrobił, zwątpił w Polaków i zajął się kotami. Wiktor i Zosia to ludzie szlachetni. Przynajmniej oni nie powinni być karani starością.

Ania Janko przypominała na Facebooku, że moja mama skończyłaby 100 lat. Napisała: „zapomniana poetka”. Mój ojciec także jest zapomniany, mama była dobrą poetką, ojciec znakomitym. Jakby jakaś kłątwa wisiła nad naszą rodziną. Niedługo w Lublinie ukaże się wybór wierszy ojca w serii „Zapomniani poeci”. Dobrze, że się ukaże, ale smutne, że w tej smutnej serii. Wydanie będzie marginalne, ale świetny wybór i wstęp Iwonki Smolki, przynajmniej wysył książkę znajomym. Mama była też autorką książek dla dzieci. Spotykam ludzi, którzy się wychowali na tych jej książkach, a ja, zły syn, nawet nie potrafię ich wznowić. A na koniec wiersz mamy, krótki, młodzieńczy, grudniowa migawka.

W oknie światło na francie

Świergotliwy mróz

Dzwoni jak tyżeczka w szklance

Jadący gdzieś wóz

Wybór Marthy

Nie wierzcie malkontentom, że robiąc swój pierwszy film w języku angielskim, Pedro Almodóvar stracił styl i bezkompromisowość. Kontrowersyjny zwycięzca ostatniego festiwalu w Wenecji naturalnie wpisuje się w tematykę swojej dotychczasowej twórczości. Na wydarzenia patrzymy oczami pisarki Ingrid (Julianne Moore), która po latach odnawia przyjaźń z korespondentką wojenną Martha (Tilda Swinton). Stają się sobie na nowo tak bliskie, że Martha angażuje przyjaciółkę do pomocy w zrealizowaniu swojego tajnego, nielegalnego planu: samobójczej śmierci. Martha jest bowiem w terminalnym stadium raka, umrze



wcześniej czy później. Chce jednak zachować kontrolę i ustrzec się bólu. Estetycznie film Almodóvara przypomina telenowelę, co nie znaczy, że poruszane tematy nie uwierają i nie boją. Aktorki zaś prowadzone są kapitalnie. Scena, w której Ingrid myśli, że Martha odebrała sobie życie, to popis kunsztu Moore. Potrafi ona wygrać rozpacz tak, że skupienia na niej nie rozproszy żadna scenografia skąpana w pstrokatych kolorach.

Artur Zaborski

„W pokoju obok”, reż. Pedro Almodóvar,
prod. Hiszpania/USA, już w kinach



Giacomo Puccini, „Cyganeria”,
kierownictwo muzyczne Rafał Janiak,
reżyseria Marcin Łakomicki, Teatr Wielki
w Łodzi, premiera 7 grudnia 2024

Włoska miłość w Paryżu

Spektakl „Cyganerii” stanowi znaczący element festiwalu Giacomina Pucciniego w łódzkiej operze. Polski reżyser stworzył na scenie zachwycający urodą, barwny spektakl o rodzącej się miłości, której wrogiem staje się zazdrość kochanków. Znaczącym elementem widowiska są popisy chóru i gromady dzieci. Ale przede wszystkim urzekają niezapomniane melodie, które oddają grę uczuć. „Ta rączka taka zimna”, śpiewa po włosku Rodolfo do swej Mimi. A my wierzymy w każde słowo.

Bronisław Tumitowicz

Teatr totalny

Jednym z najmocniejszych punktów ostatniej edycji krakowskiego festiwalu Boska Komedia był pokaz litewskiego spektaklu „Quanta” w reżyserii Łukasza Twarkowskiego, który stawia filozoficzne pytania o postęp, granice ludzkiego poznania, odpowiedzialność za zło.

Rzecz dzieje się w hotelu Les Moires w Alpach. U progu II wojny światowej spotykają się w nim najwybitniejsze umysły epoki – Irena Curie, Werner Heisenberg, Wolfgang Pauli. Tłem akcji jest tajemnicze zniknięcie, a może samobójcza śmierć genialnego włoskiego fizyka Ettore Majorany. Thriller science fiction łączy się w trzygodzinnym przedstawieniu z dramatem psychologicznym, żywy plan z mistrzowsko zrealizowanymi projekcjami wideo. I nawet jeśli nie wszystkie elementy tej układanki pasują do siebie, akcja chwilami zwalnia, a nadmiar wrażeń przytłacza, „Quanta” pozostaje niezwykle teatralnym doznaniem.

Michał Centkowski



Joanna Bednarczyk, „Quanta”, reżyseria Łukasz
Twarkowski, Litewski Narodowy Teatr Dramatyczny,
premiera 13 września 2024

MIĘDZY OKŁADKAMI



Virginie Grimaldi

Piękne życie

tłum. Bożena Sęk

Sonia Draga, Katowice 2024

Siostry Delorme przeciw światu? Nie całemu, bo jednak w ich świecie, w którym pierwsza strata bliskiej osoby przychodzi szybko, opoką jest babcia. Wakacje u Busi i Duśka w Kraju Basków, potem już u samej Busi, to nie tylko najbardziej wyczekany moment w roku, lecz także przygotowanie do dalszego życia (matka jest tu antywzorem). Choć tak różne – Agathe zawsze przegrywała z emocjami, starsza Emma opancerzyła się porządkiem

– latami były niemal jednością. No właśnie, były... Autorka przeskakuje między przeszłością a teraźniejszością, pokazując je z perspektywy raz jednej siostry, raz drugiej. Pierwsze słowa Agathe? Jedno, z czasu, gdy miała półtora roku: „Nie”. Jako trzylatka jest już bardziej elokwentna: „Bastien zabrał mi niebieski mazak. Walnęłam go w łeb”. Zdania, które rozbawiają, przeplatają się z tymi, od których ściska w gardle. Książki Grimaldi zaliczane są dość bagatelizująco do gatunków *chick lit* i *feel good*, babskich czytań podnoszących na duchu, ale czemu by nie pogrzać się w ich ciepłe? Żaden grzech.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

PAN WYMODELOWANY



Od odzieży modelującej po zabiegi medycyny estetycznej – mężczyźni zaczynają o sobie dbać, a rynek się cieszy

Mateusz Mazzini

Do tej pory ten temat albo nie istniał, albo był traktowany co najwyżej jako przedmiot żartów. Zwłaszcza nad Wisłą nie było przyjęte, by mężczyzna dbał o siebie, nawet w szerokim tego słowa rozumieniu. Liczyła się co najwyżej kondycja fizyczna, sylwetkę można było rzeźbić na siłowni, a i tu przez lata dominowały kanony estetyki kulturystycznej – im więcej, tym lepiej. Jeśli dodać do tego fakt, że w latach 90. siłownie kojarzyły się bardziej ze światem przestępczym i handlem narkotykami niż z wysiłkiem fizycznym dla zdrowia klientów, nietrudno zrozumieć, że w Polsce – ale i wielu innych krajach Europy – dbanie

o siebie czy myślenie o polepszaniu wyglądu nie jest dla mężczyzn oczywiste. A żarty o tysiącach panach masowo kupujących bilety lotnicze do Turcji, światowej stolicy mezoterapii i przeszczepów włosów, dowodzą tylko prawdziwości tej tezy.

Związkowe kłusownictwo

Jednak do Polski zaczynają trafiać światowe trendy mody i medycyny estetycznej czy produkty skierowane właśnie do mężczyzn. Na świecie są one coraz powszechniejsze, co wynika z kilku prostych do wytłumaczenia zjawisk i procesów, nie tylko finansowych.

Oczywiście prędzej czy później sektor zabiegów upiększających dla

mężczyzn musiał się pojawić, tak samo jak pojawili się producenci zaawansowanych, co bardziej luksusowych i dobrze wypromowanych kosmetyków i odzieży. Taka jest logika gospodarki wolnorynkowej, nikomu nie opłaca się rezygnować z możliwości zarobku na połowie populacji. Znacznie ciekawsze jest jednak to, co w ostatnich latach wydarzyło się na płaszczyźnie społecznej w państwach bogatego Zachodu i co lepiej tłumaczy zmianę podejścia panów do dbania o siebie.

Otóż socjologicznie rzecz ujmując, zmieniło się dość radykalnie to, co w żargonie naukowym nazywa się hegemoniczną męskością i kobiecością. W praktyce chodzi o dominujące w danym społeczeństwie formy

▶ odgrywania ról płciowych. Czyli o to, czego od chłopców i dziewczynek, a później mężczyzn i kobiet, oczekuje świat zewnętrzny. Ponieważ są to pojęcia kompleksowe, tak samo jak normy społeczne dotyczą wszystkiego: od oczekiwań związanych z karierą, pracą i zarobkami po sposoby ubierania się i spędzania wolnego czasu. Wszystko, co mieści się w przepastnym worku z napisem „styl życia”, zostało znacznie zmodyfikowane.

Na temat zmian w przypadku kobiet media, a przede wszystkim naukowcy już się rozpisywali, choć głównie z politycznego punktu widzenia. Wnioski są dość proste: kobiety się emancypują, są ambitniejsze od mężczyzn, szukają partnerów emocjonalnie dojrzałych, najczęściej w dużych miastach. Z kolei panowie nie zorientowali się, że świat im dostownie ucieka. Migracje krajowe z małych do dużych ośrodków dotyczą w tej chwili w zdecydowanej większości kobiet. Mężczyźni zostają więc na wsi i w mniejszych miastach, nierzadko niemal bez szans na znalezienie partnerki.

W 2023 r. wartość rynku kosmetyków dla mężczyzn wynosiła 80 mld dol., ale do 2028 r. kwota ta ma się podwoić.

Kobiety zresztą także ponoszą w tej rewolucji straty, bo ich wymagania wobec partnerów rosną, a kandydatów spełniających wygórowane kryteria jest niewiele. W rezultacie, co opisali już badacze z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, w zachodnich społeczeństwach zaczyna się pojawiać zjawisko „kłusownictwa w związkach”. Niedobór mężczyzn zadbanych, gotowych współdzielić obowiązki domowe i wychowawcze itd. jest tak wielki, że kobiety zaczynają polować na nich, nawet jeśli są oni już w stabilnych związkach. Względny etyczny na bok, prawo dżungli zyskuje przewagę.

Modelowanie, a nie wyszczuplanie

Jakie to ma przełożenie na rynek produktów dla mężczyzn? Ogromne, bo faceci, cokolwiek by o nich

myśleć, nie są jednak całkowicie pozbawieni rozumu i zmiany społeczne dostrzegają. Nakłada się to również na przemiany generacyjne, bo jak zauważa cytowana przez „The Financial Times” Marguerite Le Rolland, kierowniczka działu trendów mody z firmy doradczej Euromonitor International, generacja Z (osoby, które przyszły na świat po 1995 r.) jest znacznie bardziej skora nie tylko ulegać modom związanym z szeroko pojętym wellbeingiem, ale też rezultaty owego ulegania pokazywać w sieci. To już pokolenie dorastające w czasach powszechnego internetu, niemal ze smartfonem w ręku, więc kwestia prywatności w sieci, tak paląca dla starszych użytkowników, dla zetek praktycznie nie istnieje. Młodszy internauci bez problemu pokazują więc na platformach społecznościowych swoje ciała – bez podtekstu erotycznego. Marguerite Le Rolland w rozmowie z brytyjskim dziennikiem podkreśla, że to wyraz coraz powszechniejszej w tej grupie wiekowej samoakceptacji i po prostu inna odsłona tendencji do stawiania

I tu znowu widzimy mężczyzn próbujących dorównać kobietom. Bo o ile faceci jeszcze kilka lat temu modelowali sylwetkę wyłącznie na siłowniach, o tyle teraz segment rynku skupiony na bieliźnie zmieniającej sylwetki zaczął zasysać również ich.

Dla ludzi w różnych fazach treningu

Cały rynek bielizniany szacowany jest w tej chwili na 125 mld dol. Ale to kategoria bardzo szeroka, zaliczają się do niej zarówno producenci zwykłych artykułów bieliznianych, jak i takie potęgi jak Victoria's Secret, od dawna skoncentrowane (mimo prób zmiany wizerunku) na bieliźnie dla kobiet szczupłych, młodych i spełniających zachodnie kryteria atrakcyjności. Do tego dorzucić trzeba bieliznę sportową i termiczną, której popularność rośnie wraz z profesjonalizacją sportu amatorskiego w Europie i Ameryce Północnej.

Jest i nowość – bielizna, która dopasowuje się do sylwetek, ani specjalnie wyzywająca, ani estetycznie odpychająca. Tutaj sensacją jest marka Skims, założona w 2019 r. przez influencerkę Kim Kardashian, wyceniana dzisiaj na 4 mld dol. W ofercie ma bieliznę, dresy, ubrania sportowe, a nawet kostiumy kąpielowe, a cały marketing spółki utrzymany jest w tonie body positivity – ciałopozytywności. Każdy ma szansę odnaleźć się w katalogu firmy, zresztą odzwierciedlone jest to w haśle reklamowym Skims: „Solutions for Every Body” – co stanowi zgrabną grę słów, którą można przetłumaczyć jako „rozwiązania dla każdego ciała” lub po prostu „rozwiązania dla wszystkich”.

Od 2023 r. Skims sprzedaje także produkty dla mężczyzn. Sama Kim Kardashian na każdym kroku podkreśla, że to akurat część aktywności spółki, z której przychody są coraz większe. Do wyścigu dołączyli również giganci branży ubrań sportowych, w tym Nike i Under Armour. Szybki rzut oka na ich ofertę w internecie pozwala stwierdzić, kto jest docelowym odbiorcą odzieży modelującej. To nadal mężczyźni uprawiający sport i dbający o sylwetkę

poprzez wysiłek fizyczny. Ale nie muszą już być ani zawodowcami, ani nawet maniakami biegania czy chodzenia na siłownię. Czas zadbać i o tych, którzy się pocą, ćwicząc rzadko i nieregularnie. Dlatego Nike pisze na swojej stronie, że bielizna kompresyjna przeznaczona dla mężczyzn będzie odpowiednia „dla ludzi w różnych fazach treningu”, bo „wszyscy będą się czuć w niej komfortowo”.

Odbiorcą odzieży modelującej są nadal mężczyźni uprawiający sport i dbający o sylwetkę. Ale nie muszą już być zawodowcami.

Ponownie więc chodzi o to, by odczuwać komfort w relacji ze sobą, bez względu na to, czy efekt treningu jest zadowalający. A jednocześnie koncerny odzieżowe w subtelny sposób przypominają, że społeczeństwu też trzeba się podobać. Czego zatem nie da się zrzucić na bieżni, można ukryć dzięki odpowiedniej bieliźnie. Wilk syty i owca cała.

Pojawienie się odzieży modelującej dla mężczyzn z historycznego punktu widzenia nie jest oczywiście żadną nowością. Ale w dzisiejszych czasach wpisuje się to w szerszy trend normalizacji dbania o siebie przez mężczyzn, który wynika nie tylko z opisanych już rosnących wymagań kobiet. Pod tym względem zmienia się akurat cały rynek produktów związanych ze stylem życia. Kosmetyki, ubrania, nawet leki – wszystko przechodzi gigantyczną rewolucję. Głównie po to, żeby na mężczyznach też zarobić.

Szansa na zarobek

Według obliczeń zespołu badawczego portalu Statista, jednej z największych platform poświęconych statystyce, w 2023 r. wartość rynku kosmetyków dla mężczyzn wynosiła 80 mld dol., ale do 2028 r. kwota ta ma się podwoić. Wynika to nie tylko z samego faktu, że panowie używają więcej kosmetyków, zmieniała się też komunikacja ze strony producentów. Jessica Beresford na łamach „The Financial Times” pisze, że marki

zmodyfikowały strategię, żeby nadążyć za zmieniającymi się normami społecznymi. Mamy coraz więcej produktów, z których korzystają mężczyźni, choć wbrew pozorom wcale nie są one dla nich przeznaczone, przynajmniej deklaracyjnie. Popularne są bowiem kosmetyki neutralne płciowo, czyli takie, których działanie nie jest uzależnione od tego, czy wchodzi w interakcję ze skórą mężczyzny, czy kobiety. Sam sztywny

podział płciowy, jeszcze niedawno dominujący na rynku, był zresztą w dużej mierze wymysłem marketingowców – nauka rzadko kiedy potwierdzała różnice. Teraz spece od reklamy muszą się dostosować do rosnącej grupy użytkowników, którzy nie przywiązują się do swojej społecznej tożsamości płciowej. I robią to naprawdę coraz lepiej.

Innym trendem wymienianym przez „The Financial Times” jest odejście od produktów uniwersalnych, które odbiorcy mają kupować właściwie chyba tylko z powodu ich popularności i dla własnej satysfakcji. Zamiast tego producenci odzieży czy kosmetyków obiecują

Czego nie da się zrzucić na bieżni, można ukryć dzięki odpowiedniej bieliźnie.

rozwiązać konkretny problem. Kuracje mają leczyć bardzo konkretne schorzenie, a bielizna przeznaczona do biegania na zewnątrz może już się nie nadawać do sportów halowych. Do tej listy trzeba dopisać podejście holistyczne, czyli po prostu robienie wszystkiego. Concern kosmetyczny odpowiada nie tylko, jak produkt stosować, ale często co do niego dodać, żeby osiągnąć zamierzony efekt.

Wreszcie, zgodnie z mantrą najmłodszych konsumentów w zachodnich gospodarkach, ważne jest dbanie o planetę. Sam komunikat, że krem nie był testowany na

zwierzętach, a ubrania są z recyklingowanych tworzyw, nie wystarczy. Ekologiczne musi być opakowanie, dosłownie każdy składnik i najlepiej też proces powstawania.

W wielu aspektach to oczywiście iluzja, bo jeśli komuś naprawdę leży na sercu los planety, będzie po prostu kupował mniej. Napędzanie sprzedaży to dorzucanie paliwa do pieca konsumpcjonizmu i choćby nie wiadomo jak ten proces opisywać i zmiekczać eufemizmami, nie ma w nim nic zrównoważonego. Tego słowa można jednak użyć w nieco innym kontekście – podejścia do płci, estetyki i oczekiwań społecznych. Wiadomo, że płciowość jest obszarem bardzo trudnym w dzisiejszej debacie publicznej. To stąd bierze się wiele wojen kulturowych, które potem mają przełożenie na polaryzację polityczną.

Na podstawie analizy trendów odzieżowych czy kosmetycznych u mężczyzn można sformułować jednak inną konkluzję, też bardzo egalitarną. Powinniśmy się cieszyć, że panowie mogą już dbać o siebie tak jak panie i że w ogóle chcą to robić i o tym mówić. I nie powinien dziwić fakt, że tego wyrównania tak naprawdę dokonał wolny rynek. Trudno wierzyć w szlachetne intencje menedżerów Nike’a czy osób pokroju Kim Kardashian, które rzucają okrągłe formułki o wzmocnieniu

pewności siebie mężczyzn i zadbanu o ich potrzeby. Ta zmiana społeczna wcale nie dokonała się oddolnie, nawet jeśli niektórzy lewicowi aktywiści będą tak twierdzić i wezmą ją na swoje sztandary. Po prostu ktoś dostrzegł szansę na ogromny zarobek. A że przy okazji zmieniają się normy męskości w zachodnich społeczeństwach? Cóż, być może to sprzeczne z intuicją, ale okazuje się, że kapitalizm potrafi przynosić również społeczne korzyści.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



MŁYNY SPRAWIEDLIWOŚCI STANĘŁY

Półtora roku byli małżeństwem. Nie mają dzieci, a on na prawomocne orzeczenie o rozwodzie czeka już ponad osiem lat

Helena Kowalik

Piotr jest Polakiem, Valentina* obywatelką jednego z państw Ameryki Łacińskiej. Poznali się, gdy on przebywał służbowo w jej ojczyźnie. Kiedy wrócił do Polski, utrzymywali kontakt głównie poprzez komunikatory, media społecznościowe oraz krótkie wizyty. Po półtora roku znajomości postanowili się pobrać. Tym bardziej że Piotrowi szykował się służbowy wyjazd na Bliski Wschód i chciał zabrać Valentinę, która wykonywała wolny zawód.

Skromny ślub cywilny wzięli w kraju pochodzenia panny młodej, a parę miesięcy później odbyło się nieco bardziej huczne wesele w rodzinnym mieście Piotra.

Tyle nieufności i pomówień

Rok po ślubie. Małżonkowie zajęci pracą zawodową nadal mieszkają

osobno, każde w swoim kraju. Valentina przylatuje dopiero kilka miesięcy przed planowanym wyjazdem męża na Bliski Wschód. Piotr obwozi żonę po Polsce i krajach ościennych. Organizuje dodatkowe lekcje angielskiego, a także kurs dla nauczycieli hiszpańskiego. Może w nowym miejscu żona będzie mogła uczyć w lokalnej szkole?

Niestety, coraz częściej pojawiają się między nimi nieporozumienia i sprzeczki. Do tego stopnia, że na ostatniej prostej Valentina odmawia wspólnego wyjazdu i udaje się do koleżanki, która mieszka w zachodniej Europie. Do męża, który zdążył wyjechać na Bliski Wschód, dołącza po paru tygodniach. Pożycie się nie układa. Często nastają ciche dni. Kobieta zamyka się wtedy w drugim pokoju i godzinami rozmawia z koleżankami przez internet. Rozżalony Piotr szuka telefonicznej pociechy u teściowej, która prosi go o cierpliwość dla jej córki.

Po kolejnej kłótni Valentina wyprowadza się ze służbowego mieszkania męża. Szybko otacza się gronem nowych znajomych. Piotrowi nadal zależy na małżeństwie. Ponieważ trudny związek i wyzwania w miejscu pracy skutkują u niego problemami ze snem, zgadza się, gdy żona proponuje terapię. Małżonkowie uczestniczą w kilku spotkaniach z psychologiem, jednak bez rezultatów. Tyle że jakiś czas później znów mieszkają razem.

Pewnego dnia ku swemu zdumieniu Piotr słyszy od żony, żeby „przestał ją dręczyć słownie i psychicznie”. Zarzut jest tak absurdalny, że coś musi się kryć za tymi słowami. Mężczyźnie zapala się czerwona lampka. Zaczyna bacznie obserwować poczynania Valentyny i nabiera podejrzeń, że ta zamierza za jego plecami wnieść o rozwód w swoim kraju. Wychodząc do pracy, włącza w swoim tablecie funkcję nagrywania i umieszcza urządzenie w dyskretnym miejscu. Kiedy wraca, nie zastaje

Valentyny. Nie ma jej rzeczy ani żadnej kartki z wiadomością, a jej telefon milczy. Piotr sięga po tablet i słyszy żonę rozmawiającą ze znajomymi. Kobieta opowiada im, że musi się ratować ucieczką, bo mąż jej wygrażał.

To nie koniec psucia mu opinii. Po kilku dniach na służbową skrzynkę w miejscu zatrudnienia Piotra przychodzi wiadomość, w której Valentina pisze o przemoc w małżeństwie i sugeruje, że mąż cierpi na chorobę psychiczną. Półtoraroczne małżeńskie piekło przestaje być sprawą prywatną. Mężczyzna z rozdartym sercem składa w polskim sądzie pozew o rozwód bez orzekania o winie. Nim zostanie wyznaczony termin pierwszej rozprawy, Valentina, która nadal przebywa na Bliskim Wschodzie, zgłasza miejscowej policji, że jest psychicznie i fizycznie maltretowana przez męża. Choć nikt nie sprawdza tego doniesienia, kobieta dostaje urzędowy dokument, że małżonek ma zakaz zbliżania się do niej. Piotr dowie się o jego istnieniu z lektury odpowiedzi polskich adwokatów Valentyny na pozew rozwodowy.

Przez te pomówienia czuje się osaczony. Ponadto grożą mu tarapaty finansowe, bo Valentina wnosi o rozwiązanie małżeństwa z wyłącznej winy powoda i o zasądzenie dla niej wysokich alimentów, co motywuje rzekomym złym stanem psychicznym oraz koniecznością odbywania kosztownych terapii. Piotr modyfikuje swoje stanowisko procesowe i wnioskuję o rozwiązanie małżeństwa przez rozwód z wyłącznej winy pozwanej.

Radzę dogadać się z żoną

Tak rozpoczyna się batalia sądowa, której wstępna odsłona w pierwszej instancji potrwa niemal sześć lat. Nim dochodzi do pierwszej rozprawy, Valentina porzuca męża i wraca do ojczyzny. Piotr też nie zostaje długo na obczyźnie – z uwagi na perypetie prawne i stan zdrowia pracodawca ściąga go do głównego biura firmy w kraju.

W przekonaniu rozwodzącego się pierwsza rozprawa ustanawia dynamikę postępowania i usposabia sędzię do mniej lub bardziej dyskretnego sprzyjania stronie przeciwnej.

Valentina prezentuje się jako zagubiona Latynoska, którą w obcym kraju mąż wygnał z domu. Jest rzekomo bez środków do życia i możliwości ich pozyskiwania z uwagi na traumę, jaką stanowiło niespełna dwuletnie małżeństwo. Kobieta mówi o tym, zalewając się łzami. Sędzia jest poruszona. – Proszę nie płakać – zwraca się do pozwanej. – Jest pani piękną kobietą. A do powoda: – Radzę dogadać się z żoną. Okoliczności sprawy nie wyglądają dla pana korzystnie.

Kiedy w trakcie zeznań żony Piotr nie jest w stanie zapanować nad nerwowym śmiechem, sąd karci go, grożąc wyrzuceniem z sali.

Na tej samej rozprawie sędzia długo nie może zdecydować, w jakiej kolejności będą wzywani świadkowie na następne posiedzenia. Ostatecznie najpierw mają zostać wysłuchani ci, których wskazał powód. Dla tempa procesu to fortunną decyzją. Osoby z listy Piotra, również mieszkające za granicą, są zdyscyplinowane, stawiają

Rok po ślubie. Małżonkowie zajęci pracą zawodową nadal mieszkają osobno, każde w swoim kraju.

się na każde wezwanie. Ale on nie może oprzeć się wrażeniu, że jego świadkowie są wysłuchiwanie pobieżnie. Pytania są tak skonstruowane, aby odpowiedzi uwiarygodniały ghenenną pozwaną.

Postępowanie zamiera, kiedy nadchodzi pora przesłuchania świadków drugiej strony. Adwokat Valentyny twierdzi, że wskazane osoby nie mogą sobie pozwolić ze względów finansowych na przyjazd do Polski. W takiej sytuacji należałoby sprawdzić, czy świadkowie rzeczywiście są ubodzy. A jeśli tak, zaproponować im zwrot kosztów podróży, co przewidują polskie przepisy. Ale można też nic nie robić i sędzia wybiera tę opcję. Odracza postępowanie.

Po kilkumiesięcznej stagnacji sędzia postanawia doprowadzić do ponownego przesłuchania małżonków. Piotr dostarcza dowody świadczące o tym, że żona nie ma traumy, a w ojczyźnie prowadzi normalne życie zawodowe i towarzyskie. Sędzia mimo to proponuje, żeby to on kupił żonie

bilet lotniczy do Polski, aby mogła uczestniczyć w rozprawie. Piotr przystaje na takie rozwiązanie, ale adwokat Valentyny tak długo przeciąga ustalanie konkretów, aż upływa termin wyznaczony przez sąd. Znowu bez reakcji sędzi.

Rozwiązanie tej patowej sytuacji pojawia się zupełnie niespodziewanie. Pandemia powoduje, że sądy przechodzą na tryb rozpraw zdalnych, w których podsądni mogą uczestniczyć w domowych pieleszach przed ekranem komputera. Sąd przypomina sobie o świadkach Valentyny i postanawia ich przesłuchać... pisemnie, poprzez wysłanie im przetłumaczonych pytań. Trudno pojąć, dlaczego nie skorzystano z możliwości przesłuchania świadków zdalnie przy udziale biegłego tłumacza. Przecież zastosowana forma niesie duże ryzyko świadczenia nieprawdy i koniunkturalnego uzgadniania treści zeznań. Większość świadków ogólnikowo opisuje aktualną sytuację

zawodowo-finansową Valentyny, mimo że Piotr przedkłada sądowi dowody, że żona wykonuje w swoim kraju pełnoetatową pracę i część świadków jest tego w pełni świadoma. Zgodnie z przewidywaniami zeznają oni na rozprawie pod dyktando Valentyny. Zdradzają szczegóły pożycia znane dotąd tylko obojgu małżonkom, często odchodząc od esencji pytania. Nie spotyka się to z żadną reakcją sędzi, która na wcześniejszych rozprawach czujnie uciniała wszelkie dywagacje świadków jako „będące nie na temat”.

Na kolejnych rozprawach sąd nie dopuszcza do publicznego skonfrontowania twierdzeń Valentyny z tym, co zostało zarejestrowane na tablecie Piotra i złożone w aktach sprawy.

Ona taka mała...

W połowie 2022 r., po niemal sześciu latach postępowania, zapada wyrok: sąd uznaje za winnego rozpadowi małżeństwa wyłącznie męża, nie ma żadnych zastrzeżeń ►

► do postawy żony. W uzasadnieniu wyroku zeznania świadków powoda zostają w większości pominięte jako nieprzydatne do rozstrzygnięcia sprawy, kierowane niechęcią do Valentyny bądź wynikające z informacji uzyskanych pośrednio od Piotra. Te same kryteria nie mają jednak tak rygorystycznego zastosowania w odniesieniu do świadków drugiej strony.

Sędzia surowo ocenia funkcjonowanie mężczyzny w małżeństwie, uznając, że nie potrafił on zrozumieć postawy zagranicznej żony, jej wrażliwości i potrzeb. Nie zapewnił jej poczucia stabilizacji, gdy przyjechała do Polski, nie docenił, że poświęciła własną karierę. Trudno oprzeć się wrażeniu, że sędzia traktuje tę relację, jak gdyby działała się w czasach przed emancypacją, gdy kobieta była zależna od mężczyzny i to on powinien był zagwarantować jej byt i zaspokajając potrzeby. Tymczasem Latynoska reprezentuje zgoła odmienny profil – niezależnej materialnie profesjonalistki, wykonującej wolny zawód, bywającej w świecie i odnajdującej się w nowych okolicznościach.

Valentina w sądzie wygrywa, ale zwycięstwo okazuje się pyrrusowe. Sąd bowiem nie przyznaje jej alimentów, o które wnioskowała i które zapewne były główną motywacją prowadzenia batalii prawnej. Piotr nie zastanawia się długo nad zaskarżeniem wyroku, odbiera go jako skrajnie niesprawiedliwy, a postępowanie sądowe jako tendencyjne. Dodatkowym argumentem jest silne poczucie, że jednoosobowy skład orzekający nie zapoznał się należycie i miarodajnie z aktami, przy ocenie postępowania małżonków nie uwzględnił podłoża wyroku wydane go w sprawie o pomówienie.

W trakcie procesu rozwodowego Piotr bowiem wniósł w odrębnym trybie prywatny akt oskarżenia przeciwko żonie za pomówienie go o chorobę psychiczną. I w tej sprawie postępowanie toczyło się ślamazarnie, ostatecznie jednak po ponad trzech latach zapadł wyrok. Sąd uznał, że Valentina, notabene nieobecna na rozprawach, świadomie dopuściła się czynu karalnego w celu poniżenia męża w środowisku zawodowym. Sędzia orzekająca,

z czyjej winy doszło do rozwodu, nie wzięta także pod uwagę treści rozmów Polaka z teściową (niektóre zostały utrwalone na okazanych sądowi nagraniach).

Piotr uważa, że résumé przewodu sądowego zostało przynajmniej częściowo skopiowane z akt innej sprawy lub z internetu. Tylko tak można wytłumaczyć umieszczenie w nim stwierdzenia, że „orzeczenie rozwodu nie jest sprzeczne z dobrem małoletniej córki stron, która zaakceptowała rozstanie rodziców i zna obecną partnerkę powoda”. Piotr i Valentina nie mają dzieci i nic nie wiadomo o ich partnerach, jeśli takowych mają.

Niechlujstwem trzeba nazwać fakt, że autorka uzasadnienia wyroku myli pojęcia powód i pozwana i błędnie

została skorygowana). Polak udowadnia w apelacji, że doszło do zbyt dowolnej oceny przez sąd sytuacji w jego małżeństwie. Wnosi o orzeczenie winy obu stron, ewentualnie o uchylenie zaskarżonego wyroku i przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia w sądzie pierwszej instancji. Nie wiadomo, kiedy to nastąpi.

Została już wybrana w drodze losowania sędzia, po czym niedawno, z bliżej nieznanых powodów, sprawę przekazano innej osobie, rzekomo również wyłonionej losowo (protokół losowania nie jest stronom dostępny). Dopiero dwa lata od wszczęcia apelacji sąd drugiej instancji przekazał adwokatowi Valentyny kopię wniosku Piotra z możliwością odniesienia się do jego treści. Piotr

– Proszę nie płakać – zwraca się sędzia do pozwanej.

– Jest pani piękną kobietą.

A do powoda: – Radzę dogadać się z żoną.

Okoliczności sprawy nie wyglądają dla pana korzystnie.

przypisuje je stronom konfliktu. Trudno też zgodzić się z opinią sędzi, że pozwana usiłowała ratować małżeństwo, próbując wysłać męża do psychiatry. Późniejsze wydarzenia wskazują, że terapia miała posłużyć pozwanej wyłącznie do sprawy rozwodowej, jako argument, że powód nie panuje nad nerwami.

W sentencji wyroku powództwo żony o alimenty od męża zostało oddalone. Ale orzeczenie winy powoda to dla kobiety uchylona furta do wystąpienia o wsparcie pieniężne, gdyby z jakichś powodów nie mogła pracować. Taka ewentualność może się pojawić następnego dnia po uprawomocnieniu się wyroku. Wystarczy, że Valentina znajdzie w swoim kraju lekarza, który wyda zaświadczenie. W Polsce trudno będzie taki dokument zweryfikować.

Nie śpieszy się

Już ponad dwa lata oczekuje na rozpatrzenie apelacji powoda od niekorzystnego dla niego orzeczenia sądu niższej instancji. (Po wytknięciu absurdu z rzekomą córką stron „oczywista pomyłka”, jak stwierdziła sędzia,

zamierza złożyć skargę na przewlekłość postępowania do prezesa sądu apelacyjnego, a wyczerpawszy tym samym polską ścieżkę prawną, planuje zaskarżyć państwo polskie przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu.

W dyskusjach o uzdrowieniu sądownictwa niewiele się mówi o procesach cywilnych. W sprawach rozwodowych na salę sądową nie wchodzi nikt poza stronami. To świetne warunki dla bezkarności, nonszalancji i nieporadności procesowej składu orzekającego. W przypadku międzynarodowych spraw cywilnych, w tym rozwodów, ryzyko wzrasta niepomierne. Sędziowie, na ogół nie wnikając w istotę odmiennych uwarunkowań kulturowych ani realiów innych państw, polegają jedynie na intuicji, subiektywnych wyobrażeniach lub uprzedzeniach. Żle to wróży na przyszłość w czasach, gdy Polacy często wyjeżdżają za granicę, a w Polsce coraz liczniej osiedlają się cudzoziemcy. Niektórym siłą rzeczy przyjdzie kiedyś stanąć przed polską Temidą.

Helena Kowalik

*Imiona bohaterów zmienione.



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Do zobaczenia, 2024

Mam alergię na przeszłość. Konkretnie na kurz, którym są pokryte moje stare dzienniki. Wyjąłem z pudeł, myślałem: powspominam niegdyśiejsze śniegi, ale od razu w nosie kręci, oczy łzawią. Szlus, nie będzie oglądania się za siebie, żadnych albumów sprzed ery cyfrowej przy kominku, żadnych brulionów zapisanych, kiedy jeszcze miałem życie przed sobą, co najwyżej te zdjęcia, które się uchowały w chmurze i w poczcie internetowej. Bo te, które zapisywałem na dyskietkach, też już nie – one również drzemią w kopertkach zakurzone, nie ma ich jak odtworzyć, bo nowe laptopy bez stacji dysków. Podobnie rzecz się ma z kasetami wideo – w mieszkaniu po mamie widzę szereg tzw. kaset weselnych, nie da się ich obejrzeć, bo kto widział ostatnio jakiś magnetowid. Mówią mi: są do tego specjalistyczne firmy. No tak, ale przecież nie po to człowiek archiwizował swoje życie w szufladzie, żeby potem musiał wzywać płatnych fachowców do jej wyciągnięcia.

Tak oto przyszłość się nie rysuje, a przeszłość niedostępna – pozostaje chwycić dzień, tym bardziej że znowu zaczęło go

Najbliższa przeszłość ujęta w ramy roku 2024 mający mi w pamięci nieśpiesznego konsumenta kultury.

przybywać, znowu udało się przeżyć przesilenie zimowe bez popadnięcia w ostateczny obłęd, jeszcze raz się przeczłogało przez ten przeklęty grudzień. Tyle mi zostało przeszłości, ile jej pamiętałem, to i tak więcej niż przyszłości, której wyobrazić sobie już nie umiem, a planować nie chcę, bo jestem specjalistą od niezrealizowanych obietnic i planów – ba, gdybym chciał wiedzieć, czego już nie zrobię, wystarczy, że wyznaczę to sobie jako cel.

Owóż najbliższa przeszłość ujęta w ramy roku 2024 jeszcze mi mający w pamięci nieśpiesznego konsumenta kultury – nie żeby leniwego, ale takiego, co ku nowościom się nie śpieszy. A jako że z Nowym Rokiem wszyscy moi koledzy po fachu wyuczonym, czyli dyplomowani filmoznawcy, czynią podsumowania, ogłaszają swoje dziesiątki filmowe, no to ja też chcę z wami, chłopcy i dziewczęta, się podzielić. Choć wiele jeszcze zobaczyć nie zdążyłem i pewnie za kilka miesięcy, kiedy uzupełnię zaległości, ta moja dziesiątka może poważnie się zmienić. Tymczasem jednak, z myślą o czytelnikach „Przeglądu”, ogłaszam swoje filmowe TOP 10, a nuż komuś to się przyda na wolne wieczory. Oto moja dycha kinowych i streamingowych premier mijającego roku.

1. „Wśród wyschniętych traw” (reż. Nuri Bilge Ceylan) – byłbym przekonany, że starzenie objawia się także w zamięłowaniu do kina gadanego, statycznego, powolnie się snującego, gdyby nie to, że słow cinema tureckiego mistrza uwielbiałem już przed dwoma dekadami. Trzy godziny Czechowowskich rozmów w zaśniewionej Anatolii – dla kinarzy to było zbyt wiele, ale film pojawił się w streamingu.

2. „Jutro będzie nasze” (reż. Paola Cortellesi) – jeśli tak ma wyglądać kino feministyczne, będę jego wyznawcą. Paola Cortellesi pisze, reżyseruje i gra główną rolę w fantastycznej czarnej komedii o wędzącym patriarchacie i początkach wybojczych praw kobiet we Włoszech; w formie ukłon w stronę neorealizmu.

3. „Pokój nauczycielski” (reż. Ilker Çatak) – zjawiskowa Leonie Benesch w dusznym thrillerze społecznym; drugi na moim podium film żarliwie dowodzący, że o ile niegdyś szkoła gnębiła uczniów, o tyle dzisiaj to głównie piekło dla nauczycieli.

4. „Chłopiec i czapla” (reż. Hayao Miyazaki) – stary mistrz, twórca legendarnego Studia Ghibli, wciąż w imponującej formie, wyobraźnia szaleje, w takich zaświatach chce się zostać na dłużej.

5. „Sparta” (reż. Ulrich Seidl) – film do skancelowania przez hunwejbiniów poprawności za sam pomysł: rzecz bowiem traktuje o dobrym pedofilu, ale dla mnie to najlepszy film austriackiego prowokatora bodaj od czasu debiutanckich pełnometrażowych „Upałów”.

6. „Kneecap. Hip-hopowa rewolucja” (reż. Rich Peppiatt) – rap, IRA, dragi, inteligentny humor i walka o prawo do języka – uwaga: trio przyjeżdża latem do Katowic na OFF Festival!

7. „Substancja” (reż. Coralie Fargeat) – David Cronenberg może spokojnie pójść na emeryturę, życiowa rola Demi Moore, „Bulwar Zachodzącego Słońca” w wersji body horror.

8. „Challengers” (reż. Luca Guadagnino) – nie mogłem oderwać wzroku od nóg Zendai, ale kątem oka też zdołałem dostrzec, że to wspaniałe, zmysłowe kino. Że niby o tenisie.

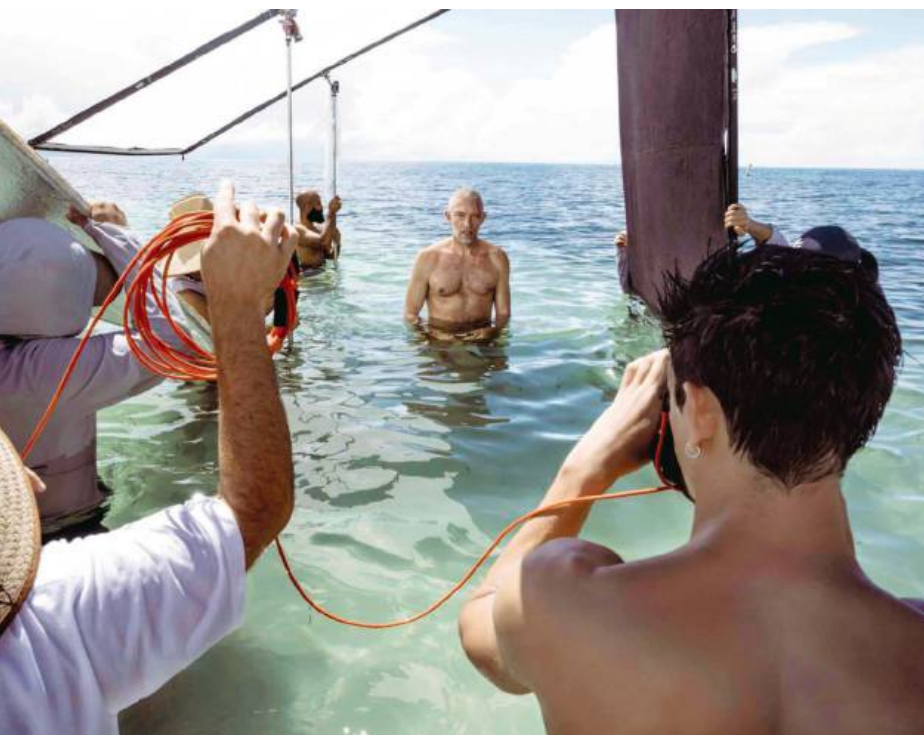
9. „Nieumarli” (reż. Thea Hvistendahl) – przeraźliwie smutne słowo cinema o żałobie, „Pet Sematary” Stephena Kinga z patronatem nomen omen duchowym.

10. „Rebel Ridge” (reż. Jeremy Saulnier) – czarnoskóry Rambo i odkurzony Don Johnson w roli najpodlejszego gliny na świecie – świetne kino akcji, żeby nie było, że same snuje polecam.

Z rzeczy wyczekiwanych, których zobaczyć nie zdążyłem, najwięcej obiecuję sobie po nowym filmie mojego ulubionego Rumuna Radu Jude, choć sam reżyser już w tytule przestrzega: „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata”.



PIRELLI 2025





W 51. edycji najstojniejszego kalendarza świata jego twórcy wracają do korzeni, więc ponownie zobaczymy w nim nagie zdjęcia. Ich autor, Ethan James Green, komentuje: „Jeśli mam robić kalendarz Pirelli, to chcę zrobić kalendarz Pirelli i powrócić do seksownej klasyki, z którą zawsze go kojarzyliśmy”. Hasłem nowego

kalendarza jest „Refresh and Reveal”. W odświeżaniu konceptu odsłaniania ciała przed obiektywem wzięli udział m.in. Simone Ashley, John Boyega, Vincent Cassel, Jodie Turner-Smith, Hunter Schafer, Padma Lakshmi i Martine Gutierrez, fotografowani w studiu oraz na plażach Miami.



ŚWIAT PEŁEN KALENDARZY

Czyli jak liczymy czas

Bronisław Tumiłowicz

Dlaczego w 1582 r. czas gwałtownie przyspieszył? Ano dlatego, że 10 dni w jego otchłani bezpowrotnie zaprzepaścił papież Grzegorz XIII. Najwyższy hierarcha Kościoła przeraził się, że na Wielkanoc w Rzymie spadnie śnieg. Dlatego postanowił „naprawić” kalendarz zwany juliańskim (od cesarza rzymskiego Juliusza Cezara, obowiązujący od roku 46 p.n.e.) i wyrzucił z niego 10 dni. To wtedy po czwartku 4 października, nastąpił piątek 15 października.

„Szczególnie wściekli byli wierzyciele, bo nie wiedzieli, jak liczyć odsetki dłużnikom”, napisał, przypominając tę ciekawostkę, Paweł Łepkowski w dzienniku „Rzeczpospolita” (4 października 2024). Za to lichwiarze doliczali sobie procent za dni, których nie było. Jak później się okazało, z kalendarza trzeba było wykreślić nie 10, ale 14 dni, by trafił we właściwe koryto czasu. Nasz obecny kalendarz też nie jest idealny: są w nim miesiące mające 30 i 31 dni, a co cztery lata dodajemy w lutym dodatkową dobę. Jednak podobne akrobacje jak ta z przejściem z kalendarza juliańskiego na gregoriański już później nie miały miejsca.

Czas ciągle się „psuje”

Liczenie czasu zaczęło się od pojęcia dnia albo doby. Po nim następował tydzień i miesiąc, których regularność wyznaczały cztery kwadry księżyca, a także np. cykl menstruacyjny kobiety. Młodszym pojęciem jest godzina. 12 godzin dziennych i nocnych wzięto się z dwunastkowego systemu liczbowego używanego w Babilonii – do 12 można było bowiem policzyć na palcach dwóch rąk – dodatkowo doliczano zaciśniętą pięść. Ślady

Kalendarz Majów.



porządku dwunastkowego widać w wielu systemach miar: rzymski as to 12 uncji, europejski solid to 12 denarów, brytyjski szyling – 12 pensów, stopa – 12 cali.

Dosyć szybko zauważono także regularność ruchu Księżyca i jego wpływ na przyrodę. Satelita posłużył do stworzenia jednostki czasu zwanej miesiącem. Znamy to np. z Biblii: „Tyś stworzył Księżyc, aby czas wskazywał” (Ps 104,19), a jedna z Mądrości Syracha brzmi: „Księżyc też świeci zawsze w swojej porze, aby ustalać czas i być wiecznym znakiem” (Syr 43,6). Tutaj jednak zaczynają się problemy, ponieważ miesiąc trwa średnio 29,53 doby (dokładnie 29 dób, 12 godzin, 44 minuty, 3 sekundy). Co zrobić z resztą? Mało kto również się orientuje, że np. w naszej sytuacji czasowej wciąż coś się „psuje”, doba otrzymuje dodatkowe sekundy i być może za kilka lat trzeba będzie znowu dokonać korekty w stylu papieża Grzegorza XIII. Przykłady? Ktoś wyliczył, że za 1000 lat grudzień znalazłby się w środku

lata, niezależnie od ocieplenia klimatu. Doba zmieniała się lekko także po największym tsunami azjatyckim w 2004 r. Wielki wstrząs tektoniczny wpłynął na obrót Ziemi. Niektóre modele teoretyczne sugerują, że doba została skrócona o 3 milionowe części sekundy (3 mikrosekundy). Tymczasem siły pływowe Księżyca wydłużają okres obrotu Ziemi o całe 15 mikrosekund w ciągu roku. W ciągu trzech miesięcy po tsunami doba powróciła do swojej poprzedniej długości. Wstrząs wywołał przesunięcie osi Ziemi o 2,5 cm (przesunęły się też niektóre małe wyspy). Należy poza tym zaznaczyć, że naturalne ruchy osi Ziemi mogą wynosić nawet 15 m.

Każdy chciałby liczyć po swojemu

Wróćmy do kalendarzy. W gregoriańskim będziemy teraz mieli rok 2025 – lata liczymy od hipotetycznego narodzenia Chrystusa. Data Bożego Narodzenia została jednak wstawiona do kalendarza nie jako

rzeczywista rocznica, ale wedle jej znaczenia symbolicznego. Około 24 grudnia zostaje bowiem przelamane skracanie się długości dnia i zwycięża jasność.

W kalendarzu żydowskim będziemy mieli rok 5785 – tutaj liczymy od dnia stworzenia świata. Według ustaleń żydowskich autorytetów religijnych nastąpiło to 7 października 3761 p.n.e. W rozkładzie miesięcy i dni również mamy niewielkie różnice. Rok hebrajski dzieli się na 12 miesięcy liczących 29 lub 30 dni. Ponadto co trzy, rzadziej co dwa lata

lub lutym (nie ma stałej daty), kiedy rozpoczyna się sezon rolniczy. W Chinach używa się dwóch rodzajów kalendarzy: wersji słonecznej i słoneczno-księżycowej. Według tej drugiej wybiera się termin ślubu. Kalendarz ma początek w roku 2697 p.n.e. Nastąpił wtedy era panowania cesarza Huang Di, legendarnego władcy Chin. Chiński kalendarz jest używany w całym kraju równoległe z kalendarzem gregoriańskim. Został przyjęty między 771 a 476 r. p.n.e. Kończący się 2024 r. był Rokiem Zająca, po nim będą obchodzone lata:

ma 31 dni, a reszta po 30. Liczenia lat dokonuje się według hinduskiej ery Śaka, która rozpoczęła się 3 marca 78 r. n.e.

Mieszkańcy Etiopii stosują kalendarz, który bazuje na kalendarzu koptyjskiego Kościoła ortodoksyjnego, jest też kalendarzem liturgicznym w Erytrei. Składa się on z 12 miesięcy po 30 dni oraz jednego pięcio- lub sześciodniowego (w roku przestępnym). Za początek rachuby czasu przyjmuje się narodzenie Chrystusa, które według Anoniosa z Aleksandrii miało miejsce w 9 r. n.e. Doba



Od lewej: kalendarz gregoriański, kalendarz chiński, francuski kalendarz republikański i rewolucyjny kalendarz radziecki.

dla zrównania cyklu solarne z lunarnym dodawany jest dodatkowy, 13. miesiąc, zwany adar szeni. Nowy rok może nadejść tylko w dzień stworzenia Adama przez Boga (szósteego dnia tygodnia, w sobotę). Kalendarz ten został zatwierdzony w 359 r. n.e. W Izraelu jest uznawany za oficjalny, razem z kalendarzem gregoriańskim.

W kalendarzu islamskim zbliżamy się do roku 1445-1446. Kalendarz muzułmański jest księżycowy, składa się z 12 miesięcy po 29 lub 30 dni. Został przyjęty w VI w. Tu liczy się lata od 622 r. (według kalendarza gregoriańskiego), czyli od daty ucieczki Mahometa (zwanej też emigracją lub wywędrowaniem, po arabsku hidżra) z Mekki do Medyny. Muzułmanie w Iranie i Afganistanie posługują się nieco innym, perskim kalendarzem.

Chiński kalendarz wskazuje rok 4719. Nowy Rok wypada w styczniu

Smoka, Węża, Konia, Kozy, Małpy, Koguta, Psa, Świni, Szczura, Bawołu i Tygrysa – każdy cykl się powtarza. W kalendarzu słoneczno-księżycowym, dzielącym rok na 12 miesięcy po 29 i 30 dni, co pewien czas – siedmiokrotnie w ciągu 19-letniego cyklu – dodaje się 13. miesiąc. Co ciekawe, miesiące nazywają się jak poszczególne lata, czyli mamy miesiąc Tygrysa, Zająca, Smoka itd. Dzieli się je na sześciodniowe okresy, ale wyróżnia się także cykle 10-dniowe. Doba ma 12 części, a każda 120-minutowa pora dnia również odpowiada jednemu zwierzęciu.

Na terenie Indii opracowano kalendarz, by ujednolicić już istniejące systemy rachuby czasu. Tak powstał kalendarz słoneczny podzielony na 12 miesięcy. Jego rok ma 365 lub 366 dni (w latach przestępnych). Każdy z pierwszych sześciu miesięcy

ma 24 godziny i zaczyna się wraz ze wschodem słońca. Dzieli się ją na 12 godzin dziennych oraz nocnych.

Według kalendarza holocenijskiego zaś wchodzimy w rok 12025. Holocen, który rozpoczął się ok. 10 tys. lat temu, to najmłodsza epoka czwartorzędu, obejmuje polodowcowy, współczesny etap historii Ziemi. Ludzie przestawili się wówczas z łowiectwa i zbieractwa na rolnictwo i osiadły tryb życia. Kalendarz holocenijski, zaproponowany przez paleontologa Cesare Emilianiego, dodaje owe 10 tys. lat do kalendarza gregoriańskiego.

Radosne majstrowanie

Czasy nowożytnie nie ustrzegły nas przed próbami zaakcentowania nowego początku w kalendarzu. Takie ambicje mieli np. przywódcy ▶

► rewolucji francuskiej. Dla nich rok 1792 był rokiem pierwszym. Kalendarz rewolucyjny, właściwie republikański, 5 października 1793 r. (14 vendémiaire roku II) wprowadził Konwent Narodowy we Francji. Obszerłą instrukcją uzupełniającą wydano 24 listopada 1793 r. (4 frimaire roku II). 9 września 1805 r. (22 fructidor roku XIII) Napoleon Bonaparte podpisał akt prawny przywracający kalendarz gregoriański od 1 stycznia 1806 r. (11 nivôse roku XIV). Mimo to w 1871 r. Komuna Paryska wprowadziła kalendarz rewolucyjny ponownie (miesiące germinal i floréal roku LXXIX). Jego projekt opracował Gilbert Romme, a poeta Philippe Fabre d'Églantine wymyślił nazwy dni i miesięcy. Te drugie nawiązywały

gregoriańskiego. Od 1 grudnia 1931 r. był wielokrotnie zmieniany, a ostatecznie porzucono jego stosowanie 26 czerwca 1940 r. Postulowano się nim jedynie w zakładach przemysłowych w celu organizacji dni pracy i dni wolnych. Nie korzystano z niego w życiu codziennym ani na terenach wiejskich. Układ dni był w nim identyczny jak w kalendarzu gregoriańskim, od którego różniła go jedynie długość tygodnia, pięciodniowy, a potem sześciodniowy. Numeracja lat zasadniczo także była kontynuacją systemu gregoriańskiego, lecz niekiedy, jak po rewolucji francuskiej, stosowano dodatkowy zapis, licząc lata od rewolucji. Pojawiał się on także w latach późniejszych, nawet kiedy z kalendarza rewolucyjnego

wskazuje zatem obecnie w przybliżeniu rok 13 800 000 000. Big Bang zdarzył się jednak tak dawno temu, że niewiele się pomylimy, gdy powiemy, że prawie 14 mld lat temu.

Piotr Karocki, absolwent teologii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, pomyślał już o przyszłości, w której ludzkość przeniesie się w kosmos, a ponieważ jako potencjalną planetę do zamieszkania wskazywano Marsa – stworzył marsjański kalendarz liturgiczny. Przewidywał, że początkowo będzie tam obowiązywał cywilny kalendarz marsjański, ale pojawi się także potrzeba przygotowania wersji chrześcijańskiej, z zaznaczonymi świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Uważał, że bez cywilnego kalendarza nie można stworzyć liturgicznego, tym samym dał do zrozumienia, że ten drugi jest podrzędny w stosunku do pierwszego.

Kiedy zapytano Piotra Karockiego, dlaczego na Marsa i po co w ogóle przenosić się w kosmos, odpowiedź była dosyć bezwzględna, chociaż zgodna z wyliczeniami naukowymi. – Nasze Słońce – wskazywał – za jakieś 5 mld lat przejdzie w stan czerwonego olbrzyma. Wzrost jego objętości będzie tak duży, że orbita Ziemi znajdzie się wewnątrz Słońca.

NASA przewiduje misję załogową na Marsa w późnych latach 30., a nawet 40. XXI w. Piotr Karocki zakłada, że marsjanie osadnicy będą chcieli obchodzić rocznicę lądowania pierwszej grupy na Czerwonej Planecie.

Piotr Karocki – Projekt Mars One (zakładał ustanowienie stałej ludzkiej kolonii na Marsie, jednak holenderska firma, która to planowała, w 2019 r. ogłosiła upadłość – przyp. red.), który wydawał się poważny – pierwsi osadnicy mieli wylądować przed 2030 r. – zachęcał do takich rozważań. Teraz są inne pomysły i ta data została przesunięta. Jednak w dalszej przyszłości na pewno Ziemianie opuszczą swoją kolebkę. I wszędzie będzie potrzebny kalendarz. Nawet jeśli nie będzie wersji liturgicznej, zapewne jakieś pozostałości świąt będą obecne. Szczereze wierzę, że będą może nawet prawdziwsze niż dzisiejsza ziemská wersja, która jest świętem komercji.

Bronisław Tumilowicz

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

12 godzin dziennych i nocnych wzięło się z dwunastkowego systemu liczbowego używanego w Babilonii.

do zmian w przyrodzie dokonujących się w kolejnych porach roku, np. floréal wyraźnie wiązał się z kwitnieniem kwiatów i przypadał na czas od 20 kwietnia do 19 maja. Lata liczono od 22 września 1792 r., czyli od daty ustanowienia I Republiki Francuskiej. Co czwarty rok miał być przestępny, ale w praktyce starano się obchodzić jego początek w dniu równonocy jesiennej. Długość roku pozostała ta sama co w kalendarzu gregoriańskim. Miał 12 miesięcy po 30 dni oraz pięć (sześć w latach przestępnych) dodatkowych dni świątecznych, tzw. Dni Sankiulotów. Czteroletni cykl nazwano francjadą (*la franciade*) na wzór olimpiady. Rok przestępny był trzecim rokiem francjady (rok III, VII i XI), dodatkowy dzień przypadał zaś 22 września 1795 r. i 1799 r. oraz 23 września 1803 r. W miejsce świąt kościelnych wprowadzono święta narodowe z najważniejszym, Dniem Zdobywania Bastylii.

Nie inaczej wyobrażali sobie swoją historyczną rolę twórcy rewolucji październikowej 1917 r. Jednak kalendarz rewolucyjny został wprowadzony w ZSRR dopiero 1 października 1929 r., jako pomocniczy, obok obowiązującego kalendarza

już zrezygnowano. Ostatnich zapisów tego typu dokonano w niektórych kalendarzach na rok 1991. Tydzień w latach 1929-1931 składał się z pięciu dni. W szczególny sposób wyznaczano dni wolne od pracy. Robotnicy byli podzieleni na pięć grup – każdą oznaczono kolorem: żółtym, różowym, czerwonym, fioletowym, zielonym. Każda grupa miała wolne innego dnia.

Reforma ta była jednak bardzo niepopularna, bo chociaż zwiększyła ogólną liczbę dni wolnych w roku o ok. 27%, znacznie komplikowała stosunki społeczne, a zwłaszcza rodzinne. Do kalendarza wchodziło pięć dni wolnych nienależących do dni tygodnia. Były to: 22 stycznia – Dzień Lenina, 1 i 2 maja – Dni Pracy oraz 7 i 8 listopada – Dni Przemysłowe. 1 grudnia 1931 r. pięciodniowy tydzień zastąpiono sześciodniowym. Powrót do siedmiodniowego tygodnia nastąpił 26 czerwca 1940 r.

Spójrzmy w niebo

Za początek wszechświata zarówno astronomowie, jak i niektórzy fizycy z Einsteinem na czele uważają tzw. Wielki Wybuch. Kalendarz kosmiczny

Lwów – misja specjalna

Albo będzie sukces, albo kłapa. Niczego pośredniego się nie spodziewajmy. Konsulem we Lwowie będzie Marek Radziwon, człowiek wielu umiejętności. Od gry na saksofonie (w czasie wolnym) po głębokie analizy duszy naszych wschodnich sąsiadów. A pośrodku – krytyk teatralny i literacki, menedżer kultury, historyk. Dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie (2009-2014), prezes Polskiego PEN Clubu (od 2022 r.). No i jeszcze sekretarz Nagrody Literackiej Nike i adiunkt w Instytucie Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie.

Trudno też nie pamiętać jego esejów – o tym, jak w dzisiejszej Rosji zmieniają się podręczniki historii i jak pięknieje w nich ZSRR. Lub o rosyjskim patriotyzmie.

Zawodowy dyplomata to nie jest, mimo że w Moskwie miał stopień I radcy. Ale gry dyplomatyczne? To nie on. Sprawy konsularne także są dla niego czymś odległym, nigdy się nimi nie zajmował. Wiadomo, będzie miał zespół doświadczonych urzędników, sam pieczęć nie będzie przybijał, ale... Ukraina? Raczej Rosja to jego specjalność. Więc?

Więc jasne jest, że z jego wyjazdem do Lwowa zmieni się postrzeganie tej placówki. Że wyjdzie ona poza ramy klasycznego konsulatu i stanie się czymś ważniejszym. Tylko czy to się uda?

Konsulat we Lwowie jest jedną z najtrudniejszych placówek. Przede wszystkim z uwagi na tamtejsze nastroje. Z jednej strony, są władze lokalne, otwarcie gloryfikujące OUN-UPA i ich liderów, Stepana Bandę i Romana Szuchewycza, uczestniczące w uroczystościach i obchodach związanych z banderyzmem.

Pomniki, nazwy ulic, muzea... Z drugiej – Polacy tam mieszkający. Jest też Polska. Są konflikty na granicy. Do tego mamy czas wojny. Poza tym jest sam konsulat, największy ze wszystkich polskich konsulatów, większy niż niejedna polska ambasada. Już samo kierowanie takim okrętem to skomplikowana praca.

Jak sobie z tym radzić? Różnie próbowano. Na przykład wysyłając doświadczonego konsularnika, który potrafił się dogadywać i prostować kanty. Pracowitego, sprytnego, wiadomo, o co chodzi. PiS próbowało inaczej, za jego czasów konsulem generalnym we Lwowie została Eliza Dzwonkiewicz, absolwentka ukrainistyki, działaczka ZHR i fundacji skierowanych na Wschód. To się skończyło awanturą, bo podczas blokady granicy polsko-ukraińskiej przez polskich rolników przeproszała gospodarzy: „Nie mogę już dłużej milczeć. Z miłości do własnej Ojczyzny. Nie mogę udawać, że nie widzę tych hańbiących Polskę działań na granicy polsko-ukraińskiej. Przepraszam Was, drodzy ukraińscy Przyjaciele. To, co się dzieje, nie może być dziełem moich Rodaków”. Ten wpis wywołał w Polsce wielkie protesty. Bo zdecydowanie wychodził poza protokół dyplomatyczny.

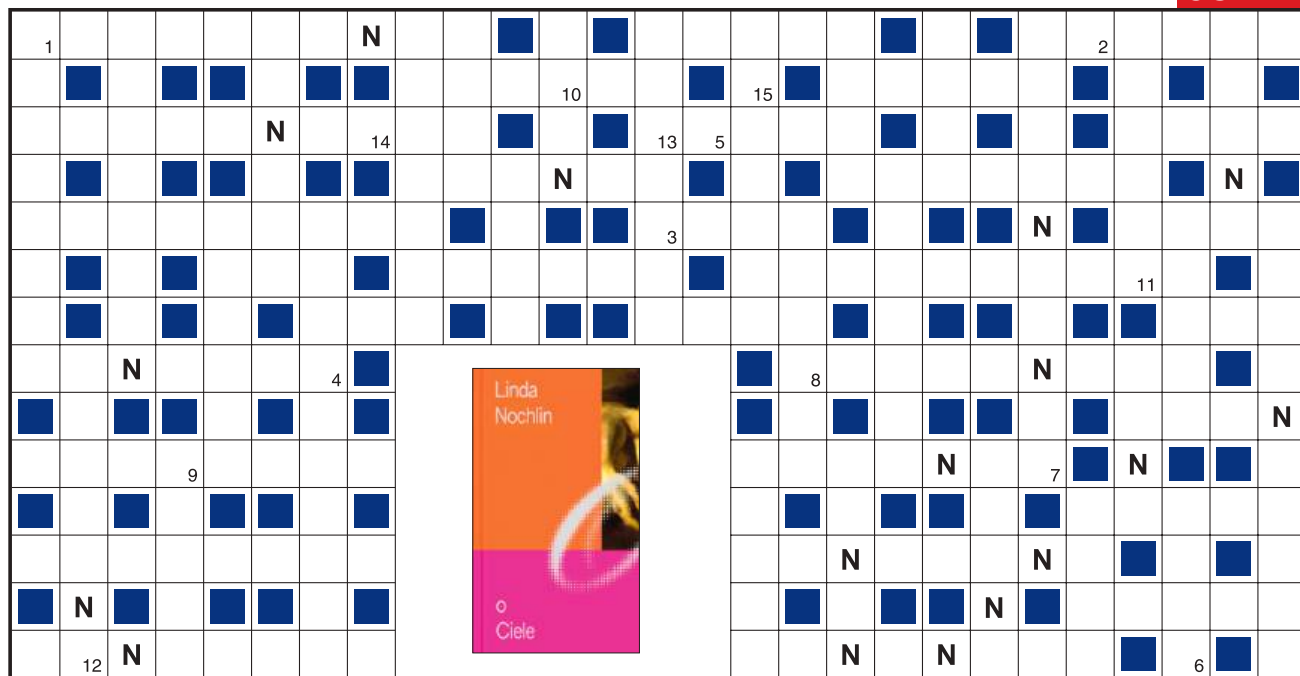
I do takiego Lwowa jedzie przenikliwy intelektualista. Mamy zatem sytuację zero-jedynkową. Albo się pogubi w tych konfliktach i zmęczy nawałem obowiązków, albo relacje polsko-ukraińskie wzniesie na taki poziom, że ukłękniemy.

Trzeba będzie Lwów obserwować, bo mogą tam się dzieć rzeczy ciekawe.

Attaché



Pozdrowienia od słonia w drodze do pracy. Sri Lanka, Kataragama, 17 grudnia 2024 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- głos Jadwigi Rappé
- reprezentacyjna sala wykładowa
- deszczowa lub smutku
- do burgerów – maślane
- „...strachu” Clouzota, potem Friedkina
- stadium rozwojowe pszczoły miodnej

- społeczny lub bohaterski
- wieczorna bajeczka w telewizji
- buchtujące zwierzę
- sir Anthony, polityk brytyjski
- i wyrazistość, i wyrażanie

- dał Odyszeusowi worek z wichrami
- obsługuje ręczny karabin maszynowy
- obwoźny, uliczny lub wymienny
- kraj z Basrą i Karbałą
- Jun, Karel lub Kwiatkowska
- kursywa
- Lisi w Jastrzębiej Górze
- podobny do jaskółki
- huk wielu wystrzałów
- kamizelka ratunkowa
- ...na Górze – nauczanie Jezusa
- grzywa żubra
- skończyła w nim zdemaskowana Nawojka
- party lub alkoholowa mieszanina

- lada sklepowa
- łożysko rzeki
- kaczką mniejsza od krzyżówki
- biblioteka, a ...Polska to firma
- ...wiśni – moment podziwiany w Japonii
- matka Heleny i Klitajmestry
- papierowe na wodzie – wróżba andrzejkowa
- omulek lub przegrzebek
- ziębnięcie
- leży nad Studnicą, Rummel tam zbójował
- fornir
- wyciąg z uchwytami dla narciarzy
- szybkie łyżwy
- rozległy widok
- Obajtek był tam wójtem
- na uchu rysia
- bandyckie rozliczenia, zemsta
- na nie broń!

- budynek magistratu
- ministerstwo
- gruba... – wpływową osobą
- liczba karpi w stawie hodowlanym
- Mickiewiczowska karczmą
- z motyką w okupacyjnej piosence
- dzierzony rządów
- obraz robiący wrażenie trójwymiarowego
- parcie na nie – pchanie się do mediów
- zespół podobnie zbudowanych komórek
- cykl wierszy Kochanowskiego
- w czasopiśmie – insert
- robiony pod fundamenty
- pięknięcie w kąciu ust
- imię językoznawcy Klemensiewicza

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

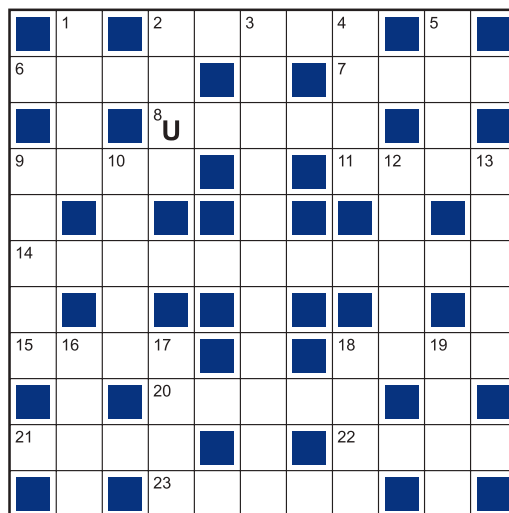
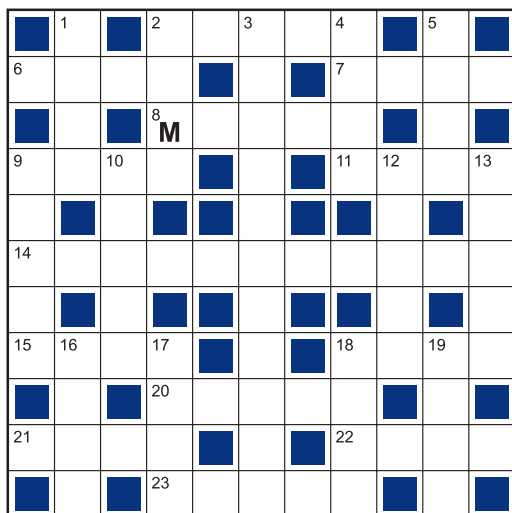
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1202”. Do rozlosowania książki „O ciele” ufundowane przez Wydawnictwo Smak Słowa. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 stycznia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1199” z nr. 50: Do lasu nie wozi się drzewa. Nagrody otrzymują: Paweł Balus z Sosnowca, Igor Snopek z Wrocławia, Stefan Woźniak z Opola.

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.



Poziomo:

- 2) krwawe indiańskie trofeum ■ rząd lamp wzdłuż sceny
- 6) ostatnia, dobra lub silna ■ na wigilijny kompot
- 7) czar, wdzięk ■ ...siedmiu złodziei
- 8) strój ■ spec od zakładania ładunków wybuchowych
- 9) uzyskiwany przy produkcji cynku ■ na nią daje się w kościele
- 11) sztuczka, podstęp ■ cząstka pierwiastka
- 14) szara... to powszedniość ■ dawać do niego – sugerować
- 15) ptaki z rzędu siewkowych ■ żurnale są jej poświęcone
- 18) pies Nel ■ karciany dzwonek
- 20) posąg panny ■ miasto z Petrochemią
- 21) wulkan na Sycylii ■ Marsowe w starożytnym Rzymie
- 22) wybić z niego – zdekoncentrować ■ jego marszałkiem Hołownia
- 23) wzmianka prasowa ■ roślina jak lina

Pionowo:

- 1) naftowa w rurociągu ■ pycha, hardość
- 2) słyszysz go w muszli ■ obrazu lub roweru
- 3) demonstrant ■ np. szkorbut
- 4) i pogoda, i nastrój ■ zawijają doń statki
- 5) istota z Himalajów ■ zbędne piąte u wozu
- 9) na jej końcu garnek złota ■ ten pierwiastek ma swoją dolinę
- 10) przywódca chasydów ■ jego jajo instalacją Rajkowskiej
- 12) stopień wojskowy, znaczenie ■ Priam jej ostatnim królem
- 13) stryj Zbyszka z Bogdańca ■ sakiewka na talary
- 16) tasiemka na czapce wojskowej ■ jednostka objętości cieczy
- 17) groźny car ■ zbiórka uczniów
- 18) klub siatkarski z Bełchatowa ■ o warkocz
- 19) podróż statkiem ■ między alfą a gammą

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

		1						9
	7	4	9		5	1		6
			8			5		4
			1			8		2
2	8	5			9			
					9			
4							8	
7		8	4		3		1	5
5	6	2		1			3	9

ŚREDNIE

	8				1	6		2
	7		5	6	4		9	
	3		9	8				1
		9				4		
1		7			6		5	8
	4			5				6
7		2			5			
			7	1		2		
						7		9

TRUDNE

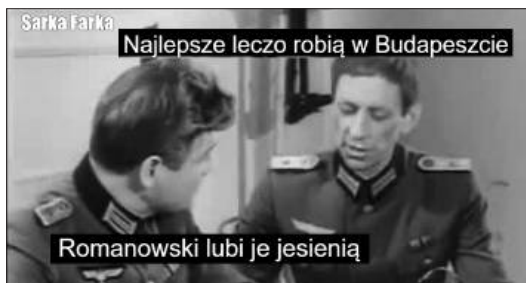
		2		3	1			
			8	4	6			1
3	6			8				
				6	5			7
8					4			
	9		7			1		8
						6		
5						3		
2						5		

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo
– to myśl, której autorem jest Antoine de Saint-Exupéry.

TYLKO DÓŁNICA MIĘDZY KARDYCEM A WIDOCZNA
MIŁOŚĆ, JEŻEŻE TO, IŻ KARDYCE TYWA TROCHE DŁUŻEJ I
MIŁOŚĆ, JEŻEŻE TO, IŻ KARDYCE TYWA TROCHE DŁUŻEJ.

PENETRACJE



Press WITOLD BEREŚ, DZIENNIKARZ, PISARZ, PRODUCENT FILMOWY, REDAKTOR NACZELNY „KRAKÓW I ŚWIAT”

Cały czas bronię i broniłem Maszy Potockiej, nawet jeśli uważam, że prezydent Krakowa miał prawo ją odwołać. Anna Maria Potocka napisała książkę o fikcji katastrofy smoleńskiej. Stwierdziła, że nie było zamachu. Niszczono ją za to na prawicy. Potem napisała książkę o Stanisławie Pyjasie. Dostała za nią z obu stron. Dlaczego? Bo ona jest z Warszawy. Jakim prawem więc w Krakowie, gdzie po ulicach chodził „Sam Wiesz Kto” – a my w jego imieniu jadaliśmy kremówki – jakim prawem ktoś z Warszawy może pisać o Pyjasie? Mam znajomych, którzy mówili, że tej książki nie wezmą do ręki. Nie, że nie przeczytają, do ręki nie wezmą. Potem Masza napisała książkę o postfeminizmie. Z ośmioma jej tezami na dziesięć się nie zgadzam. Ale jest fajnie, że ktoś ma jakieś zdanie, pisze je i podpisuje. Ja to szanuję. Ona oczywiście została zhejtowana i skopana.

MONDE diplomatique OLIVIER PIRONET, DZIENNIKARZ

Dziedzictwo Strefy Gazy, w której zinwentaryzowano ponad 350 historycznych miejsc, obiektów i zabytków, doznało ogromnych zniszczeń od czasu wybuchu wojny między Izraelem a Hamasem 7 października 2023 r.: 200 spośród nich, w tym meczet Al-Omari (z VII w.) i kościół św. Porfiriusza (z XII w.), a także pozostałości kananej-skie, filistyńskie, egipskie, rzymskie, osmańskie itp., zostało poważnie uszkodzonych lub zniszczonych przez izraelskie bomby. Wojska Tel Awiwu nie powstrzymywały się również od grabieży: dyrektor Izraelskiego Departamentu ds. Starożytności opublikował na swoim koncie X zdjęcie przedstawiające panoplia obiektów archeologicznych skradzionych przez żołnierzy, a następnie wystawionych jako zdobycze w sali izraelskiego parlamentu.

VIVA! LESZEK MOŹDŻER, KOMPOZYTOR, JAZZMAN, PIANISTA

Czym jest dla Pana miłość?

– Często! Miłością. Gdy wrzucisz kamyk do jeziora, to wokół kamyka zaczynają się rozchodzić kręgi. Tak właśnie działa miłość. Fizyk Itzhak Bentov wyliczył, że fala mózgowa człowieka, który jest wewnętrznie wyregulowany, może rozchodzić się wokół niego na długość 40 tys. km, czyli objąć całą Ziemię. Kiedy miłość płynie we wszystkie strony, to wszystkie relacje też są uzdrawiające, nawet kiedy są bolesne. U nas promuje się tezę, że miłość ma charakterystykę liniową i biegnie z punktu A do punktu B, tymczasem miłość ma charakterystykę dookólną i rozchodzi się we wszystkie strony. Nie można kochać jednej rzeczy, a innej nie. Albo kochasz wszystko, albo nie kochasz wcale.

zwierciadło MARCIN DOROCIŃSKI, AKTOR

Zawsze powtarzam, że jestem tylko aktorem. Chłopakiem ze wsi, szczęśliwym, że może uprawiać ten zawód. Bo on daje mi wiele radości. Jednocześnie mogę być normalnym, zwykłym facetem, odwożącym dzieci do szkoły, pijącym kawę w kawiarni, wyprowadzającym psa koło domu. Któryś z profesorów powiedział mi, że szkoła teatralna jest po to, żeby student przyjął jak najwięcej od swoich nauczycieli i aktorskich mentorów, a potem postarał się wrócić do samego siebie. Zasymilował, jak najwięcej się da, ale nie kopiował, nie naśladował, tylko czerpał z siebie. Długo myślałem, że muszę zabić w sobie te wiejskie korzenie, tę prostotę, którą uwielbiam i której nie chciałbym nigdy stracić. Traktuję swoje pochodzenie jako moją siłę i coś, co mnie ukształtowało.

ŁATWE								
6	5	1	2	7	4	3	9	8
8	7	4	9	3	5	1	2	6
3	2	9	8	6	1	5	7	4
9	3	6	1	5	7	8	4	2
2	8	5	3	4	9	7	6	1
1	4	7	6	8	2	9	5	3
4	1	3	5	9	6	2	8	7
7	9	8	4	2	3	6	1	5
5	6	2	7	1	8	4	3	9

ŚREDNIE									
9	8	5	3	7	1	6	4	2	
2	7	1	5	6	4	8	9	3	
4	3	6	9	8	2	5	7	1	
6	5	9	8	2	3	4	1	7	
1	2	7	4	9	6	3	5	8	
3	4	8	1	5	7	9	2	6	
7	9	2	6	3	5	1	8	4	
8	6	4	7	1	9	2	3	5	
5	1	3	2	4	8	7	6	9	

TRUDNE

4	2	7	3	1	5	8	9	6
9	5	8	4	6	2	7	3	1
3	6	1	8	7	9	4	2	5
1	3	2	6	5	8	9	4	7
8	7	5	1	9	4	2	6	3
6	9	4	7	2	3	1	5	8
7	4	9	5	3	1	6	8	2
5	8	6	2	4	7	3	1	9
2	1	3	9	8	6	5	7	4

ŁATWIEJ WYPEŁNIŁ PAN POSTANOWIENIE, BY OPTYMISTYCZNIE WIDZIEĆ ŚWIAT!

OPTYK

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

RÓŻOWE OKULARY

Pewność, że między nami zawsze będzie dobrze, to pułapka. Praca nad związkiem nigdy nie ma końca.



FUNDACJA
ORATIO
RECTA





Non omnis moriar



Wiosna

Ewa Czwartos Vitruvian Women

Typowym dla artystki zabiegiem jest czytanie na nowo utrwalonych w kulturze scen i motywów, choćby takich jak rysunek Leonarda da Vinci przedstawiający ciało mężczyzny wpisane w koło i kwadrat. A witruwiańskie kobiety? Przewrotny tytuł wystawy odsłania temat płócien Ewy Czwartos. Inspiruje się ona mistrzami renesansu i baroku, ale też dziełami polskich artystek XIX w. oraz anonimowymi postaciami ze starych fotografii.

Na obrazach pojawiają się postacie mitologiczne: Afrodyta, Atena czy Hera, i bohaterki legend, lecz malarka skupia uwagę na mniej eksploatowanych w kulturze momentach ich życia.

**Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski
Warszawa, Jazdów 2
do 5 stycznia**



Strangers



Centaurea cyanus – Bluebonnet



74 ■ Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Panorama
Nagroda Publiczności (2 miejsce)
Nagroda Teddy



SOFIA PRIDE
FILM FESTIVAL
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI



SUNNY BUNNY
LGBTQIA+
FILM FESTIVAL
NAGRODA UKRAIŃSKICH
KRZYTYKÓW FILMOWYCH



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w GUADALAJARZE



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w STAMBULE



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w SYDNEY

CROSSING

REŻYSERIA LEVAN AKIN („A POTEM TAŃCZYLIŚMY”)

OTULAJĄCA CIEPŁEM
I BEZPIECZEŃSTWEM
ODA DO CZŁOWIECZEŃSTWA



Kreatywna
Europa
MEDIA

AURORA

W KINACH OD 27 GRUDNIA

Alanis

Morissette 2025 WORLD TOUR

Czwartek 19 czerwca
COS Torwar
Warszawa

Alanis.com

Bilety:
ticketmaster.pl
livenation.pl

LIVE NATION

eprasa.pl d85a8e885d